

50
EMMA JELEŃSKA
(DMOCHOWSKA)

50

M A T K A

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

MATKA

EMMA JELEŃSKA
(DMOCHOWSKA)



M A T K A

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



65/153

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

K-168/76/71504

W powieści, której druk zaczynamy, Autorka daje na początku obraz, poczerpnięty z prastarych dziejów. Przeprowadzi ona później analogię kobiety z doby dzisiejszej, matki, rodzicielki, zapatrzonej w przeznaczenie swego istnienia na ziemi, z ową kobietą z zamierzchłych dni. W jaki sposób współczesna „matka” pojmie swój obowiązek, czy będzie typem osamotnionym w społeczeństwie, czy ogólniejsze nosić będzie piętno — osądziecie same, Sz. Czytelniczki.

NIEGDYŚ.

Był poranek letni, rosisty i pachnący. Słońce jeszcze nie weszło. Tylko zorza różowa malowała się na niebie i różami obrzucała zmarszczone fale jeziora.

Spał jeszcze zwierz po swych legowiskach. Spali i ludzie w jaskiniach. Tylko ptaki zawiodły już po gałęziach swoją ranną pieśń — i gwarno już było wśród krzaków i pnączów prastarego lasu.

I prastary las szumiał i śpiewał także. Po wierzchołkach jego drzew przelatywał wiatr, a wtedy gałęzie coś głośno i długo gadały. A odpowiadały im z dołu krzewy, i trawy splecione, i nawet małe kwiatki przyziemne.

A gadały wszystkie nie tylko szumem swych liści i gałęzi szelestem — lecz i falami woni, które sobie wysyłały wzajemnie. I cały las prastary był, jak rozkoły-

Matka.

sana kadzielnica, z której w niebo płynie modlitewny aromat.

Kwiaty wielkie, purpurowe i złote spadały cicho z wysokości na aksamit traw.

Wzdychając, wody jeziora kładły się na piasku nadbrzeżnym — odpływały — i wracały znowu, srebrem bramowane — perliste — chłodne — liżąc kamyki i kolysząc trzcinią u brzegu — i także coś gaworząc i snując długą, nie skończoną nigdy opowieść.

Słońce wstawało zwolna.

A człowiek jeszcze spał.

Lecz oto z otworu jaskini, zarzuconego kolczastymi gałęziami w obronie przed zwierzęciem dzikim, wysunęła się główka. Dwie rączki, ciemną skórą pokryte, zaczęły uważnie i szybko rozsuwać kolczaste gałęzie i torować sobie drogę. I po chwili, na kolanach i na dłoniach się opierając, wypełzła z otworu cała postać ludzka.

Młoda Ewa pierwsza powitać szła wschodzące słońce i odetchnąć letnim porankiem.

Wypełzła przed jaskinię. Przez chwilę mrużyła powieki przed światłem. Aż wyprostowała się i stanęła. Naga była zupełnie — drobna i chuda. Złotawy meszek pokrywał jej ciało i jakby leciutką szatą je przysłaniał. Z głowy spływał spleątany, lecz bujny i długi po pas, włos jasny.

Przeciagnęła się rozkosznie — oczy dłońmi przetarła — spojrzała dookoła siebie — spojrzała w górę, na niebo. — I naraz, nową jakąś myślą tknięta, bieć zaczęła w dół, ku wodom jeziora. Biegła szybko i lekko stromą ścieżyną, bose stopy swe stawiając bez wahania na kamkach i gałązkach. Aż nad samą wodę przy-

biegłszy, zatrzymała się przez chwilę, rozejrzała się dookoła — i z wysokiego brzegu śmiało do jeziora wskoczyła.

Plusnęło. Iskrami do góry wystrzeliła srebrna fala. Szerokimi kręgi rozlały się barwy różowe i złote po wodzie — zatrzęsły się trzciny u brzegu. Gromadka jaskółek zerwała się i z krzykiem pierzchnęła. — A jasna głowa i para ramion silnych mknęły już daleko po jeziorze, zostawiając tylko za sobą błyszczącą, migotliwą smugę.

Co rano od niejakiego czasu młoda Ewa wymykała się z macierzystej jaskini i biegła na brzeg jeziora. Gnała ją tu jakaś dziwna pęta. Ta woda chłodna i czysta tak mile lechtala jej ciało! Taki rozkoszny w niem wzbudzała dreszcz! A po skończonej kąpieli, ta trawa zielona, miękka, pachnąca, kwiatami usiana — jakąż niezrównaną a codzienną nową sprawiała przyjemność! Wyciągnięta na niej, wtulona w nią, leżała Ewa godzinami, susząc się w słońcu — rozleniwiona jakaś — i szczęśliwa. A potem, zrywała się znowu, i pochylona nad wodą w cichej zatoce, między skałami, gdzie wiatr nigdy nie dochodził i toń była, jak zwierciadło, gładka — długo, długo patrzyła na swe odbicie.

Lubością przejmował ją widok tego brunatnego, od promieni słońca spalonego ciała — rozkosznie uśmiechała się do siebie, błyskając ostreimi ząbkami — rozkosznie pieściła swe biodra strzeliste. — I dziwna ją wtedy ogarniała tkliwość. Czasem płakać chciała... Czasem roześmiała się głośno, przeciągle... A śmiech ten powtarzało echo skalne. I dźwięczał on długo nad jeziorem.

Od niejakego też czasu zaczęła się stroić. Zębami i pazurami rwała sobie gałęzie lian zielonych i wila z nich przepaski na biodra swoje. Zbierała kwiaty szkarłatne, i niżąc je na żdźbła traw cieniutkich, zdobiła nimi szyję, jak wspaniałą kolją. A gdy, chodząc po lesie, ujrzała uronione piórko papugi lub dzikiego gołębia, wpinała je sobie w splecione włosy. I biegła do cichej zatoki, znów odbicie swe podziwiać. I znowu śmiała się — śmiała się długo.

A czasem zapłakać chciała.

Słońce wzbilo się wielkie i złote na przeczystem niebie. Ptaki w lesie ucichły nieco, gdyż rozleciały się szukać żeru dla siebie i dla piskląt swoich. Las rozebrzmiał innem życiem. Szły po nim szmery, ciche stapania, czasem trzask gałęzi — czasem pełne tęsknoty wołanie. W górze wiatr szumiał. U dołu, wśród gęstwiny, na lup czyhał już zwierz zbudzony. Szedł i człowiek na łowy.

Młoda Ewa wypłynęła z kąpieli na zielony brzeg. Stała w słońcu i włosy swe roztrzásając na ramionach, i sypiąc z nich iskrami kropelek, suszyła się.

Objęły ją całą promienie ciepłe, i piły z niej wodę, i różową barwą jej skórę malowały. A ona przeciągała się w nich z lubością, poddając się ich pieczy — szczęśliwa.

Aż tu nagle — posypały się z urwistego brzegu żwir i kamyki, czyjaś stopą strącone. I jak sęp spada z obłoków na upatrzoną sobie ptaszykę — tak ze skały wysokiej, z wrzaskiem triumfu, z rozwianym włosiem, z wyciągniętymi ramionami, spadł w podskokach młody, silny i nagi mężczyzna.

I biegł ku dziewczynie. Ogień palił mu się w źre-

nicach — z ust rwały się bezładne wyrazy, dźwięki zgrzytliwe, okrzyki i ryki, do ryku zwierząt podobne. — Ręce wyciągnięte już, już porwać były gotowe upatrzoną zdobycz — porwać i zdusić w objęciu — i wtulić w ciało swe spragnione — i posiąść.

Lecz młoda Ewa nie czekała. Na widok mężczyzny i z jej oczu strzeliły błyskawice — z ust wypadł śmiech głośny, przeciągły. — I porwała się do ucieczki. Brzegiem wody, poprzez trawy i kamienie, szparko, lekko, prawie nie dotykając ziemi stopami — pomknęła.

A za nią rozebrzmiały skały i drzewa jej śmiechem ostrym, przeciągłym, kuszącym.

I biegli tak oboje. Ona naprzód wciąż, włosy na wiatr puściwszy, sunęła, jak strzała, wypuszczona z cięciwy. On w potężnych susach, w podskokach, wywijając rękami długimi, dysząc i charcząc, belkocząc słowa gniewu — biegł za nią i biegł.

Czasem już, już jej dosięgał. Już zakrzywione jego palce miały się oprzeć na jej ramieniu. Lecz wtedy właśnie wyrwał się znów z jej piersi śmiech głośny, przeciągły. Nagłym ruchem rzuciła się w bok. — I biegła dalej, niestrudzona.

Czasem kryła się za stuletnim pnem, lub wpadała w krzaki splecione i nikła mu z oczu. Lecz wnet śmiech jej ostry i wyzywający przecinał powietrze. — I znowu mknęła naprzód, nieuchwytna, wabiąca.

Jak widmo ponętne. — Jak pokusa.

Biegli tak długo. Głęb lasu otwarła się przed nimi, jak olbrzymi kościół o potężnym i malowanym stropie. W gorącym półcieniu, jaki tam panował, zaczęły ciała ich ociekać strugami potu. Nogi potykały się o ko-

rzenie i płątały w pełzających pnączach. Aż on zachwiał się. Musiał się zatrzymać.

Oparł się o pień drzewa i dyszał ciężko. Gniew go porywał — i namiętne, coraz gwałtowniejsze pożądanie. A dogonić jej nie mógł.

I teraz ona, widząc, że pościg ustał, także zwolniła biegu. I lekka, zgrabna, urocza wśród zieleni drzew, tanecznym krokiem, w płasach, podrygach i uśmiesach cała, zaczęła zataczać dokoła stojącego młodzieńca szerokie kręgi, i w dłonie klaszcząc, trochę urągliwie a bardziej jeszcze zaczepnie, zawiodła jakąś piosenkę. I śmiała się — śmiała się.

Jego ogarniał coraz większy gniew. Bezsilnym był wobec tej dziewczyny. A pożądał jej. Coraz ostrzej, coraz boleśniej targła nim żądza. Krew biła do skroni, zalewała mu oczy. W uszach dźwięczał jej śmiech.

Naraz pochylił się, porwał leżący u stóp spadły owoc w twardej, kolczastej łupinie — i cisnął nim z całej siły w dziewczynę.

Z ostrym świstem przeleciał pocisk i ugodził w jej ramię. Krzyknęła z bólu i stanęła. On już był przy niej. Już pochwycił ją w ramiona. Już uniósł z ziemi — i tułąc do piersi, niósł. Z gardła rwały mu się teraz okrzyki zadowolenia, ciche pomruki szczęśliwego zwierzęcia. I nie dbał już o to, że się ona broniła jeszcze, że pazurami piers mu darła, że zębami wpila się w jego dłoń. Nie dbał już o to i nie czuł bólu. Bo już ją miał i wiedział, że mu się nie wymknie. Już upolował swą zdobycz i unosił łup.

A ona broniła się jeszcze, lecz niedługo. Tak silne ramiona ją objęły, tak potężną była ta piers, do której

własną piersią przylgnęła. — Tak jakoś słodko się zrobiło — i dziwnie — i miło. — I jakieś uczucie rozkoszne rozlało się po jej członkach — uczucie podziwu dla tego pana i władcy, co zleciał na nią jakby z obłoków — jak piorun — jak orzeł na ptaszyne. — I wziął — i porwał — i oto ją niesie — oto ją ma.

I nagle obu rękami szyję jego objęła i ustami wpila się w jego usta...

.....

I odtąd pod strzelistemi filarami leśnego kościoła, pod jego malowanym stropem płonął ogień potężnej, żywiołowej miłości. Wśród zwierzęcych stadeł i ptasich gniazd znalazła się para ludzka. I szła, trzymając się za ręce, po zielonym aksamicie traw, i spoczywała na miękkich mchach i na kwiatowych puchach, i pluśkała się w jasnych wodach jeziora, i układała się do snu pod konarami starych drzew.

I kochała się silnie, gorąco.

Letnie słońce lało na ich dwojga głowy promienie swe upalne, krew ich syciło płomieniem. Gorzał świat dokoła. Gorzeli i oni.

W dzikim lesie, rozbrzmiałym śpiewami ptaków, rozszepcany miłosnemi pomrukami zwierząt, rozkołysany falami aromatów i zdobiącym się codzień w królewski, kwiatami utkany płaszcz — miłość tej ludzkiej pary była jakby najwyższą nutą w akordzie — najgorętszym płomieniem w ognisku — najjaśniejszą w niem iskrą.

.....

Ale minęło lato. Przemięła miłość.

Przyszły deszcze i słoty. Królewski płaszcz lasu zmienił się w zmokłą, szarą płachtę.

Przyszła zapowiedź macierzyństwa — i piękne ciało Ewy stało się ciężkie, grube, obwisłe. Już nie budziło pożądania. Już i samo nie szukało pieczy. I myśli jej zwróciły się w inną stronę. Zatrzymały się nad przyszłością, zafrasowały o dach, o pokarm, o miękkie posłanie dla tego, który miał przyjść. I rozkochane jej dotąd oczy obojętnie zaczęły się odwracać od mężczyzny — a wzrok ich stał się bardziej wewnętrzny, bardziej zatopiony w sobie i w tej przyszłości, co z niej wyrastała, jak kielek światła spragniony wyrasta z nasienia. Słuchała tego życia nowego, co z niej szło. Przed tym nieznanym panem klękała w pokorze i gotowała się na przyjęcie jego. I coraz mniej uwagi zwracać była zdolna na tego, który dotychczas panem jej był. Już go nie potrzebowała. Spełnił on już w niej zadanie swe. Mógł sobie iść.

I poszedł. Wrócił do towarzyszków swoich, na łowy, na walki, na rozboje i na życie szerokie. Wyszedł z półcienia leśnego, i na wielkie wody wypłynął, i na bezkresne pola za zdobyczą się wypuścił. Otrząsnął się z miłosnego odretwienia — i silniejszy, dzielniejszy, niż przedtem — rzucił się na drogi nowe i na nowe życie.

Ona została. Nie sama. Bo troska była z nią ciągle i szła za nią krok w krok. Troska i frasunek. O jaskinię suchą i przestronną. — O zapas mchu miękkiego na legowisko. — O ziarna pożywne i korzenie jadalne, o ryby i mięczaki. — O pokarm wszelki na podtrzymanie sił własnych dziś, gdy były one tak potrzebne. — Wre-

szcie, o zatlenie ognia świętego i o jego utrzymanie. Budowała w pocie i w znoju ten dom swój rodzinny, ścigała doń zapasy i bogactwa wszelkie, otaczała go kłaczastymi gałęzmi, zamykała kamienną zawałą. — I na progu jego czuwała, jak pies wierny a zły.

A gdy z jej rozdartego łona wyłoniła się wreszcie istota nowa, drobna, słaba, lecz pełna już despotyzmu, na nikogo nie baczna i z niczem się nie licząca — gdy w pierś jej się wpily malutkie, lecz żarłoczne usteczka, które życiowy napój z niej ssały łapczywie, pośpiesznie — gdy wzięła w ramiona i przytuliła do siebie to ciało dziecięce, które było jej własnem ciałem — uczuła w sobie siłę nad wszystko potężną, siłę zdolną świat cały poruszyć, zapory wszelkie zniszczyć, największe trudy znieść i największych dzieł dokonać. Poczwała w każdej krwi kropelce, w każdym nerwie rozkosz z niczem niezrównaną, wobec której bladły owe zapasy miłosne do mężczyzny, dawniej zaznane — miłości do jakiejś innej, obcej istoty — do jakiegoś dzikiego pana, tak od niej się różniącego. Wówczas, gdy teraz była to miłość siebie samej, swej własnej krwi, swego własnego życia — w tem dziecięciu, co wyszło z niej i przez nią jedynie żyć mogło. Było to zakochanie się w swej własnej, rozdwojonej istocie — ubóstwienie siebie i rozmodlenie się przed własnym obrazem — zachwyt nad dziełem swoim — namiętny kult dla siebie w niem. Było to majestatyczne rozradowanie twórcy wobec tworu swego.

I rozradowanie to było trwałe. Pomimo ciężkiego trudu i wysiłków nadludzkich, jakich wymagało wychowanie dziecka i utrzymanie dłań ogniska domowego, Ewa-matka szła przez życie w szczęśliwości wielkiej.

Walczyła, biedziła się, zabiegała o wiele rzeczy, troszczyła się o byt na dziś i o zapewnienie bytu na jutro, wzrokiem wybiegała w przyszłość i obliczała wszelkie szanse i możliwości, przewidywała, rachowała. Chciwą dłoń wyciągała po łup, podstępem, chytrością, a gdy trzeba było, to i odwagą zdobywała bogactwo, ściagała je do jaskini swej i zazdrośnie a czujnie go strzegła. Nieustanną i niezmordowaną pracą utrzymywała ów domowy, święty znicz. Prężyła wolę swą ku nowym wciąż zabrom — kierowała całą potęgę swego umysłu ku nowym wynalazkom — zapuszczała bystre swe oko i chciwą dłoń w coraz to nowe dziedziny — utwierdzała się coraz silniej i szerzej w panowaniu swoim — i otaczała rosnącą Przyszłość coraz to większem bezpieczeństwem i coraz mędrszą opieką.

Była twórcą i panem. I w tem była jej szczęśliwość wielka.

Dzieci przybywało. Przestronna jaskinia, suchym piaskiem wysypana, ogrzana płomieniem palącego się u progu ogniska, rozbrzmiewała wciąż krzykiem, śmiechem, płaczem i szczebiotem dziecięcym. Kto te dzieci rodził? Matka. O ojców nie pytano wcale. Nikt ich nie znał, nikt znać nie chciał. Było to jakieś dalekie, oderwane niejako od rzeczywistości pojęcie. Rzeczywistością, koniecznym życia warunkiem była matka. Ona była tą rolą żyzną i dobrotliwą, w której kiełkuje nasienie, z której wyrasta w kwiat i która mu wciąż pokarmu dostarcza. Ona była tą glebą rodną — tym powszednim chlebem.

Mężczyzna-ojciec, był to piorun, co spadał z jakiegoś dalekiego nieba na ziemię — rozdzierał jej łono — ogień w niej zapalał — i znikał.

Nie tęskniono do niego przy jaskiniem ognisku, w rodzinnej gromadce. Lękano się nawet trochę owego zjawiska.

Ona tylko — Ewa — zapagnęła niekiedy jego uściśnięć, gdy wezbrana w niej siła potrzebowała jego iskry twórczej, aby nowy wydać z siebie plód. Gdyż on był owym czarodziejem, co otworzyć umiał wrota jej skarbcza. On był ową kroplą wody żywiącej, która z nieznaných bytów wywoływała nowy twór.

.....
Życie płynęło. Mijały lata. Rosła rodzina pod opieką matki. Rosła, rozwijała się, nabierała sił, rozpoczynała pracę i walkę na własną już rękę. Synowie próbowali na łowach sił swoich i zmyślności — córki pomagały matce w domowej pracy. Młode umysły zaczynały zaglądać w dalszy świat, chwytaly wiadomości zaszyszane, ciekawie wychylały się z pod matczynych skrzydeł i z tęsknotą patrzyły w dal.

Długo jednak, bardzo długo umiała je matka utrzymać pod swą władzą. Żelazną ręką dzierżyła swe berło rodzinne. Dobra była dla posłusznych i kornych — lecz surowo karała wszelkie zachcianki buntownicze — i goniła precz wszelkie nowinki.

Wysiłkiem olbrzymim, pracą życia całego, poświęceniem siebie zbudowała to gniazdo swoje — powołała do życia tę rodzinę ludzką. Dała jej wszystko, co tylko dać mogła. Na nic więcej zdobyć się nie mogła — i nie czuła potrzeby ani zmiany żadnej, ani postępu. Trwanie było jej celem. Żadnych innych nie uznawała. Wszelkie zatem prądy nowe, myśli z zewnątrz płynące, marzenia o poprawie bytu, ciekawości i dążenia do czegoś lepszego

go — wydawały się jej zbrodnią — a przedewszystkiem, ubliżeniem dla niej samej. Jakto! więc dzieciom nie wystarczyło to, czem ona je obdarzyła? Nie wystarczyło to życie, dane im wśród bólów i mąk, a utrzymywane codziennem poświęceniem? Nie wystarczyła ta jaskinia rodzinna — i to miękkie legowisko — i to ognisko tak wesoło płonące — i te smaczne mięczaki i rybki, z takim trudem łowione — i te korzonki słodkie, których zapas miała zawsze tam, w jamie? Nie wystarczyło już to życie wspólne nad brzegiem jeziora, pod staremi drzewami, co pieśń odwieczną nad ich głowami szumiały!

— Tam, za wodą, żyją ludzie w chatach, z chróstu wplecionych a pokrytych palmowemi liśćmi! mówiły dzieci. Tam już umieją mięso opiekać przy ogniu i surowego nie jedzą! Tam ziarna między kamieniami rozcierają i otrzymują mąkę białą i smaczną! Tam krowy dzikie już oswoili sobie i mają codziennie słodkie mleko do picia! Tam strzelają z łuków do zwierząt i mogą ptaka zabić w locie! Tam inaczej żyją, niż my tu! Tam są szczęśliwi!

Słowa takie były dla matki nożem, co się w jej sercu obracał. Nienawidziła tych, co tam za wodą żyli inaczej i lepiej. Nie chciała wiedzieć, nie chciała słyszeć o nich. Dzieciom surowo wzbraniała wszelkiego z nimi stosunku. Na każdego przybysza z obcych stron rzuciła się rozjuszona i broniła mu przystępu do swej jaskini. Stróżowała przy niej, jak pies, warcząc i zęby szczerząc na wszystko, co nowe.

Lecz nie mogła zabronić wiatrowi, co wiał, przynosić ze sobą szmerów i dźwięków z oddali. Nie mogła zgasić promienia, co się przez małą szparę do jaskini

wsuwał i oświecał jej nagie, ciemne, brudne ściany — a bąbał piękną bajkę o czarodziejskich pałacach. Nie mogła uwięzić tego skrzydlatego ducha, co się skłaniał nad głowami jej dzieci i szeptał im do ucha: — Młodości, ty naprzód idź!

I rozpoczęła się dokoła rodzinnego ogniska walka. Straszna, zażarta, żywiołowa i okrutna walka dwóch wiecznych wrogów — wstecznictwa i postępu. Walka między dniem wczorajszym, którego słońce już zachodziło — a tą jutrznią nową, co nęciła różanemi tory i złotemi blaski, i otwierała dalekie, jasne widnokregi, i wabiła, i czarowała — nadzieją.

Walka trwała długo. Zrazu cicha, skryta, pełna podstępów i tajemnic. Potem wybuchająca coraz głośniejszemi wymówkami, urąganiem i gniewem. Wreszcie doszła do otwartego buntu i do gwałtów. Dzieci odmówiły stanowczo posłuszeństwa. One chciały iść tam, do kraju nowego — one chciały żyć lepiej — chciały być szczęśliwe po swojemu. Jaskinia rodzinna im nie wystarczyła — gardziły tym nędznym bytem, gardziły tą matką, co nie umiała nic lepszego im dać, odtrącały ją, jako niepotrzebny już im grat stary — i szły jedno po drugim — w świat.

Zrazu synowie. Otwarcie, groźnie, z gniewnemi słowy, z pełnemi dłońmi zrabowanych matce skarbów, rzucali dom rodzinny.

Za nimi, ukradkiem, wymykały się córki. Biegły cicho, szybko brzegiem jeziora — biegły na spotkanie doli nowej — wabiąc ją i kusząc śmiechem srebrzystym i pałającym spojrzeniem. I nikły.

Jaskinia stawała się pustą.

Nadszedł dzień, że najmłodsze, najukochańsze, najbardziej wypieszczone dziecko, ledwie podrastającą, śliczną Czarnotkę, zwabił w zarośla jakiś mężczyzna nieznaną, przybysz z za wody, z tego nowego kraju — i porwał. I dała mu się porwać Czarnotka ze śmiechem wesołym — bez żalu za rodzinnym domem, bez jednej myśli smutnej o samotnej matce. Poszła — i tak jak inne — już nie wróciła.

Matka szukała jej długo — długo — tulała się po lesie i na wybrzeżu, zaglądając za skały, badając ślady, hukając głośno, ile jej starczyło sił.

Zrozumiała nakoniec.

Zrozumiała, że dzieci — wszystkie jej dzieci — te z niej zrodzone, krew jej krwi, ciało z jej ciała, karmione jej mlekiem, noszone w objęciach, tulone do serca, pieszczone i miłowane — że te jej dzieci porzuciły ją na zawsze. Że dla nich niczem były jej trud, jej męki, jej lzy i jej bóle — bo one myślały o sobie — a o nią nie dbały, gdyż nie była im już potrzebna.

Wróciła, chwając się na starych nogach, do rodzinnej jaskini. Lecz wejść do niej nie miała odwagi. Wiedziała, że pusta jest i zimna teraz, i już nie rozbrzmiewająca, jak dawniej, krzykiem, śmiechem i szczeniostwem. Ognisko wygasło — rozrzucone sprzęty — zabrane wszelkie bogactwa.

I w jej własnej istocie była również pustka bolesna — jakby zakrwawiona rana po wydartych wnętrznościach. Zamiast serca, co biło tak równo, silnie, radośnie — kamień zimny. Zamiast krwi w żyłach — mroźny dreszcz śmierci.

Nie weszła Ewa do rodzinnej jaskini. Na jej progu

upadła bez sił. I jęk — jęk przeciągły, ostry, do wycia starej wilczycy podobny, rozdarł jej pierś.

Leżąc u wygasłego ogniska, wyła. Wyła z żalu za minionem szczęściem, z bólu nad swą rozdartą istotą — z tęsknoty za tą krwią własną, której już nie stało — ze strachu przed samotnością okropną — z rozpaczą nad sobą.

Wyła u progu pustej jaskini, która była kolebką jej dzieci — nowych ludzi.

A nad falami jeziora, echo podawało sobie płacz jej od skały do skały.

I szła skarga matki w świat daleki.

Lecz nie doszła do uszu jej dzieci...

.....

DZIŚ.

I.

— Ach, moja droga! Dziś mój pierwszy występ, mówiła Ewelinka do kuzynki swej, Iny Różańskiej, wyciągniętej na szezlongu z gazetą w ręku. — Nie uwierzysz, jak mi straszno! Ale razem wesoło i miło. I same nogi rwą się do tańca. A sukienkę mam — jak marzenie! Różową — leciuchną — i tu, tu, dokoła gorsu, girlandka z drobnych różyczek. Chyba będzie mi do twarzy...

Ewelinka spojrzała na siebie w lustrze i, zadowolona, umilkła. Tak, mogła być spokojna, że jej będzie do twarzy, bo twarzyczkę miała ładną i wdzięczną — z tych, co to »i na codzień i na święto«, jak mówiły koleżanki.

Poprawiła spadające na czoło włosy — i spytała jeszcze w zamyśleniu:

— Czy lepiej mi uczesać się do góry — o, tak? Czy może z przedziałem?

Ale kuzynka nic na to nie odpowiedziała. Zasłonięta ogromnym arkuszem gazety, siedziała zaczytana.

— E, z tobą, Ino, nie można o niczem porozmawiać — mruknęła niezadowolona Ewelinka. Nie zganięwała się jednak, i wyjąwszy z szufladki pilniczki, szczoteczki i proszek, zaczęła paznogie swe polerować.

Ina czytała dalej, zaabsorbowana i o niczem nie wiedząca. Aż nagle rzuciła na ziemię gazetę, skoczyła z miejsca i wybuchnęła: — Cóż to za głupcy, ci wasi politycy z »Opoki«! Chcą chyba zatrzymać świat na miejscu, czy co, — na miły Bóg! Co oni piszą — co oni wygadują na nas! na młodzież! A sami co zrobili? Samoluby! ugodowcy! pasibrzuchy! burzuje! I oni śmia nam — nam, młodym, narzucać swój »wytrawny pogląd«, »wyrobienie społeczne«, »pracę u podstaw«! Nie rozumiem — nie rozumiem doprawdy, jak można takie piśmidło obrzydliwe wpuszczać do domu!

— Mama mówi, że szanujący się dom powinien trzymać tylko »Opokę«. To jest pismo przyzwoite — piszą tam księża i ludzie dobrze myślący, a nie żadne cygany.

— Jak ty możesz, Ewelinko, powtarzać takie bzdurstwa! — parsknęła Ina. — Przecież to...

— Ależ, moja droga, nie krzycz na mnie. Ja tej »Opoki« nigdy do rąk nie biorę. Mnie wszystko jedno, czy ona taka czy owaka — odparła Ewelinka tak spokojnie, że oburzenie Iny rozwiało się w jednej chwili.

Uśmiechnęła się. — Ach, prawda! Ty zawsze ta sama — niewinna owieczka! słodkie jagnię! Żeby świat cały przewracał się do góry nogami, to tobie nic.

— Nie wiem, co by było ze mną w takim razie. Ale świat nie przewraca się do góry nogami. A sama powiedz, czy to moja rzecz pilnować, aby »Opoka« tak

Matka.

piśla, jak tobie się podoba? A niech pisze, co sobie chce! Co to mnie może obchodzić?

Ina wzruszyła ramionami. Z pogardą kopnęła jeszcze numer na ziemi leżący i przeszła się po pokoju.

— Z ciebie nigdy nic nie będzie — zdecydowała po chwili, stając przed zajęętą swymi paznociami Ewelinką.

Ewelinka łagodnie się oburzyła: — O! A dlaczego? Jak ty możesz mówić takie rzeczy! Ty, Ino, zawsze...

— A tak. Bo ty już jesteś z urodzenia nie człowiek, a baba. Urodzona baba! Dziś ciebie obchodzi jedynie bal, girlandka, loczki, fioczki. A potem, będą smoczki i pieluszki. A pozatem nic. Pociś ty się fatygowała pensję kończyć i patent zdobywać? To doprawdy nie wiem.

— A jednak zdobyłar. I to z odznaczeniem.

— Naco ci to potrzebne? Ładna jesteś — i tak-byś znalazła amatora.

— Jaktó, naco? Zawsze lepiej mieć patent. Dziś — taka moda.

— Chyba, że dla mody. Bo pracować chyba nie będziesz?

— Czy ja wiem? Może... Jeśli prędko nikt się nie trafi... Wiesz przecie, że my wcale nie jesteśmy bogaci. Tatuś zarabia dobrze — to prawda — i żyjemy przyzwoicie. Ale jest nas czworo — chłopcy już w szkołach — to niemało kosztuje. I Manię wkrótce wypadnie oddać na pensję. — A i ja teraz, jako panna...

— Na wydaniu — wtrąciła Ina.

— A na wydaniu — potwierdziła spokojnie Ewelinka. Otóż panna na wydaniu musi mieć ładne suknie i bywać i jeździć. — A to kosztuje. Mamusia jest bar-

dzo praktyczna, ale chcąc mieć salon elegancki, lokaja i fiksy — to ledwie, ledwie końce związuje. Albo i nie związuje. A ja wiem, że w posagu będę miała... ten... znany dobrze... świeży... owoc...

— Więc czyżby nie było rozsądniej?...

— Co? Postarać się o lekcje i zacząć biegać od domu do domu? Albo wziąć miejsce kasjerki, buchalterki, czy coś podobnego? Nie, moja droga! Dziękuję za łaskę! A któżby mnie potem wziął? Na to zawsze będzie pora...

— A jabym sto razy to wołała. Ja sama — wiesz — wzięłam na lato kondycję, zarobiłam sobie sto rubli — no, i mam na wyjazd do uniwersytetu. Od rodziców nic nie wezmę, bo i tam mam nadzieję, że sobie jakoś dam radę sama. A czyż to nie przyjemnie być samodzielną!

— E, ja tam o to nie dbam. I tak, najczęściej to robię, co sama chcę, — zaśmiała się Ewelinka. Wolę być w domu — i pobawić się trochę.

Zamilkły obie. Ina stała przy piecu, grzejąc wiecznie zimne dłonie. Ewelinka skończyła robotę około paznogi i coś układała na tualetce. Ruchy jej były spokojne, umiarkowane.

Nagle Ina się poruszyła, wzięła kapelusz i zaczęła go sobie przypinać na głowie.

— Idziesz już? Czemu? Zostań! Zaraz dadzą śniadanie — prosiła Ewelinka.

Ina nie odpowiedziała wcale na zaproszenie.

— Może być — zaczęła powoli, wciągając na palce bardzo zużytą rękawiczkę — może być, że i takie są potrzebne. Ostatecznie, ktoś musi dzieci rodzić,

kuchni pilnować, cerować pończochy, suszyć pieluszki — ktoś musi to robić — bo światby stanął na miejscu. No! ale dziękuję za takie życie! Mnieby to nie wystarczyło.

— Ależ, Ino, i ja wcale nie myślę przez całe życie tylko kuchni pilnować i cerować pończoch. Ale, naturalnie, że gdy będę miała swój dom, to zajmę się gospodarstwem. To przecie nasz obowiązek. Mów sobie, co chcesz, a Pan Bóg nie stworzył kobiety na to, aby się zajmowała polityką i takimi rzeczami — ale na to, aby pilnowała domu. W jej ręku szczęście domowego ogniska...

— Ach, Boże! Już jest i obowiązek kobiety — i domowe ognisko! Gadasz, jak własna matka. Nie, ja się wynoszę. Do widzenia.

— Robisz się śmieszna, Ino, z tą swoją emancypacją.

I Ewelinka zaperzyła się na jedno mgnienie oka.

— Może ja śmieszna. Może ja emancypowana. Ale już mam potąd tych morałów! Wynoszę się. Baw się wesoło na balu — i złap sobie prędko jakiego męża — dodała jeszcze Ina z za drzwi. I znikła.

II.

Na balu u mecenasostwa było bardzo wesoło. Śliczny był salon, jasno płonęły świece w żyrandolach, toalety pań odznaczały się wykwintnym smakiem, twarzyczki przeważnie młodziutkich tancerek uśmiechały się w obramieniu jasnych lub ciemnych loków, tancerzy, a nawet epuzerów — było dosyć, wodzirej był najlepszy w całej Warszawie, muzyka grzmiała zamaszystym mazurem, lub kołysała śpiwnym walcem, kolacja zapowiadała się wyśmienita, a bufet był zastawiony tak smacznie przekąskami, tak pyszną starą wódeczką i tak misternie skomponowanym kruszonem, że obłężenie ani na chwilę nie folgowało, a tylko coraz większa błogość i zupełne zadowolenie rozlewało się pod wykrochmalonemi gorsami męskich koszul i występowało na zarumienione twarze.

Tańce szły z życiem i z niezwykłą werwą. Nawet epuzerowie, zwykle znudzeni już zawczasu, dziś się rozruszali i wywijali mazura zupełnie tak, jak zwykli śmiertelnicy — jak ci oto studenci biedacy, których także zebrała się spora gromadka, wprowadzona przez kolegę mecenasowicza. Mizeraki, w bardzo wyczyszczonych mundurach lub w wynajętych frakach, pili, jedli, flirto-

wali nazabój z pannami, mężatkami nawet kręcili bez żadnego uszanowania, bawili się sami doskonale i całej zabawie nadawali ton prawdziwie młody, świeży, wiosną tchnący i majem.

Ewelinka w swej różowej sukience, z różami u gorsu i w jasnych włosach miała wielkie powodzenie. W pierwszej chwili trochę onieśmielona, szybko odzyskała zwykły spokój i pewność siebie. Czuła, że jest ładna, i że niejedne oczy z lubością na niej spoczywają. A czuła również i w sobie pewien nieznany dotychczas płomień, który ją od wewnątrz ogrzewał i wzbudzał w niej dziwną jakąś odwagę. Po chwili była już tak oswojona z otoczeniem, z blaskiem, strojami, muzyką, gwarem rozmów i ogólnem rozflirtowaniem — jak gdyby ta właśnie atmosfera była jej właściwym żywiołem. Sama też bezwiednie prawie ułożyła usta swe różowe w łagodny półuśmiech, z którym wiedziała, że jest jej ślicznie, oczy nawpół przysłoniła rzęsami, tak, że się stały marzące i nieco tajemnicze, pierś, przysłoniętą dyskretnie gazą stanika, naprzód podała, główkę jasnymi splotami ubraną skłoniła wdzięcznie na białej, toczonej szyi — i uwydatnić potrafiła odrazu wszystkie najlepsze strony swej osoby.

To też starsi panowie okiem znawcy za nią śledzili, tancerze przedstawiali się jeden za drugim, a podczas mazura, siedząc z przystojnym młodzieńcem w zagłębieniu okna, prowadziła rozmowę ożywioną i trochę już poufną.

Młodzieńcem tym był Stefan Gliński, obywatel z Litwy, gdzie posiadał po ojcu dość wielki, lecz nadzwyczaj zadłużony majątek ziemski, w kieszeni zaś —

skandalicznie pustej — patent ze świeżo ukończonej jakiejś zagranicznej politechniki. Majątek był od wieków opuszczony, zaniedbany, rabunkową gospodarką zrujnowany doszczętnie. A jednak to stare Zabrodzie takie zawsze drogie było, takie miłe i ukochane, że nigdy, nigdy, za nic w świecie nie byłby się z niem rozstał. Uporządkować to dziś i osobiście gospodarstwa prowadzić nie mógłby wcale, gdyż musiałby włożyć w to przynajmniej kilkanaście tysięcy, aby doprowadzić do możliwego stanu. Wolał więc sam pójść inną drogą.

— Jestem przeważnie budowniczym, proszę pani — opowiadał o sobie — niedawno skończyłem nauki i zdobyłem patent. A teraz, osiade w mieście. Coś mi tam obiecują — mamy też zamiar z kolegą założyć na spółkę biuro budownicze. — O, piękne mamy zamiary! Bo to, proszę pani, obowiązek nasz, młodych — nieprawdaż? — pobudzić do życia miejscowe siły, rozwinąć w kraju przemysł — dać impuls... nieprawdaż? Pracować zamierzam z całych sił — a jak tylko coś sobie uzbieram, to wezmę na siebie moje Zabrodzie — i wszystko doprowadzę tam do wzorowego stanu.

— To pan lubi wieś?

— O, namiętnie, proszę pani, namiętnie! — Piwne oczy Glińskiego rozbłysły nagle. — Ja tylko na wsi żyję prawdziwie. Ach! pole — las — przestrzeń! I ta rola, co pachnie — i te zboża, co się do nóg kłaniają! No, i ludzie... i... i wszystko... Wszystko na wsi jest miłe, proszę pani. Ach, gdybym tam mógł zamieszkać! Gdy tam jestem, w mojem Zabrodziu, to nigdy, ani przez chwilę, nie zatęsknię do miasta — do tych waszych teatrów, balów, rautów...

— A tam na wsi ma pan jakie towarzystwo?

— Jest trochę — ale mało. Zczasem, toby się i tam wyrobiły stosunki. I nawet możnaby zrobić tam wiele... bardzo wiele dobrego. — Trochę to nasze »obywatelstwo« rozbudzić... Bo to, proszę pani, śpi, jak te niedźwiedzie, co na zimę się ułożą w barłogu i tylko łapy ssą. — Tak, tak! No, cóż — teraz, to tylko mogę marzyć o tem. Hroszy niema, daj hodzi — dodał z białoruska. I zaśmiał się. A w śmiechu ukazały mu się zęby zdrowe, równe, duże, błyszczące białością wśród czerwonych warg, z pod ciemnego wąsa.

Ewelinkę przeszedł dreszcz. Widok tych czerwonych ust, miękkich i wilgotnych, rozsuwających się w uśmiechu na tle zdrowych, silnych zębów, wstrząsnął nią dziwnie. Coś jakby ból — lecz zarazem jak rozkoszne polectanie — poruszyło ją do głębi. I przez osobliwe skojarzenie myśli odrzekła po chwili cicho, głosem trochę drżącym, jakby wypowiadała rzecz pełną znaczenia i wagi:

— I ja lubię wieś.

A on ucieszył się, jakby mu o to jej lubienie bardzo już chodziło.

— Doprawdy! I pani!...

— Ależ tak, tak! Bardzo lubię. W tym roku całe lato spędziliśmy pod Grodziskiem, i było bardzo przyjemnie!

— O! pod Grodziskiem! Cóż to za wieś! Ot, żeby pani widziała Zabrodzie! To dopiero! Jak okiem sięgnąć, łąki — błotne wprawdzie — ale co za przestrzeń! A las — nie jest bardzo wiele wart, bo ojciec rąbał i rąbał — no, ale zawsze porównać tego nie można z temi sośniaczkami,

mi, co to tu, pod Warszawą, nazywają lasem. I co jest najmiłsze, na takiej swojej wsi — to, że człowiek jest prawdziwie panem u siebie. Ma pole do działania. O! jak u nas, to szerokie pole. Bo to i gospodarka — i społeczeństwo — lud wiejski. — O, chcąc — to dałoby się wiele, wiele zrobić — zwłaszcza mając pomoc i poparcie — i zachętę od kogoś bliskiego... mając z kim się naradzić, z kim myśli podzielić...

Uśmiechnął się. I znowu zabłysły jego białe zęby. A przytem, spojrział na nią tak — zdawało się — znacząco!

Ewelinka poczuła, że się rumieni. I była rada, bo wiedziała, że jej z tem ładnie.

— O, to najlepsze życie, o jakim człowiek może zamarzyć — dodał on jeszcze.

Zamilkli. A że przyszła na nich kolej, odtańczyli swoją figurę i wrócili na miejsca.

— A pan, jak tam jest, w swoim Zabrodziu, nie tęskni do ludzi? — spytała Ewelinka, gdy usiedli, nawiązując znów przerwana rozmowę. Czula jakoś, że rozmowa ta i jemu przypadła do smaku. Spojrzała przytem w samą głęb jego oczu.

On spojrzenie to przyjął, jakby z wdzięcznością.

— Do towarzystwa, do ludzi — to nie tęsknię, proszę pani. Ale czasem, przyznaję, radbym mieć przy sobie kogoś — ot tak, kogoś swojego... Bo to człowiek samotny, jak palec... A pani wie, że już do Adama Pan Bóg mówił: »Niedobrze człowiekowi być samemu«. No, i stworzył biedakowi Ewę na pociechę...

Zaśmieli się.

— I pan znajdzie kiedyś swoją... — chciała po-

wiedzieć »Ewę«, ale nagle wstyd ją ogarnął i urwała. Boże! gdyby on wiedział, że właśnie jej na imię Ewa.

On spoważniał odrazu. I zaczął mówić cicho: — Bo ja wiem! Znajdę i ja może swoją Ewę. — Ale to niełatwo — to wcale niełatwo. Bo ja mam o miłości i o małżeństwie dość wysokie pojęcie. Dla mnie — to nie zabawka. Wolalbym pozostać na wieki samotnym, niż życie swe połączyć z jakąś — ot, taką pierwszą-lepszą gąską. Bo żona, proszę pani, to dla mężczyzny ważna rzecz. To — można śmiało powiedzieć — najważniejsza rzecz w życiu. — Urwał, trochę pomilczał i dodał ci-chutko: — Dla mnie szczególniej...

— Czemu — dla pana szczególniej?

— A bo — widzi pani — to cała historia. Ja mam taki charakter, że muszę mieć przy sobie kogoś dobrego — to wtedy i sam będę dobry. A jak nie — to kto wie! Już taki mam charakter. — Po ojcu pewnie. — Ale... może to śmieszne, że ja o tem mówię? Może to nie wypada, co? I panią to nudzi...

— Ależ nie, nie! Owszem...

— Bo, proszę pani, ja wieśniak jestem, prostak, litwin zaśniedziały i wcale nie wiem, co na wielkim świecie wypada, a co nie wypada — o czem można gadać z panienkami, a o czem nie można. Ja dotychczas prawie jedynie żyłem z kolegami i to niebardzo, bo Polaków mało tam było, a bratać się z niemieckimi burszami, to nie moja rzecz. Ale, jeśli panią nie nudzę, to powiem, że ja nad tem szeroko rozmyślałem. I im więcej myślałem, tem bardziej rozumiałem, że małżeństwo — to w teorii prześliczna rzecz, bo to jest i dopełnianie się wzajemne,

i pociecha, i poparcie, i pomoc i tak dalej. — Ale w praktyce. — Oj! to najczęściej wychodzi nie tak.

— O! Dlaczego? — szepnęła Ewelinka. — Spuściła główkę i usta zamknęła poważnie, jakby w głębokiej zadumie nad poruszoną kwestją. Naprawdę jednak nic a nic nie obchodziło ją w tej chwili pytanie, czy wiele jest na świecie szczęśliwych małżeństw? lecz to drugie, bliższe i bardziej osobiste: czy on mi się naprawdę podoba, czy tylko tak sobie? A ja jemu?

I słuchając w dalszym ciągu jego słów i odpowiadając na nie to uwagą, to uśmiechem, to spojrzeniem powłóczyłem z pod spuszczonych rzęs, Ewelinka wytężała, jak mogła, swe obserwacyjne zmysły i towarzysza swego analizowała uważnie.

Tak, stanowczo jej się podobał.

Miał oczy takie jakieś miłe, w których, gdy mówił, raz wraz zapalały się płomyki. I głowę ciemną, krótko ostrzyżoną — i taką tęgą, gładką, utoczoną szyję, co się wysuwała z białego, jak śnieg, kołnierzyka. I miał postawę całą prześliczną — szeroką pierś i takie zgrabne, sprężyste nogi! A ręką, gdy ją podawał do mazura, czuć było, że silna. — A ramię, gdy w zakręcie niem otoczył, ach! jakże było jakieś pewne — jakby ze stali ukute!

A gdy w ostatniej figurze mazura wodzirej nagle zawołał: Walc! — wszystkie pary! — i popłynęły smętne tony, i Ewelinka znalazła się w objęciu Głińskiego i sunęła po gładkiej przestrzeni, lekko wirując, z głową odurzoną, z sercem bijącym, i czuła na sobie to ramię silne — a tuż blisko tę pierś męską — zrobiło się jej dziwnie, dziwnie błogo i pomyślała: — O, gdyby się to mogło nigdy nie kończyć!

Ale się skończyło.

Niezupełnie jednak.

Gdy już nad ranem w natłoczonym wychodzącymi gośćmi przedpokoju Gliński podawał Ewelince okrycie, ona mu szepnęła, obrzucając go na pożegnanie gorącym spojrzeniem:

— Pan do nas przyjdzie — prawda? My mamy wtorki. — Do widzenia we wtorek.

III.

Pokochali się, zaręczyli i pobrali.

Okazało się, że Ewelinka jest właśnie wcieleniem tego ideału, którego on szukał bezwiednie i o którym w głębi duszy swej marzył. — Że niema i być nie może nikogo na świecie, co by go lepiej rozumiał, co by tak subtelnie, tak trafnie mógł odczuć każde jego serca bicie. — Że wreszcie ona jest tą jedyną, od której spodziewać się może poparcia i pociechy i pomocy w życiu i dopełnienia własnej istoty i impulsu do wszystkiego, co wzniosłe i dobre.

Dowodem tego był ten jej cudny uśmiech, tak pełen słodyczy, i to spojrzenie błękitnych oczu, takie niewinne i czarujące!

A dla niej też on był ideałem. Tym właśnie wyśnionym w panieńskim marzeniu — tym, który zjawia się nagle, jak piorun z jasnego nieba, i porywa i unosi i dla którego wszystko się porzuca i o wszystkim się zapomina i idzie się za nim na kraj świata — po to życie nowe. — On był właśnie tym — jedynym.

I w pogodny, słoneczny dzień czerwcowy znaleźli się we dwoje w ciszy starego dworu, w zapadłym, na koniec świata, za błota i lasy zasuniętem Zabrodziu. On

postanowił tam spędzić swe miodowe dnie. Ona zastosowała się najchętniej do jego żądania. Ach! wszystko dla niego! myśli, życie, dusza i ciało, każde drgnienie serca, każdy dzień, każda godzina! Bo on jeden na świecie. — W nim jest świat cały. — W nim początek i koniec wszystkiego. — Jego głos — to najcudniejsza muzyka. Jego pocałunek — to raj. Jego pieszczota — to szczęście najwyższe. Poza nim niema nic. On swą ubóstwioną osobą wypełnia świat cały. On jest początkiem, końcem, całą treścią istnienia. On — Stefek!

Oddała mu się cała — z pasją, z namiętnem umiłowaniem, z niewolniczą adoracją, z rozkoszą. Onieśmienie i jakby żal pierwszych chwil trwały krótko. Opanowała ją wnet szalona namiętność i zawładnęła całą jej istotą — uniosła ją i porwała. I już nie ulegała ona mężowi — lecz owszem nad nim panowała. Wyzywała jego pieszczoty, ust jego szukała w ciągłym utęsknieniu, pożądała jego objęć silnych, jego uścisków gorących.

Aż się dziwił nieraz w głębi duszy Stefan, że tyle ognia i namiętności znalazł w tej młodziutkiej pannie, tak dobrze wychowanej, tak starannie w domu rodzinnym strzeżonej. Ale że mu było z tem dobrze, lepiej, niż to mógł w najśmielszym marzeniu przypuścić, więc też nie dziwił się długo. Używał cudnych, miodowych swoich dni. Kochał — posiadał — i był jak w raju.

Pływały dnie miodowe, jak sen, — rozwijały się, jak złotem i perłami haftowana wstęga — pod cieniem stuletnich lip, które otaczały dwór zabrodzki.

W lipach brzęczały pszczoły, miód pachnący zbierając. Pod niemi rozkochana para ludzka piła wzajemnie z ust swoich miód upojenia.

A na niebie wysokiem, nad głowami pracowitych pszczółek i rozkochanych ludzi chodziło złote słońce od sosnowego boru, tam za ługami — do pagórka nad stawem, gdzie się na noc kładło. Chodziło, grzejąc, świecąc, sypiąc iskry złote, bogatemi barwami malując świat — i ciesząc serca.

Pływały dnie miodowe w wielkiej ciszy wiejskiej i w oddaleniu od świata tak zupełnem, że nawet poczta ledwie raz w tydzień dochodziła — w zapamiętaniu — w miłosnem odurzeniu.

Życie całe było jeszcze przed nimi. Wiedzieli, iż życie to wolnem od trosk i zadań nie będzie. Ale ani myśleć, ani pamiętać o tem nie chcieli. Co ma być, to się stanie. Dziś jest nasze. Dziś niesie nam czarę rozkoszy pełną. Pijmy z niej! Sączmy ją do ostatniej kropelki!

Tak czuł i myślał Stefan. Nie chciał w przyszłość zaglądać, nie chciał zajmować się żadnemi realnemi sprawami, nie dawał do siebie przystępu interesantom i oczy odwracał od pól źle uprawnych, od budynków kołami podpartych, od zachwaszczonych łąk, od inwentarza zgłodzonego i ledwie włóczącego nogi. Nawet włością, z którymi dawniej starał się żyć po sąsiedzku, dziś unikał.

Wolał iść z żoną — obejmując się — w głąb parku, w gęstwinę rozrosłych dziko krzewów, pod szumiące konary starych lip i dębów — i tam zachwycać się naturą, słuchać śpiewu ptaków i brzęku owadów.

Wolał z nią razem puszczać się w małej łódce na dzikie kaczki — o świcie zasadzać się na bekasy — ze starą dubeltówką na plecach wędrować przez lasy i pola.

Wolał w księżycowe noce błądzić z nią wśród nad-

rzecznych oparów i słuchać jej nabrzmiałego uczuciem głosu, deklamującego mu:

»Kocham« — to znaczy: twoje ideały i twoje cele są także moimi...

»Kocham« — to znaczy: chcę z tobą podzielić gorzki chleb trudu...

»Kocham cię« — znaczy: o wolny ty duchu! ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych, przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych...

»Kocham« — to znaczy: ja chcę być dla ciebie prawdy i dobra i piękna zaklęciem...

Bo czarująca była wówczas jego Ewa, w blaskach księżycy, z tą promienną i natchnioną jakby twarzą.

Wiedział, że to skończyć się musi, i że przyjdzie chwila myślenia o sprawach innych. Ale pragnął, aby ta chwila przyszła jaknajpóźniej.

Przed ożenieniem musiał zabezpieczyć byt swój i, żonę biorąc, musiał pomyśleć o tem, aby miała jakiś dach nad głową. Udało mu się nadspodziewanie. Dostał posadę przy nowo utworzonym przedsiębiorstwie — posadę skromną, ale dającą już i na początek chleba kawałek. Od jesieni miał ją objąć. Spodziewał się prócz tego innych robót, zamówień i t. d. i nie wątpił w powodzenie. — Pracować chcę i fatygi żałować nie będę — myślał — zdolności i naukę fachową posiadam. Być nie może, abym sobie nie dał rady na świecie! O, zdobędę kawałek chleba dla siebie i dla mojej pani ukochanej. I nie tylko to — ale jeszcze — jeszcze — zdobędę coś więcej — pozycję — stanowisko w świecie... Będę kimś takim... z którym, no, z którym liczyć się trzeba. A zczasem i Zabrodzie doprowadzę do porządku. — Tego za-

miaru nie wyrzekał się bynajmniej. A to tem bardziej, że i Ewelinka okazywała wielkie zainteresowanie się starem gniazdem Glińskich i żywą chęć jego ratowania od upadku.

Tylko że jej uczucie dla Zabrodzia było inne. Ona mniej się zachwyciała pięknnością starych drzew, lub świetną barwą mchu, którym dach porastał. Ją bardzo prędko zaczęły irytować wypaczone i niedomykające się okna, dziury w podłodze, brak najpotrzebniejszych sprzętów. A zaciekawiało ją natomiast gospodarstwo, wysokość rozchodu i przychodu. Zaczęła obliczać, porównywać, robić uwagi, które okazały się dość trafne.

— Ponieważ sam zająć się tem nie możesz jeszcze, Stefku — mówiła — więc czy nie byłoby korzystniej wydzierżawić? Pomyśl, co ty tu na pensję i na ordynarję wydajesz! A na robotnika! A tak, to mielibyśmy coś pewnego — jakiś określony dochód. Czy urodzaj, czy nieurodzaj, to dzierżawca musiałby zapłacić.

— Może byłoby lepiej — przyznawał Stefan. — Ale niełatwo o dobrego dzierżawcę — każdy będzie ziemię wyniszczał. A przytem, cóżbym zrobił z tą całą gromadą starych sług? Toż to już wrosło w Zabrodzie...

— No, mój drogi, — to trudno. Utrzymywać darmozjadów nie mamy za co. — I sami nie jesteśmy bogaci. — Trzeba najprzód myśleć o sobie.

I Ewelinka myślała o sobie. Coraz częściej i fraszliwiej myślała. Budowała sobie w wyobraźni to nowe życie swe w nieznanem jeszcze mieście, troszczyła się zawczasu o różne szczegóły: mieszkanie, służącą, meble, naczynia, firanki. — A co wiele kosztuje? A gdzie kupić najtaniej? A bez czego tymczasem obejść się można?

Matka.

Chodziło jej to wszystko po głowie i zaprzętało myśli między jedną a drugą pieśczętą.

Czasem, gdy zdarzyła się godzina samotności, zaczynała wędrować po starym óworze i szacować jego zawartość. Meble oglądała uważnie, coś sobie kombinując. Zapuszczała się coraz dalej — do piwnic sklepionych, na strych, do tak zwanej apteczki, której klucze spoczywały w drżących rękach stuletniej babiny, do lodowni, węglarni — wreszcie, kazała sobie otworzyć »skarbiec«.

»Skarbiec« — był to staroświecki lamus o łamanym dachu, z małemi, okratowanemi oknami, otoczony galerjami na słupach, na których wiecznie coś się suszyło, o drzwiach okutych we wzorzyste desenie, z zamkiem domowego wyrobu, ciężkim i zgrzytliwym, lecz tak skomplikowanym, że nikt niewtajemniczony nie umiałby go otworzyć. — Stał ów skarbiec, a raczej powoli w ziemię się zapadał, w głębi lipowego szpaleru. Zamczysty, ponury, trochę tajemniczy — chciał niby wzbudzić szacunek dla owych nieznanych skarbów, jakie w sobie krył.

Ubrana w ogromny fartuch, Ewelinka bez żadnego szacunku wtargnęła do jego wnętrza. I z pomocą Andruka, uniwersalnego popychadła, rozpoczęła po nim wędrowkę.

Czego tam nie było, wielki Boże! Od prastarych lat, od czasów ginących w mgłę wieków, odkąd ród Glińskich gniazdo swe na Zabrodziu założył i na niem porastać zaczął w dostatki i mienie. — Stary skarbiec wchłaniał w siebie wszelki tych dostatków nadmiar. Pokolenia szły po pokoleniach — żyły i umierały — i pamięć o nich gasła. Lecz w starym skarbcu ślad po każdym

z nich zostawał. Graty, rupiecie, połamane sprzęty, zardzewiałe i pleśnią pokryte narzędzia, tkaniny zbutwiałe, papierzyska żółkle, omszałe księgi — wszystko to trwało, owiane kurzem, oplecione pajęczyną, zwalone i zepchnięte razem — w mroku, w stęchliznie, w cieniu — objęte moonemi jeszcze ścianami lamusa, pokryte olbrzymim i ciężkim jego dachem.

Wtargnęła tu »młoda pani« ze ścierką, miotłą i gęsiem skrzydłem. Otworzyła drzwi i okna, napuściła świeżego powietrza i słonecznych promieni. I rozpoczął się dla starego skarbcza — sądny dzień. Pająki skryły się w jakieś niedostępne szczeliny — muchy zamarły ze strachu, mole zdrętwiały, a robaczki, gryzące dotychczas tak śmiało wszystko, co napotkały, znieruchomiały naraz i siedziały cichutko.

— Ach, jak tu nieporządnie! — wołała Ewelinka — nawet wiedzieć nie można, co tu jest! Trzeba tu zrobić porządek.

Stefan nie sprzeciwiał się, chociaż trochę było mu przykro. Czuł jakby obawę jakąś przed tą przeszłością szanowaną, którą oto miano znieważyć. Nie chciał jednak okazać tego Ewelince. — Niech się bawi — myślał — byleby się nie zmęczyła.

Ale ona bynajmniej nie dla zabawy zajęła się porządkami w lamusie. Była pewna, że tam naprawdę kryją się skarby — że tam znajdzie niejedno, co się przyda w nowym domu. I nie zawiodła się. W skrzyniach leżały jakieś płótna, jakieś domowe obrusy, jakieś »szpalerowe« dywany, które po wywietrzeniu i wyreparowaniu mogły być jeszcze dobrze użyte. Z pod złomów i śmiecia wyglądały jakieś cynowe misy i wazy, bieleły

się skorupy pięknej porcelany, a po gruntownem przeszukaniu okazało się parę sztuk starosaskich, z których uważne sklejenie mogło uczynić prześliczną dekorację do stołowego pokoju. Nawet trochę dało się znaleźć takich mebli, które po odrestaurowaniu mogły służyć wiele lat jeszcze, a swoją cechą staroświecką mogły nadać mieszkaniu ten pewien dystyngowany ton, o który przecie dziś każdemu chodzi.

— Widzisz — mówiła Ewelinka do męża, pokazując mu wyniesioną naienne światło obszarpaną mahoniową kanapę i stół kulawy, na którym jeszcze złożyły się brązowe girlandki — widzisz. — To się odczyści, odnowi i będzie bardzo ładne. A połowy nie będzie tego kosztowało, co nowe. A te dwie komódki — to nic, że teraz obszarpane, ale będą śliczne. — Widzisz, jakam ja praktyczna — dodawała z dumą, i nadstawiała mu do pocałunku swoją świeżą twarzyczkę.

Że praktyczną była Ewelinka, o tem przekonywał się Stefan na każdym kroku. I rad był z tego. Nie spodziewana to dla niego była zaleta w żonie, którą go, jako »panną z miasta«, jako »warszawianką«, straszły przed ożenieniem różne ciotki i kuzynki.

»Panna z miasta« traktowała bardzo na serjo swoją rolę przyszłej pani domu i podczas, gdy on oddawał się w pełni miłemu *far niente* i gdy nawet w interesy wglądać nie chciał — ona nie próżnowała.

— Muszę sobie porobić trochę zapasów na zimę — zawyrokowała pewnego dnia. — I odtąd poczęły się mnożyć na półkach słoje z konfiturami, marynaty, suszeniny różne, sery jabłeczne i śliwkowe, grzybki solone, duszone, korniszony i kompoty. Z zapalem, z za-

dziwiającą pewnością siebie i z prawdziwym talentem zgarniała zewsząd dobytek, zbierała, gromadziła, ściągała do siebie bogactwo wszelakie. Dziwną, odziedziczoną po długim szeregu pokoleń intuicją wiedzioną, wyciągała dłoń w stronę, z której mógł w nią wpaść łup. A gdy łup ten miała już w ręku, trzymała go mocno, zazdrośnie i już nie wypuszczała. Budowała już z wolna lecz wytrwale dom przyszłości swej i ściągała doń zapasy na długie, długie trwanie. Całą energję i myśli wszystkie wyteżyła w tym kierunku. Poza miłością istniało dla niej jedynie bogactwo. Zresztą, świat mógł się zapasć.

Ale i miłość i bogactwo były — chociaż bezwiednie — nietylce celem, co środkiem dla niej. Środkiem do czego? Sama nie umiałaby tego określić. Czula wszakże, i to z każdym dniem wyraźniej, że jeszcze na coś czeka, że jeszcze coś dla niej przyjść musi, co dopiero da zadowolenie i życie wypełni po brzegi.

Gdy mąż, miłością syty, marzył o działalności przyszłej, o zadaniu do spełnienia, o walce w szeregach tych, którzy idą wciąż naprzód z pochodnią, o zdobywaniu nowych pól szerokich i nowych horyzontów jasnych, o własnej wreszcie roli na świecie, ona, wśród najśodszych uniesień — ona pytała wciąż: — Co z tego będzie? I wciąż jeszcze czekała.

Nie dość jej było miłości — czekała na jej owoc.

Gdy Ewelinka przekonała się, iż zostanie matką, dziwne ogarnęło ją uczucie. Radość to była, lecz jakże różna od wszelkich, doznanych dotychczas radości! Jakaś owiała ją powaga wielka, uroczysta, jakby cisza przed spodziewanym cudem. I tkliwe dla siebie samej

uczucie, szacunku pełna dla siebie troskliwość, zapatrzenie się w siebie adorujące i pełne zachwyty.

Stefan przyjął wiadomość dość obojętnie.

— Ty się nie cieszysz? — spytała go z wyrzutem Ewelinka.

— Czegoż mam tak bardzo się cieszyć! Nie wątpię, że, prędzej — później, to przyjdzie. Ale, przyznam się, wołałbym później. Teraz — lokowanie się, jazdy, przeprowadzka — w tym stanie... Moznaby z tem poczekać jeszcze.

— O, mnie nic nie zaszkodzi! A jestem taka szczęśliwa! taka szczęśliwa! Będę miała swoje własne, najmilsze małenstwo! Ach, Stefku! Tego tylko brakowało mi do szczęścia!

— Brakowało... do szczęścia?... — powtórzył on. I zamyślił się.

Jakto! Więc jej, którą on wybrał i miłością swą obdarzał — jej, którą on wprowadził do czarownego miłości raj — jej czegoś jeszcze brakowało!

Trochę żalu i urazy wśliznęło mu się do duszy — i coś, jakby cień zazdrości po niej przemknął — i gniewu do tej jakiejś istoty nieznanej, niewiadomej, niewidzialnej jeszcze, a która mu już odbierała część jego prawowitej własności.

Ale, że Ewelinka się cieszyła, więc, ostatecznie, łatwo przyszło pogodzić się z losem — narazie...

IV.

Wyjeżdżali oboje z Zabrodzia z ciężkiem na sercu uczuciem. Zdawało im się — chociaż tego jasno nie umieli sformułować, iż coś nieodwołalnie dla nich się skończyło. Jakaś świetlana przeszłość zapadła się bezpowrotnie. — Jakaś księga złota zamknęła się. — I już nigdy, nigdy się nie otworzy.

Ewelinka, zajęta pakowaniem zdobytych skarbów i porządkowaniem pozostawionych w domu rzeczy, nie odczuwała tak dalece owej melancholji rozstania. Stefan czuł ją dotkliwiej. Włóczył się z kąta w kąt po starym domu, wybiegał do parku, już dotkniętego dłońią jesieni, siedł nad staw, szumiący trzciną — i było mu smutno. Po szczęśliwych dniach sielanki we dwoje czuł się nagle dziwnie samotnym. Ewelinka przecie była tu blisko — ta sama jego ukochana Ewelinka.

A jednak — nie, nie ta sama. Coś już mu ją odmieniło. Nie poznawał już swej dawnej Ewy, rozkocharnej do szaleństwa, dla której on był początkiem i końcem wszechświata — w tej skrętniej, porządkującej i przewidującej kobiecie. Poza nim, posiadała już ona świat inny, inne cele. Sama już, niezależnie od niego, szła własną drogą.

Niezależnie od niego — tak, jakby go już nie potrzebowała...

Żal szarpnął jego sercem. Czyżby... szczęście... miało się już skończyć?... Tak prędko... Tak prędko?...

Nie, nie! Zatrzymać je, spętać, związać mocno — aby nie odleciało...

— Ewuś, chodź-no jeszcze do parku — prosił. — Przejdziemy się, zanim konie podejda.

— Zaraz, zaraz, mój drogi. Poczekaj chwilkę, tylko te słoiki obwinę.

Podniosła głowę z nad skrzyni pełnej siana, przy której klęczała. Twarz jej była zarumieniona od zmęczenia, ale bez uśmiechu. W głosie przebijało zniecierpliwienie.

— Nie możesz sobie wyobrazić — skarżyła się — jacy oni tu wszyscy do niczego. Trzeba chyba samej, własnoręcznie każdą rzecz zrobić. Na nikogo zdać się nie można. O, kazałam wczoraj Andrukowi zapakować konfitury — sama każdy słoik obejrzałam, pęcherzem obwiązałam. — Aż dziś patrzę — Bóg wie, po jakiemu zrobił — stłucze się jedno o drugie. — Zarazby się pobiło w drodze. Szczęście jeszcze, żem się obejrzała w porę!

— Zmęczysz się tem pakowaniem i jeszcze sobie zaszkodziś. Czy warte takiego zachodu te głupie słoiki?

— O! zobaczysz, jak się przydadzą. Sam będziesz zajadał. — Marynatki pysznie się udały. — No, już skończyłam. Tylko przybić wierzch.

Zawołała Andruka. Zaczęło się stukanie, potem obwiązywanie sznurami, potem jeszcze chowanie niektórych rzeczy, wtykanie do tłumoków tego lub owego —

potem otrzepanie sukni i umycie rąk — a wreszcie, po kilku jeszcze wydanych poleceniach i paru napomnieniach, Ewelinka z mężem wyszła do parku.

Z początku myśl jej była wciąż przy kuferkach i pakach. Coś sobie przymniała, zafrasowała się o coś. Ale gdy zasunęli się głębiej w park, gdy zaszli pod klony, ozłoczone już jesiennym przepychem, i pod nudziejące w słońcu dęby — olbrzymy; gdy w dali zamigotał staw srebrzysty, a pod stopami zaszeleściły spadłe liście, co jak płatki złote legły na zielonym aksamicie traw; gdy nad ich głowami rozpostarło się niebo, na które oczy ich razem patrzyły przez cały szereg tych dni szczęśliwych, to niebo ogromne, już mglistością jesieni owiane — to niebo, co miękko otulało dalekie widnokręgi, a na ich głowy lało łagodną, opalową i perłową poświatę; gdy, wobec tych rzeczy, tak już sercu miłych, mąż objął ją czule i do siebie przycisnął, Ewelinka uczuła nagle dziwny, gwałtowny strach.

Jakby stanęła nad otwartą nagle u stóp jej mogiłą.

Ze strachem do piersi męża przypadła i, kryjąc twarz na jego ramieniu, drżąc, szeptała: — Boję się... Stefku! Boję się... Nie chcę stąd wyjeżdżać — nie chcę, nie chcę. — Boję się...

Zdziwiony Stefan zapanował nad własnym smutkiem i zaczął ją uspokajać. Jakoż po chwili wróciła do równowagi i sama śmiać się zaczęła.

— Mój Boże! Czegóż ja się lękam! przecież i tam będziemy razem, we dwoje, a wkrótce nawet — we troje.

— Tak, Ewuś — będziemy razem. Tylko... tylko dobrze nam tu było. Więc teraz...

Umilkli. Obejmując się, poszli dalej w las i usiedli

w ulubionem zdawna miejscu nad stawem, na zwałonym pniu. Milczeli oboje. Kończyło się coś dla nich stanowczo, nieodwołalnie, na zawsze. I wiedzieli dobrze, że jeśli nawet i usiądą kiedy tak razem na tym zwałonym pniu, to już nie będzie to, co dziś.

Dokoła była jesień. Ich życie właściwie było wiosną jeszcze. A jednak, już coś w niem się skończyło — już coś położyło się w grób. I od tego grobu wiał na nich chłód.

Siedzieli długo, milcząc, przytuleni do siebie.

— Na przyszłe lato... — próbowała pocieszać się Ewelinka. Ale urwała.

On nie odrzekł nic. Pił nie odrywając ust z czary melancholji — roztopiał się w niej — dawał się jej chłonać. Poddawał się jej zdrętwiały.

V.

Gdy się znaleźli w mieście, wobec mnóstwa spraw do załatwienia, kłopotów wielkich i małych, interesów, postanowień realnych do powzięcia, układów do zawarcia — wobec rzeczywistości, pełnej drobnych, lecz nie dających się odsunąć konieczności — wszelka melancholja i tklivość rozwiały się.

Stefan musiał natychmiast objąć posadę. Mnóstwo roboty spadło na niego. Po całych dniach był w biurze lub gdzieś w mieście, przy budujących się domach. Pracował, zdobywał chleb.

To też wszelkie domowe troski i konieczności spadły na Ewelinkę. Ona musiała szukać mieszkania, układać się z rządcą o przeróbki, malowania, tapetowania i t. p., z kolei sprowadzać i rozpakowywać rzeczy, szukać służącej, umawiać się z froterem, pilnować majstrów i z nimi się wyklócać, odnawiać stare meble, szukać po wyprzedazach używanych lecz cennych jeszcze sprzętów. Ona musiała myśleć o tych niezliczonych a niezbędnych domowych drobiazgach, zdobywać je w najpraktyczniejszy sposób, lokować, układać. Ona musiała przede wszystkim obliczać wszystkie ruble i wszystkie kopiejki, co z jej

rak szły w świat, i pracowicie wiązać i dociągać końce owego sznura, na którym był jej dom. Zawisł.

Było to zadanie poważne i odpowiedzialne. Ale w naturze Ewelinki musiały istnieć drzemiące dotychczas w bezczynności siły, które teraz zbudziły się i stanęły do działania. Z zapalem i z zadziwiającą pewnością siebie zabrała się do zakładania ogniska, do stania sobie trwałego, ciepłego gniazda, do ściągania zewsząd dobytku, do gromadzenia bogactw i zapasów, do zabezpieczenia się od wszelkich możliwych strat, do otaczania tego przybytku swego wszelkimi możliwymi zaparami, do uzbrojenia tej twierdzy swojej i uczynienia jej obcym niedostępną. Wszystkie władze umysłu swego skupiła w tym kierunku i obróciła ku zgarnianiu i zdobywaniu. Zorientowała się szybko w nieznanem mieście, poznała jego zaułki ciasne, jego kramiki i ryneczki cuchnące, jego rozmaite przemysły, specjalności i obyczaje. Wiedzioną intuicyjnym węchem, umiała trafiać wszędzie w najodpowiedniejszą chwilę, kupować w najtańszy czas, wyzyskać dla siebie każdą okoliczność — i korzystać zewsząd ciągnąć. Walka z przekupką o kopiejki — walka z majstrami o parę rubli — wykombinowanie jak najtańszego a jednak dobrego obiadu — najlepsze zużytkowanie zapasu — najpokaźniejsze ustawienie domowych sprzętów — najumiejętniejsze maskowanie braków wszelakich — rozmnożenie w dziesięćkroć każdej cząsteczki bogactwa swego — oto czemu Ewelinka oddała się teraz całkowicie, z namiętnością niemal.

A oddała się tak zupełnie, iż myśli nawet o niczem innem nie chciała dopuścić do głowy. Nawet to, co robił Stefan, nowe jego zajęcia, stosunki, interesy i nadzieje,

nowe wrażenia, jakie odbierał, spostrzeżenia, jakie czynił, sprawy, wśród których się obracał — nie poruszały myśli jej do głębi. Gdy wracał do domu i zaczynał opowiadać, ona — zawsze uprzejma — słuchała jednak z roztargnieniem i nieraz przerywała mu: — A wiesz, jak mi się udało dziś doskonale! Masło, za które w magazynie żądano po 40 kop., ja na rynku kupiłam po 38. I wcale nie gorsze!

Z początku Stefan tem się nie zrażał. Brał nawet udział w jej troskach i podziwiał jej praktyczność. Rad był, że ona ją posiada, i to w tak wysokim stopniu. Bo przecie ustalenie bytu rodziny i jego mocno obchodziło. A czuł, że sam, o ile zdobyć potrafi, o tyle utrzymać nie będzie umiał. Pragnął zaś dla siebie, dla żony i dla tego dziecka, co wkrótce przyjść miało — dostatku i tej zasobności, która wyklucza niepokój o jutro. Więc rad był, iż żona w zdobyciu i w ustaleniu tego bytu tak dzielną mu jest pomocą.

Wszakże pragnął i czegoś więcej jeszcze. Zwłaszcza odkąd znalazł się w mieście, wśród ludzi, dawne jego młodzieńcze, szerokie ambicje odżyły. Po długim, wiejskim odpoczynku, po miłosnej kąpieli dni miodowych, czuł w sobie dziwny przypływ sił. Zapragnął działania, pola pracy dla innego celu, niż dla owego marnego grosza. Czuł młodą krew, przelewającą mu się w żyłach, która go parła do jakiegoś czynu, do męskiego wypowiedzenia się w jakimś wielkiem dziele. Chciał iść naprzód — zdobywać — budować gmachy wspaniałe — sztunnem brać niedostępne twierdze — nieść wysoko jakiś sztandar szacowny — i pod nim walczyć. Walka! Bój! Rwały mu się do nich serce i dusza — chociaż może

sam jeszcze nie wiedział zbyt jasno, o co i za kogo walczyć chciał.

Ewelinka tego, co się w mężu dokonywało, zrozumieć ani mogła, ani chciała. Cała ta kategoria uczuć i pragnień była dla niej obcą zupełnie. Podczas gdy jego wzrok wybiegał wdal ku szerokim horyzontom, a siły przeżyły się ku podjęciu wielkich zadań i duch leciał naprzód — ona udeptywała pracowicie domowe legowisko, ściągała doń okrucy i odrobiny wszelakie i stała bezpieczne gniazdo dla tego, co się z niej narodzić miało.

I tak się stało, że miodowa czara miłosnego upojenia, z której tam, w Zabrodziu, pili razem oboje, chciwie, łakomie, — że ten napój cudowny, który wlewał w nich boską moc i rozradowanie — w każdym z nich jednak działać zaczął inaczej.

W nim rozpałił płomień, co się nazewnątr rzwał i chciał ogarnąć szerokie pola ludzkości.

W niej wzbudził nowe życie, drżącą i wątłą iskierkę nowego ludzkiego istnienia, nad którym pochyliła się jej własna istota w pobożnej kontemplacji i w oczekiwaniu.

I tak się stało, że na samym wspólnego życia progu rozeszły się ich drogi.

Zrazu tego nie czuli i nie rozumieli. Żyli pod jednym dachem, zasiadali do jednego stołu, kładli się na spoczynek do wspólnego łóża. Zamieniali z sobą przyjazne, pieszczotliwe nawet słowa. Tylko myśli każdego z nich szły sobie zosobna.

— Ale ty nie słuchasz tego, co ja mówię — przerywał sam sobie niekiedy Stefan, ujrzawszy roztargniony wzrok Ewelinki.

— Owszem, owszem — słucham... Tylko — wiesz — przyszło mi na myśl, że... I tu zaczynało się opowiadanie z dziejów kuchni lub spiżarni. Albo coraz częstsze westchnienie:

— Taka dziś jestem zmęczona!

Rzeczywiście, twarz Ewelinki obrzękła, blada i jakby obwisła, figura jej grubiejąca potężnie z dniem każdym, ociężałość ruchów, jakaś powolność prawie majestatyczna, jakieś w sobie zamknięcie i stałe poczucie obecności tego »trzeciego« — wszystko to razem czyniło z niej całkiem już inną, dawniej nieznaną, istotę. Stefan patrzył czasem na żonę jakby na obcą. Nie poznawał w tej poważnej kobiecie swojej dawnej, białej i różowej Ewelinki, z którą się gonił po parku zabrodzkim, rzucając w nią zerwanymi kwiaty — chwytając zdyszowaną w objęcia — i unosząc z ziemi na rękach wysoko, wysoko!...

Nie poznawał jej. Odmieniło się jej ciało. Odmieniła się i dusza.

Czasem przykre mu to było. Ale pocieszał się nadzieją, że to przejdzie. Winien temu stan jej, taki męczący, ciężki. Gdy już wszystko szczęśliwie się skończy, to i Ewelinka odzyska dawną postać i usposobienie dawne. Czasem tęsknił do tej swojej ślicznej, wesołej kochanki, świeżej jak ranek majowy, a płomiennej, a rozgorzałej — jak samo letnie południe. Do tej Ewelinki, która była jego własną.

— Czy potem taką będzie, jak dawniej? — zadawał sobie nieśmiało pytanie.

Ufał jeszcze, iż dobre czasy powrócą — może tro-

chę inne, z powodu dziecka — ale jednak dobre, miłe dnie. I czekał cierpliwie.

Jesień i zima ciągnęły się powoli. Pełne fraszek i trosk nieodłącznych od wszelkich rozpoczynających — pełne też nowych myśli, wykrzesanych z zetknięcia z nowym światem — pełne jeszcze wahań i niepewności. Wisiało nad ich głowami poczucie tymczasowości, oczekiwanie nowego przybycia — jakby dopiero po jego przyjeździe miało się coś ustalić i rozpocząć naprawdę. — Byle »to« przeżyć, to już będzie dobrze — pocieszał się Stefan, w chwilach większego osamotnienia.

»To« nadeszło wreszcie.

Zjawiło się na świat boży w zwykłym akompaniamencie jęków i krzyku, akuszerki, teściowych, tupotu biegających tu i tam kobiet, pisku i kwilenia, rozrzuconych pieluszek, niezliczonych flaszek, stoiczek, aparatów i maszyn przedziwnych, wanierek, niecek, dzbanków z ciepłą i zimną wodą, dmuchań, plusków, szepków, biegania i rwetesu.

Wobec przybycia teściowej i stałego przez dni kilka pobytu »mądrej damy«, w ciasnym i bez tego mieszkaniu, Stefan — ignorowany i traktowany zgóry przez niewieści rząd, jako istota już całkiem niepotrzebna i wprost zawadzająca, jako winowajca niemal — został zepchnięty z drogi bez żadnej ceremonji — i, ustąpiwszy ze wszystkich swoich kątów i przyzwyczajęń, lokować się musiał na małej kanapie w swym małym gabinecie. Sypialny bowiem i stołowy zostały zagarnięte pod władzę kobiecych rządów i obrócone na szpital.

Co się tam działo — tego i zgadywać nawet nie próbował. Wiedział, że — oprócz dawania pieniędzy —

żadnej innej funkcji nikt się po nim nie spodziewa. Ucieszył się ogromnie, gdy mu teściowa oświadczyła, że Ewelinka przeżyła wszystko jaknajpomyślniej, i że całe przejście było całkiem normalne.

— Ależ, Stefanie! Dzieciak prześliczny! zdrowy, tęgą, pysznie zbudowany! Powinieneś być dumny z takiego syna.

Stefan nie był dumny wcale. Zmęczony był, znudzony, zdenerwowany, stęskniony do sam na sam z żoną, którą mu tylko w krótkich chwilach pozwolono widywać, stale niewyspany, nieraz głodny, a w dodatku trochę przerażony sumą wydatków, na które tak dalece nie był przygotowany.

Pragnął jednego tylko — aby »to« się prędzej skończyło.

VI.

Ale »to« się nie skończyło wcale.

Minęła choroba. Ewelinka wstała, wróciła jej dawna piękność i siły, wrócił dom do dawnego wyglądu, znikła »mądra dama« i teściowa wyjechała. Ale zostało dziecko. I ono stało się w domu panem, jedynym centrum, jedyną racją bytu, władcą myśli i uczuć, początkiem i końcem wszystkiego — i najokrutniejszym tyranem.

Ewelinka poszła w jego niewolę tak absolutnie, iż nietylko dnie całe, nieraz noce, lecz wszystkie myśli i uczucia wszystkie oddała mu niepodzielnie. Nigdy świat idei nie był jej światem. Ale był przynajmniej mąż kochany, gniazdko domowe, o którego ozdobę dbała — była własna osoba, której wygody i wygląd nie był jej obojętnym. Dziś, to wszystko odsunęło się na bok — istniało tylko dziecko.

Mąż spełnił swoje. Czegóż więcej mogła chcieć od niego narazie? A własna osoba rozsypała się w proch, znikła, stopniała — i zamieniła się w jakieś nieindywidualne tworzywo, z którego karmiło się i wyrastało — dziecko.

Właściwie nawet nie była to abdykacja własnego

»ja« — tylko przelanie tego »ja« w formę inną. Bo Ewelinka w dziecku ukochała siebie — krew swoją, ciało, owoc wnętrzości swych, niezaprzeczoną własność. Jej chwilowe ostudzenie dla męża z całą namiętnością, z pasją skupiło się na dziecku.

Tak jak dawniej z rozkoszą rzucała się w objęcia Stefana — tak teraz, gdy tuliła drobne ciało syna do swej obnażonej piersi, gdy czuła, jak te małe usteczka ciągną z niej pokarm, biorą z niej życie — rozkosz bez granic ją ogarniała. Chwil takich nie oddałaby za najgorętsze dowody miłości.

To też dla miłości zobojeźniała prawie zupełnie. Stefan nie poznawał w tej uległej, lecz zimnej kobiecie dawnej swej, płomiennej Ewy.

Wśród najczulszej pieczy, słuch jej wytężony łowił dźwięki, dochodzące z przyległego pokoju. Wrywała się z objąć jego, aby na głos dziecka biec do kołyski.

— Ależ, mój drogi, matka powinna czuwać nad dzieckiem, — tłumaczyła się Ewelinka, gdy jej czasem wymawiał to zbytne zaabsorbowanie. — To przecież największy obowiązek kobiety. Wychodząc za mąż...

— Wychodząc za mąż, nie o dziecku myślałaś — a o mnie. A teraz...

— Ach, Boże! Zapytaj, kogo chcesz: celem małżeństwa jest bogobojne wychowanie dzieci. Tego i w katechizmie uczą — i wszędzie. Inaczej małżeństwo byłoby niepotrzebne, a nawet grzeszne — i Kościół święty...

— Nie wiem, co Kościół uczy — i wiedzieć nie chcę. Ja małżeństwo uważam przede wszystkim za połączenie się dwojga ludzi poto, aby im było lepiej, łatwiej, raźniej iść przez życie. Człowiek sam jest niekompletny —

czuje to — a więc szuka w drugim swego dopełnienia. Oto i wszystko. A dziecko? I owszem — niech będzie dziecko. Ale niech ono nie odbiera żony mężowi — tak jak ciebie odebrało...

— O, Stefku! Co ty mówisz! Ja przecie zawsze kocham cię tak samo...

— Nie. Ty ani wiesz już, że ja istnieję. Ty żyjesz jedynie dzieckiem.

— Bo ty mnie nie potrzebujesz. Dorosły jesteś, zdrow — dzięki Bogu! Sam sobie radzisz doskonale. A mały — nie mógłby żyć beze mnie.

Stefan nic nie odpowiedział. Na ustach drżały mu wyrazy. — A skądże wiesz, że ja ciebie nie potrzebuję? Jak możesz to twierdzić? Czy biorąc sobie ciebie za małżonkę, nie pragnąłem mieć ciebie dla samego siebie. Nie o dziecko mi chodziło. Bo i dziś nawet pomimo, że uczucie pewnej dumy ojcowskiej zaczyna się rozbudzać i we mnie — ja ani je kocham, ani o nie bardzo dbam. Ale ja człowiek, któremu »niedobrze być jednemu«. I dlatego wziąłem sobie niewiastę, na obraz i podobieństwo moje stworzoną — towarzyszkę, nie tylko łoża, lecz i myśli mojej. A cóż w niej mam? Matkę dziecka naszego, może jeszcze gospodynię domu. Ale nic więcej. Czy zatem nie jestem pokrzywdzony?

Wyrazy te drżały mu na ustach. Lecz ich nie wypowiedział głośno.

Wstał z sofy, na której siedzieli oboje, i jak zwykle, gdy opadły go myśli trudne, zaczął z założonemi w tył rękami chodzić tam i napowrót po pokoju.

I myślał o swojej krzywdzie.

Bo krzywda była. Widział to jasno. Ewelinka nie

dla niego żyła. A on, biorąc ją, tego tylko chciał: mieć własną kobietę na własny użytek. I z początku miał. Z początku Ewelinka była jego echem, jego cieniem, odbiciem jego kompletnem. Każde jego słowo było dla niej wyrocznią. Widziała przez jego oczy, słyszała przez jego uszy. Miał w niej prawdziwie własną duszę.

A teraz, nagle — umknęła mu, wysunęła mu się z rąk — i żyje, już nie jego życiem — a innem, obcem dla niego.

Zbudziła się w niej matka.

Matka! A przecie to dostojęństwo wielkie — to czcigodny stan — to coś, przed czem klęknąć trzeba i pochylić głowę — to coś, na czem świat cały i przyszłość stoi. Matka! To kapłanka, a może i męczennica — która niesie w swem łonie, karmi swem mlekiem, piastuje w ramionach i światu oddaje. — Przyszłość. Któż z nią równać się może?

I czy nie jest to zbyt wielkim wymaganiem, aby ta, która dźwiga Przyszłość w sobie, była zarazem towarzyszką, pomocnicą, współniczką pierwszego - lepszego mężczyzny? aby się odwracała od wspianego zadania swego dla dzielenia marnych trosk i poziomych nieraz myśli męża? Czy można wymagać od kobiety, aby była jednocześnie Matką i Żoną? Czy nie za wielki i nie za różnorodny ciężar na siły tak cielesne, jak i duchowe jednej istoty?

Ale — jeśli Matka nie może być zarazem Żoną w szerokim, duchowym zrozumieniu, jeśli kobieta, gdy ma dziecko, przez to samo od męża się oddziela i absorbuje się całkowicie swem macierzyństwem — to czemuż dla mężczyzny ma być małżeństwo?

I czy mu ono potrzebne?

Stefan chodził coraz prędzej tam i napowrót po pokoju.

A tymczasem Ewelinka, siedząc na sofie z uśpio-nem dzieckiem w objęciach, myślała z budzącą się w du-szy goryczą: — Doprawdy, już nie wiem, czego on chce ode mnie. Że jestem troskliwą matką, to przecie zasługa moja, to mój najpierwszy obowiązek. I pozatem, cóż mi można zarzucić? Dom utrzymuję w porządku, dbam o każdy grosz, oszczędzam się, jak mogę — wszakże od ślubu naszego nawet pary rękawiczek sobie nie kupi-lam! — wydatki u nas mniejsze, niż gdzie indziej, a nie jest ani głodno, ani nieporządnie. Cały dzień poświęcam na usługi innych. Czy ja pomyślę kiedy o swoich przy-jemnościach? Czy ja gdzie bywam? Czy ja kiedy się zabawię? Ot, zawczoraj chciał Stefek zabrać mnie na koncert — a nie poszłam, bo małego lękałam się zosta-wić — i niebardzo miałam co włożyć. Inna pewnieby poszła — a ja wołałam zostać w domu. Więc już nie wiem, czego on chce. Trudno wymagać, aby matka nie kochała swojego dziecka.

Tak myślała z budzącą się w duszy goryczą Ewe-linka.

Głęboko też rozmyślał i Stefan.

Lecz myśli ich nie były jednakie.

VII.

Była dość późna godzina wieczorna, gdy dzwo-nek zadzwieczał u drzwi wchodowych.

— Któż to być może! — zdziwiła się Ewelinka. — Czy nie co złego, broń Boże!

— Ktoś z interesem... — odparł Stefan i poszedł sam otworzyć.

Poszedł i nie wracał długo. Z przedpokoju do-chodził głos męski, przyciszony i ostrożny. Głos ten wy-dał się Ewelince znajomym. Ach, wszakże to był doktor Bilczyński! Przychodził parę razy do małego, gdy ten był niezdrów. Miły, dobry, kochany doktor! Ale czegoż mógł chcieć teraz, o tej późnej godzinie?

Obawa jakaś ją ogarnęła i naprzód myśl pole-ciała do dziecka. Wstała szybko z za samowara i po-biegła do kołyski.

Nie, dzieciak spał cicho, spokojnie, z zaciśnię-temi piąstkami różowemi, spoczywającemi na kołderce. Otuliła go jeszcze, popatrzyła z lubością na najdroższą główkę — i wróciła do stołowego pokoju.

Właśnie drzwi zamykały się za doktorem, i Ste-fan zasuwiał rygle i łańcuchy.

— Doktor Bilczyński? Co się to stało? — spytała Ewelinka wracającego męża.

— Tak, doktor Bilczyński. — I wiesz... — zaczął nieśmiało — z prośbą do nas. Może będziesz nieraśda — ale cóż miałem robić? Odmówić nie mogłem — to przecie sprawa społeczna...

— Ale cóż takiego?

— Widzisz — przyjeżdża tu jeden... no, jeden działacz... agitator, czy jak tam go nazwać... Słowem, wysłany tu dla pewnych celów... narodowych... No, tak — dla zorganizowania tu stronnictwa — i tak dalej. Ale — nie trzeba o tem mówić...

— Dobrze. Ale cóż nam do tego?

— On tu zabawi parę dni. Będą zebrania. Chodzi więc o mieszkanie. Dr. Bilczyński to urzędnik. Prosił o nasze mieszkanie na pojutrze wieczór. No... i... i przyrzekłem...

Ewelinka skrzywiła się. — Ach, Boże! także przyjemność!

— Nie mogłem doktorowi odmówić, Ewelinko. To taki przyjaciel! A przytem, doprawdy, nie mamy żadnego powodu do odmawiania. Inni dają — czemużbyśmy dać nie mieli? Wszakże to sprawa ogólna.

Machnęła ręką. Znać było, że sprawa ogólna nie rozczuła jej bynajmniej.

— A więc — jakże to ma być? Któż tu przyjdzie?

Stefan odpowiedział nieśmiało, spuszczać oczy:

— Pojutrze, o szóstej, przyjdzie tu około trzydziestu, czterdziestu osób. I ten... ten właśnie... będzie miał coś —

niby odczyt... A potem, gdy to się skończy, zostanie jakieś piętnaście może osób. I trzeba będzie dać im kolację...

— Ach, Boże! kolację!

— No, tak, Ewelinko, — nie nadzwyczajnego. Jakis rostbef, czy pieczeń — czy coś takiego — i herbatę z ciastami. Tyle, aby siedząc dopóżna, nie byli głodni.

— Ależ to będzie strasznie kosztowało!

— Cóż robić. Choćby i trochę kosztowało. Nie można zawsze usuwać się od wszystkiego. Są pewne obowiązki i dla społeczeństwa — nie tylko dla siebie.

— Ach, niech sobie tem społeczeństwem opiekują się ludzie bogaci, — odrzekła Ewelinka niecierpliwie. My na to nie mamy. Zobaczysz — taka kolacja, to już najmniej kosztować będzie od dwunastu do piętnastu rubli — a światło! a potem pranie serwet i obrusów! a wyforterowanie posadzki! Ładna historia! A czy ja wiem, kto tu będzie — czy nie naniosą mi jakiej zarazy do domu? Broń Boże, jeszcze mały zachoruje! To sensu niema, całe to twoje społeczeństwo!

Ewelinka była naprawdę wzburzona. Przez chwilę nerwowo mieszała cukier w filiżance. Stefan milczał także. Nigdy jej takiej nie widział — i nie spodziewał się z jej strony takiej opozycji.

Wreszcie, ona wypila śpiesznie herbatę — wstała i milcząc, nadąsana, chmurna, — zaczęła sprzątać ze stołu.

I przez kilka dni następnych była w złym humorze. Gryzła się wysoką ceną mięsa i masła, irytowała się sałatą, do której poszło tak dużo oliwy, stratą opalu w kuchni, tylu palącemi się lampami, zabrudzoną posadzką — zasiadaniem tak wielu osób na świeżo obitych

meblach. Sarkała o nabieranie na siebie kłopotów. Powtarzała raz po raz, że »nas nie stać na takie zbytki«. Ale przedewszystkiem drżała o to, aby ktoś z przybyłych nie naniósł jakiej zarazy do domu. Małego zamknęła w najdalszym pokoju — sama ani na odczyt, ani do pozostałych na wieczór gości nie wyszła — co chwila rozpylaczem walczyła z możliwymi bakterjami — umęczona była, zła i nieszczęśliwa.

Stefan, to widząc, przechodził srogie męki. Przykro mu było względem przyjaciół, próżność jego była dotknięta, a i Ewelinki żałował. Nadrabiał sam dobrą miną i uprzejmością, ale był zmęczony.

Wprawdzie, odczyt wygłoszony przez przybysza — chociaż w natłoczonym saloniku, w mdłym świetle lamp, w rozgrzanej i dusznej atmosferze szczelnie zamkniętego pokoju — tak poruszył wszystkie serca, tak podniósł dusze w górę, taką wzbudził wiarę w przyszłość, w siłę własną i w odrodzenie — taką, zda się, moc niezwykłą wlał w krew i taką jasność w mózgi — taką wolę silną z głębi wywołał i taki zapal wzniecił — takim zamajaczył przed oczami blaskiem i taką zagrał do czynu pobudkę — że znikły wszelkie utrapienia i nędze osobistego żywota — a pozostała jedynie Ona.

I Stefan, stojąc w tłoku, oparty o ścianę, czuł, jak mu dusza goreje i rwie się do walki, do czynu, do służby dla Niej. Czuł, jak własna jego istota roztapia się w społeczności, jak pozostaje z niej tylko to, co jest częścią narodu. A własne życie i własne sprawy maleją i nikną.

Lecz jednocześnie przyszło mu na myśl, jak cudnie byłoby mieć w tej podniosłej chwili dłoń kochanej kobiety w swojej dłoni — móc w oczy jej spojrzeć — i po-

wiedzieć sobie oczami: — Na tę służbę świętą — na ten bój o istnienie — my razem pójdziemy!

I nagle, nieznośny ból ścisnął go za gardło. Nie, Ewelinki nie miał przy sobie. Ona tam była — nad kołyską dziecka. Dla niej — poza tą kołyską — nie było nic. A i dziecko nawet nie było dla niej ukochaniem przyszłości — lecz jedynie zadowoleniem instynktu. Nie kochała w niem przyszłego człowieka, a tylko własne ciało.

Świadomość ta przyszła na niego w chwilowym blasku jasnowidzenia. Lecz natychmiast od niej się odwrócił. Nie, nie! To tylko teraz tak — dopóki dziecko małutkie. Ona przecież jest inteligentna — nie może pozostać obojętną na świat szerszy, zwłaszcza na to, co jego zajmuje. To wróci — to przyjdzie. Trzeba ją ku temu kierować cierpliwie — i czekać. Przecież z początku tak byli cudnie z sobą złączeni myślą każdą, uczuciem. I ona takie wzniosłe, takie piękne rzeczy umiała mówić. Tak ślicznie deklamować. Tak czarownie nucić. I tak marzyć pod księżycowem światłem!

Ach, w Zabrodziu — tak byli szczęśliwi!

Ale — wróci to szczęście... wróci...

Tymczasem jednak, trzeba ją oszczędzać i nie narzucać jej takich kłopotów.

— Zmęczyłaś się, Ewuś, — przemówił do niej czule, gdy już późno w nocy zostali sami po odejściu gości, a Ewelinka zakrzętała się około porządkowania i chowania resztek.

— Daj pokój tym porządkom na dzisiaj. To się jutro zrobi.

Ewelinka mruknęła coś i dalej liczyła srebrne ty-

żeczki. Stefan chciał ją objąć, pocałować, może i słówkiem przeprosić za swą zbrodnię. Lecz widok jej nadętej twarzy nie był zachęcający.

Po raz pierwszy od dnia ślubu, poszli spać bez uściśnienia się na dobranoc.

Nazajutrz wszystko wróciło do porządku i już nie było między nimi mowy ani o przybyłym działaczu, ani o sprawie, której był rzecznikiem, ani o wrażeniach i zapoczątkowaniach, jakie tu wywołała jego agitacja. Ewelinka o nic nie zapytała, traktowała »to wszystko« z pewnem lekceważeniem, jako zabawkę i niepotrzebne zawracanie głowy ludziom, którzy mają coś lepszego do roboty i których na takie zbytki nie stać. Stefan przez kilka dni jeszcze rozerwany był i ciągle poza domem.

Sprawa znalazła adeptów. Zawiązało się koło, pracowano nad organizacją, debatowano nad środkami działania, obmyślano je na wspólnych, późno w noc przeciągających się posiedzeniach. Potem, działacz wyjechał. Ale została rozpoczęta na miejscu robota i należało ją naprzód pchać. Niemałego dzieła podjęła się ta garstka ludzi dobrej woli, niemałe zadanie wzięła na swe barki i dalekie a szerokie wytknęła sobie cele. Poważnie i w skupieniu zabierała się do pracy — do tej pracy cichej, żmudnej, podziemnej, na której oprzeć się miała przyszłość — daleka może, majająca tylko w marzeniu, błyszcząca, jak gwiazda na wysokiem niebie.

Stefan do tej pracy zaprzął się z zapalem; on od lat najmłodszych szukał ujścia dla swej energii i konkretnego celu dla swych aspiracyj. Czuł, iż dla siebie jedynie, dla kariery, czy dobrobytu, czy nawet dla własnego szczęścia Polak dziś żyć nie może. Gotów był do

pracy — lecz nie wiedział dotychczas, jak — gdzie — nad czem mianowicie.

Teraz otworzyła się przed nim droga. Ludzie, których uważał za najlepszych, weszli na nią. Więc i on, pociągnięty ich przykładem, podniecony usłyszanemi słowy, z rozpalonym w duszy płomieniem — poszedł za nimi — wierząc mocno, iż iść i iść nią będzie — usque ad finem.

VIII.

— Wiesz — otrzymałam dzisiaj list od Iny. Tu przyjeżdża — może i na stałe.

Ewelinka otwierała drzwi mężowi, wracającemu z biura. Ubrana w luźną suknię, z pod której rysowały się zgrubiałe znów kształty jej figury, uczesana gładziutko, daleka, zdawałoby się od wszelkiej troski o swą powierzchowność — na jednym ręku dźwigała dziecko może dwa lata liczące, drugą prowadziła chłopaka czteroletniego, o rumianej buzi i wielkich oczach czarnych.

Pięć lat minęło od ich ślubu — a trzecie już się wkrótce zapowiadało.

— Poco ją dźwigasz, Ewelinko? — rzekł Stefan, wieszając palto. Ciężka taka, a przecie już sama chodzić umie.

— Kiedy ciągle prosi, aby ją mamusia wzięła na ręce — kotek najmiłszy! — uśmiechnęła się Ewelinka. No, ale teraz dosyć! Mamusia pójdzie na obiad — a dzieci na swoim dywanie będą się bawiły — prawda, dzieci?

Dzieci wszakże na tę propozycję się nie zgodziły i rozkrzyczały się donośnie. Zostały więc i podczas obiadu, Bronka na kolanach mamusi, a Janek tuż blisko,

na wysokiem krześle, przysuniętem do stołu. Ubrana w dzwoneczki lalką uderzał o talerze, paluszek wkładał do zupy — i śmiał się. Ewelinka oderwać nie mogła oczu od jego twarzyczki.

— Zaczęłaś coś mówić o Inie — spytał Stefan po zjedzeniu zupy. Mówił głośno, chcąc zagłuszyć dziecinnie hałas. — Tu przyjeżdża — co? Skądże taki projekt? Ona dotychczas była w Krakowie, czy we Lwowie?

— Tak, była w Krakowie. Czegoś tam uczyła się. Potem, jakoby zaręczona była z kimś — z jakimś socjalistą — czy coś podobnego — i pojechała z nim na Syberję. I nie wiem, co było dalej. A teraz jakaś jej przyjaciółka chce tu założyć pensję dla dziewczynek i ją do spółki namawia. Ona zawsze marzyła o takich rzeczach. Nie, kotusiu! — lalki nie trzeba wrzucać do talerza! O tak, stukaj sobie po stole.

Pochyliła się do chłopaka i czarną jego główkę przytuliła do piersi.

— A nie... A nie... — zaczęła wołać siedząca na kolanach Bronka.

— I ciebie, moja ty różyczko. I ciebie, moja pieścizotko...

Dzieci objęły matkę za szyję i obcałowywały namiętnie. Talerzom i zupie groziło poważne niebezpieczeństwo.

— Dosyć już, aniołki moje — dosyć! — Ewelinka odsunęła dzieci i wróciła do opowiadania. — Więc pisze, że pewnie wkrótce tu przyjedzie... A, jaki kotus uparty! Zresztą, masz jej list. Przeczytaj.

Podawała mężowi list z kieszeni wyjęty — a sama, wciąż z dzieckiem na ręku, wstała od stołu, odstawiała

talerze i wyszła do kuchni po drugą potrawę. A mały zsunął się z wysokiego krzeselka i też za nią podreptał.

Stefan został sam. Zrobiło się naraz cicho. Po drażniącym go dziecinnem stukaniu i szczebiocie, ta nagła cisza sprawiła mu ulgę. Był dziś wyjątkowo zmęczony. Pracy miał wciąż poddostatkiem, lecz ostatnimi czasy przybyło jej ponad miarę. Szedł i szedł, jak koń w kieracie, prawie bez wytchnienia drepzcząc w kole obowiązków. Rad był z tego, bo pieniądze stawały się coraz potrzebniejsze, wydatki w miarę powiększania się rodziny powiększały się — i trzeba było na nie wystarczyć. Taki był zwykły los męża i ojca. I nie narzekał bynajmniej.

Tylko... żeby to choć trochę było w domu... milej...

Ach, tak! żeby to choć trochę było milej! Ale nie. Dom jego nie był tem cichem ogniskiem i tą błogosławioną przystanią, o której niegdyś snuł sobie marzenia — a żona nie była mu tą towarzyszką i tym przyjacielem, którego mieć chciał.

Do takiego przyjaciela tęsknił niekiedy bardzo. Ach! mieć tak przy sobie kogoś... no, kogoś takiego, coby wszystko rozumiał, i umiał podzielić, i odczuć — i poradzić czasem... Ach, jak byłoby dobrze!

No, trudno. Wszak matka powinna być dzieciom oddana. — Wszak ognisko domowe to jest świat kobiety. — Wszak sam Bóg przeznaczył kobietę... i t. d.

Tak, tak. Umiał to już na pamięć. I już nie miał o to pretensji. Ewelinki reformować nie myślał, ani walczyć o pierwszeństwo w jej sercu. Walczyć z własnymi dziećmi! Nie! Ostatecznie, taki był zapewne świat porządek i prawo. Na tem może i stał cały świat, że kobieta dla swego dziecka oddawała życie. To Ewelinka

miała rację, a nie on. To ona była normalną istotą — matką-rodzicielką, która o tyle tylko potrzebowała męża, o ile mógł jej dać dziecko, a potem na to dziecko i na nią zapracować.

Tylko że on — żeniąc się — nie o rodzicielkę przyszłych pokoleń dbał — lecz chciał kochanki, towarzyszkę, kogoś ogromnie bliskiego — dla siebie...

No, tak. Mało to człowiek roi sobie zamłodu!

A jeśli i dziś te rojenia wracają niekiedy, to tylko dowód pewnej w nim słabości charakteru. Tak, tak. On to zawsze czuł, że ma słaby charakter. Po ojcu pewnie... Że mu trzeba koniecznie mieć przy sobie kogoś... no, kogoś takiego, coby może nawet i pokierował nim czasem... Tak... cóż robić!

Ewelinka nie wracała. Tylko z głębi kuchni dochodził czasem jej podniecony głos.

— Znowu jakaś bieda z Agatą! — pomyślał Stefan. — Pieczeń nie wyduszona, albo kotlety przysmałone.

Wzrok jego padł na list Iny. Wziął go do ręki i zaczął czytać:

— Moja Ewelinko pocziwa i kochana! Wiem od ludzi, że tak się stało, jak przepowiadałam. Jesteś pogrążona po uszy w małżeństwie, macierzyństwie, pieluszkach, garnkach i rachunczkach domowych, i że ci z tem dobrze. Oderwij jednak na chwilę wzrok i umysł od własnego ogniska, a zwróć je ku pożytkowi mojemu i znajdź mi od 15-go sierpnia mniej więcej pokoik przyzwoity, ma się rozumieć tani, w którym mogłabym się ulokować. Bo wyobraź sobie, że losy zapędzają mnie do was. Kasia Miszewska zakłada od jesieni coś w rodzaju pensji — i mnie wzywa do pomocy. Naturalnie, że staję

Matka.

chętnie do apelu — to taka ważna dziś sprawa. Więc liczę na ciebie, że mi dopomożesz do znalezienia przytulku. Nie chce mi się bowiem przyjeżdżać na niepewne, tracić pieniądze na hotele, bo jak wiesz — u mnie w kieszeni zawsze pustki. Czekam zawiadomienia i ściskam Cię serdecznie. Mężowi twemu, którego nie znam — ukłony. Twoja Ina.

P. t. Cieszę się, że was przynajmniej będę tam miała.

— Oryginalne pismo! — myślał Stefan, przyglądając się wysokim, prostym, wyraźnym, lecz ostrym trochę literom, które jakby w pośpiechu biegły jedna za drugą na szarym papierze. I ona sama bodaj oryginalna trochę, Ewelinka jej niebardzo lubi. I poczuł w tej chwili, iż, naprzekór nielubieniu Ewelinki, jemu w duszę wkra-da się właśnie sympatja dla tej nieznajomej kuzynki — jakby trochę nadziei, że z nią razem coś jaśniejszego wpłynie do ich domu.

Gdy wreszcie przyjechała, stosunek ich odrazu stanął na stopie bliskiego kuzynostwa. Będąc cioteczną siostrą Ewelinki, Ina uważała, iż męża jej także ma prawo uważać za bliskiego sobie, i przy pierwszym zaraz obiedzie, na który ją wprost z dworca przywiózł do domu, zdecydowała, że »obowiązek rodzinny« (tu rzuciła śmiejąc się spojrzenie na Ewelinkę) każe, aby się nazywali po imieniu.

— Nieprawdaż, Stefanie? — spytała.

— O, naturalnie, Ino, — odparł wesoło. — O ile moja małżonka i pani da na to swoje pozwolenie — dodał, pochylając się przed Ewelinką.

— Ależ i owszem — i owszem! — odparła ona

z uśmiechem. — Wszakże takie bliskie pokrewieństwo! I teraz, gdy tu jesteś, to często widywać się będziemy... Twoje mieszkanie stąd niedaleko. Zdaje się, że pokój dobry i niedrogi. Tylko że — nie wiem, jak będzie — czy go zaraz dostaniesz — bo mieli tam jeszcze zmienić tapety.

— Byłem tam dziś rano — przerwał Stefan — i tak, jak przypuszczałem, nic jeszcze nie zrobiono. Gospodyni powiada, że u żydów święto, a katolika dostać nie może. Miała też okna i drzwi pomalować, ale także »katolika« nie dostała.

— Cóż za niezdara! Do pomalowania okien wcale nie trzeba żadnego »katolika«, tylko farby i pendzla. To się bierze w garść i w godzinę robota gotowa. Zrobię to sama. Wprawiam się w Archangielsku...

Urwała. I nagle w twarzy jej zaszła zmiana. Opadły nad szaremi oczami powieki, usta ścisnęły się w gwałtownym bólu — aż zgrzytnęły o siebie białe zęby. I była chwila ogólnego milczenia. Zdawało się, że te zaciśnięte usta otworzą się krzykiem ogromnym, przeraźliwym.

Opanowała się jednak wkrótce i mówić zaczęła:

— Gorsza sprawa z tapetami. Ale czy koniecznie trzeba dawać nowe?

— Dawne bardzo zniszczone — i takeśmy się umówili.

— Po obiedzie pójde i zobaczę.

Ale po obiedzie okazało się, że nie tylko obicie zmienić, lecz i sufit pobielić trzeba koniecznie, a potem i podłogę zaciągnąć. Ina sama się zakrzętnęła około wynalezienia tego kogoś, któryby wszystko zechciał zrobić. Ale tymczasem, zamieszkać tam nie mogła.

— Niema rady, musisz u nas pozostać — zdecydował Stefan.

— Strasznie wam zawadzać będę.

— Nie, nie! Albo się ulokujesz z Ewelinką w sypialnym, a ja przeniosę się do gabinetu, albo można w salonie na sofie.

— O, naturalnie, że w salonie. Będzie mi doskonale. To przecież długo nie potrwa. Tylko czy Ewelince nie zrobię kłopotu...

— Ależ nie! Co za kłopot! Będzie bardzo rada.

Ewelinka nie była »bardzo« rada, ale uprzejmie przyjęła ten projekt i zakrzętnęła się około przygotowania kątki dla gościa.

— Nie krępuj się wcale — mówiła — nam salon nie potrzebny prawie, tu nikt u nas nie bywa. Ja nie mam czasu na życie światowe. I śpij długo... Ja teraz także później wstaję... Mama za tydzień ma przyjechać — dodała, poprawiając fałdy szlafroka. — Wyglądam już, jak kopa siana — prawda? I wszystko boli; ręce, nogi brzękną. — Widzisz, nie mogę nawet pierścionków włożyć.

Pokazała swe białe, mocno opuchnięte palce.

Westchnęła. Na zmęczonej jej twarzy osiadł wyraz cichej rezygnacji.

— To tylko teraz. To chwila. Potem wrócę do dawnych sił i wyglądu. Nawet, powiem ci, po urodzeniu tamtych, wszyscy mówili, że wyładniałam. Więc i teraz... mam nadzieję... Chciałabym, aby to była córka. To jeszcze jakby bardziej własne, niż chłopiec.

— Dopóki małe...

— O, nie. Córka i potem ciągle jest przy matce,

aż do zamążpójścia. A chłopiec — to się bardzo wcześnie emancypuje.

— W tem mylisz się, Ewelinko. Dziś i dziewczyny wcześniej rozwijają swe własne skrzydła — i nie można tak, jak dawniej, rachować na ich uległość. Dziś w każdym budzi się samodzielność i wola bardzo wcześnie. I dobrze, że tak jest. Byleby to się zwracało ku dobremu. Niech zaczynają wcześniej być ludźmi, a nie ulepionymi na wzór matki figurkami bez własnej duszy.

— O, moja droga! Ja ani myślę pozwalać swoim córkom na jakieś tam indywidualności. Postaram się tak je wychować, aby słowo matki było dla nich święte. Niech nie rozumują, a słuchają.

— Ach, Ewelinko, jakże mogą nie rozumować! Stykać się muszą z ludźmi, z rozmaitymi zdaniem, poglądami — muszą wyrabiać sobie o nich sąd. Zresztą i powinny wcześniej brać w miarę sił — udział w życiu społecznem...

Ewelinka przerwała niecierpliwie:

— O! już i życie społeczne! To czysty obłąd u was wszystkich! Już mi i Stefan wiecznie dokucza z tem społeczeństwem. I żuk i żaba — każdy ma pretensję kierować społeczeństwem. Nie, moja droga — to niema sensu. Ja zawsze mówię, że najmędrza zasada jest: — Czyni każdy w swoim kółku, coć każe duch boży, a całość sama się złoży. — Tak! Jeszcze rozumiem — dla ludzi bogatych — niech tam! Ale tacy, jak my! Ledwie końce można związać. Dzieci przybywa — wkrótce i wychowanie zacznie kosztować — dzierżawca z Zabrodzia tak mało płaci — ceny na wszystko coraz większe — a Stefan bardzo średnio zarabia. Nie, nie! niech tam

inni myślą o społeczeństwie! My powinniśmy myśleć o sobie i o dzieciach naszych. Bo nikt o nas się nie zatroszczy, gdy przyjdzie czarna godzina.

To mówiąc, zapłonila się cała. Widać było, że kwestja to jest dla niej drażliwa, może nawet bołająca.

Ina nie odpowiedziała nic.

Dalej mówiła Ewelinka o swych zamiarach. Chciała dzieci wychować wedle dawnej, a dobrej metody, w poszanowaniu wszystkiego, co od wieków szanować kazano — w oddaleniu od wszelkich tych nowych bezbożności i socjalizmów, słowem, tak, jak sam Pan Bóg przykazał. Nie wątpiła bynajmniej, iż to się jej uda doskonale.

— Tak, tak! Dzieci moje, da Pan Bóg, będą dobre, grzeczne, posłuszne — rzekła na zakończenie.

— Grzeczne, posłuszne... — powtórzyła zwolna Ina — oto marzenie matek. A co pod tą grzecznością i pod tem posłuszeństwem wyrastać będzie — o to już mało która się zatroszczy. Ach, ślepoto, ślepoto ludzka!

Zamilkły obie. Myśli ich rozbiegły się w strony różne. Ewelinka, ciężko rozsiadła w fotelu, oddawała się słodczy chwilowego wypoczynku. Inę, przed siebie zapatrzoną, z rękami splecionemi na kolanach, jakieś wspomnienia znów, widać, gonić zaczęły, bo twarz jej znowu ściągnęła się w ostry, bolesny skurcz, oczy nakryły się powiekami i głęboka, poprzeczna bródka czoło jej przecięła.

Odezwała się pierwsza Ewelinka:

— Ponieważ teraz częściej będziemy ze sobą, więc chciałabym... chciałabym wiedzieć naprawdę, Ino, jak

to tam było?... Jak to było... co właściwie... między tobą a... tym...

— A Janem Bieliczem? — Ina podniosła głowę i spojrzała kuzynce prosto w oczy.

— Może przykro ci mówić o tem? Ale... bo widzisz... mówiono...

— Nie! Ja nie mam nic do ukrywania. Z Janem Bieliczem poznałam się w Krakowie, kolegowaliśmy nawet ze sobą w uniwersytecie. Pokochaliśmy się i postanowiliśmy się pobrać. Właśnie w tym zamiarze wróciliśmy do Warszawy, gdzie mieszka jego matka. Biedna staruszka! Jego jednego miała na świecie. Moi rodzice też się zgodzili, i za parę dni miał się odbyć nasz ślub. Nagle — wzięto go — trzymano przez ośm miesięcy — i wysłano do Archangielska. W zimnej, wilgotnej celi już dostał suchot. Wywieziono chorego...

Głos Iny się załamał. Odwróciła głowę.

Za nią, pilnie słuchający, stał Stefan. Oczy jego, współczujące i wzruszone, spoczywały na niej. Do serca jej wlało się w tej chwili jakby parę kropel słodczy. Usunęła się trochę i zrobiła mu przy sobie miejsce na kanapce. On usiadł przy niej — i milczał.

— A potem? — spytała Ewelinka.

— Potem?... Potem rozwinęła się gwałtownie choroba — ciężka podróż zaszkodziła mu bardzo. W Archangielsku niepodobna było znaleźć wygodnego mieszkania. On potrzebowałby słońca i ciepła — a tam panowała mroźna noc. Zresztą, siły były zwałtowane od dawna. Ja, naturalnie, pojechałam z nim. Byłam do ostatka... Sama z tym konającym... w tym obcym kraju!...

Ach! W pół roku po przybyciu pochowałam go na tym śnieżnym, dalekim cmentarzu. I wróciłam.

Urwała znowu. I znowu milczeli przez chwilę.

Ewelinka spytała:

— I rodzice twoi zgodzili się na to, abyś tak sama jechała na drugi koniec świata, z... obcym człowiekiem?...

— Ewelinko! — zawołał Stefan. Oburzenie drgało w jego głosie.

— Ja ich o to nie pytałam — odparła Ina chłodno — i wstała z miejsca. — A on nie był dla mnie obcym, Ewelinko, — dodała z podniesioną głową. — Kochałam go.

— No, tak... ale, w każdym razie — zaczęła znów tamta, myśl swą z uporem rozwijając — ślubu z nim nie wzięłaś... Więc... tak jechać...

Ale Iny już nie było w pokoju.

— Ach! jakże mogłaś tak! jak mogłaś! — wybuchnął Stefan. — To strasznie niedelikatnie z twojej strony. Ona oplakuje dotychczas tego człowieka — straciła z nim może całe szczęście swoje — a tu jej wytaczać sprawę o to, że ślubu nie wzięła! Jakże można!

Ewelinka zwróciła się do niego wzburzona.

— Mój drogi — odparła — dla mnie małżeństwo — to świętość. A takie wszystkie miłości! At! — machnęła ręką lekceważąco. Nie będę się rozczuła nad Iną, bo — zniżyła głos i szeptem dodała: — kto wie, co tam było między nimi!

— Ależ, Ewelinko! cóż za obrzydliwa ciasnota pojęć! Jakże tak nie rozumieć...

— O, ja bardzo dobrze rozumiem. I właśnie dla-

tego wolę swoją »ciasnotę«, niżli tę waszą szerokość pojęć. Wkrótce nie będzie dla was różnicy między żoną — a taką — pierwszą-lepszą...

Wstała również, ciężko opierając się o stół. Z trudnością dźwignęła się na nogi i zakrzatnęła się około wieczornej kolacji. Wkrótce, na bocznym stoliku zaczęło bulgotać mleko na maszynie, i dzieci, to widząc, niecierpliwie i wrzaskliwie jęły się dopominać o kaszkę. Zabrzęczały filiżanki, zastukały noże. I kościasta Agata wniosła buchający parą samowar.

Ina ukazała się na progu stołowego pokoju. Miała już twarz wypogodzoną, spokojną, choć jak zwykle surową. Odpowiedziała lekkim uśmiechem na wystraszone spojrzenie Stefana, jakby mu chciała powiedzieć: — Nie bój się, ja się z tem ciągle spotykam i umiem puszczać mimo uszu. — A głośno zaproponowała:

— Chcesz, Ewelinko — to cię wyęcę przy samowarze?

— Ach i owszem, moja droga. Bo muszę dzieci nakarmić i uśpić. Ta nowa niania jeszcze taka nie-wprawna.

Do stołu zbliżył się Stefan. Trzymał w ręku świeżo przyniesione gazety warszawskie.

— A wy tu swoich nie macie wcale — zauważyła Ina.

— O, gdzieżby! Ani myśleć o tem.

— Jednak — to straszne... — rzekła cicho, obejmując myślą nie to jedno tylko, lecz wszystko inne, o czem wiedziała, słyszała — lecz jeszcze nie mogła zrozumieć.

— Tak. To straszne — westchnęła. I spróbował za-

żartować: — Jak tu mówią: »Człowiek nie przywykły« wydaje się, że tak żyć nie sposób. A jak »Przywykniesz«...

— Czy jednak przywyknąć można?

— Oh, jakoś przywykamy. To jest, o tyle — że nie tracimy czasu i sił na badanie i na rwanie włosów — a robimy swoje, jak gdyby nic.

— Robicie swoje? Niby co? Opowiedz!

Stefan pochylił się ku niej. — Poczekaj — a zobaczysz. Nie ominie cię robota — tego możesz być pewną. Bo my tu strasznie potrzebujemy ludzi i wpręgamy do jarzma, kogo tylko możemy uchwycić. Nie darujemy ci, nie!

— Ja bronić się nie będę — odparła Ina poważnie — chociażby dlatego, że — przekonałam się o tem — tylko w pracy znaleźć można szczęścia trochę — i zapomnienie.

— Tak, tak! — I Stefan przysunął się jeszcze bliżej.

Pochyliły się do siebie ich głowy. Zdało się im obojgu, że znają się oddawna — i że oto mają sobie teraz wiele, wiele do powiedzenia.

I popłynęły słowa. Ona mówiła o szerszym świecie, z którego przybywała. On o miejscowych usiłowaniach, trudnościach i powolnych, lecz już niezawodnych sukcesach. Mówił zrazu wolno, wstrzemięźliwie, jak się mówi do niezupełnie jeszcze swojego człowieka. Ale patrząc w te jej oczy szare, ocienione długą frendzlą ciemnych rzęsów, a uważnie podniesione na niego — w te oczy, migocące chwilami jasnym blaskiem, to znów powleczone jakby mgłą melancholji — w te rozumne, dobre, czujące oczy kobiece — zapalał się coraz bardziej.

Od tak dawna — nigdy może jeszcze nawet — nie mówił o tem, co go obchodziło, przed tak uważnym słuchaczem. Była to dla niego rozkosz prawie nieznana. W tem wypowiedzaniu się, własne jego myśli przybierały barwy jaśniejsze i w wyraźnym kształcie stawały przed nim. To, co dotychczas teorją w nim żyło, teraz widział, jak żywe. I wiedział, że i ona również widzi, słyszy i odczuwa każdą myśl jego. Niezaznane dotychczas zadowolenie rozlewało się we wnętrzu jego istoty.

— Już wszystko załatwione — przerwała nagle Ewelinka — dzieci zasnęły. Tylko trochę mnie Bronka niepokoi — ma bardzo rozpaloną główkę... żeby się, broń Boże, co nie przypłatało...

I nagle powiał jakiś inny prąd. Stefanowi i Inie słowa na ustach zakrzepły. Oboje zamilkli, odsunęli się od siebie i zajęli się herbatą. Jakiś wyraz skrępowania osiadł im na twarzach.

Ina opanowała się pierwsza i spróbowała wciągnąć kuzynkę do rozmowy.

— Porównywaliśmy właśnie położenie w Poznańskim z tem, co tu macie, na Litwie — rzekła. — Opowiadałam Stefanowi o zebraniach, na których — będąc tam niedawno — słyszałam...

— Ach, Boże! Czemu to Agata nie nakroiła cielęciny! — przerwała Ewelinka, i szybkim krokiem, o ile kształty jej na to pozwalały, wyszła do kuchni.

Stefan i Ina spojrzeli po sobie. I zapanowało między nimi milczenie. On jakby się zawstydził. Ona to odczuła i zrobiło jej się przykro.

Gdy Ewelinka wróciła z nakrojoną cielęciną, rozmowa o sprawach ogólniejszych już się nie zawiązała.

Stefan milczał chmurnie. Ina spytała o wspólnych krewnych. Ale Ewelinka niewiele o nich wiedziała.

— Nie mam czasu na pisanie listów — mówiła — więc tylko tyle wiem o nich, co mi mama doniesie. A i mama nie pisze bardzo często. To trudno! Gdy się już ma własną rodzinę i dom, to dalsze stosunki mimowoli zrywają się. Taki już porządek na świecie.

Tego wieczora w domu Glińskich wcześniej powiedziano sobie dobranoc i udano się na spoczynek.

IX.

W samą porę przeprowadziła się Ina z saloniku Glińskich do własnego, świeżo wyklejonego pokoju. Bo tejże nocy oczekiwane dziecko wcześniej, niż było wyliczone, przyszło na świat. Rozpoczęła się więc zwykła w takich razach bieżanina, rwetes, przewracanie domu do góry nogami, tem gorsze, iż starsze dzieci miały w nowoprzybytej niańce bardzo niedostateczną opiekę.

To też, przez parę dni, zanim przybyła ciotka, musiała Ina większą część dnia spędzać u Glińskich, aby trochę dziećmi się zająć. Chodziła z niemi na przechadzkę, czuwała nad ich żywieniem i doglądała ich kąpieli. A że w tem nie miała żadnej wprawy ani doświadczenia, więc była bardzo rada, gdy przybyła ciotka, i mogła w jej ręce oddać wszystko — a sama usunąć się.

»Pani starsza«, jak ją nazywała służba, rządy domowe ujęła zaraz w swe doświadczone ręce. Rządy to były energiczne, samowładne i frasobliwe. I znówu dom cały zamienił się w szpital, a mąż został relegowany na kanapkę do gabinetu. Zapanowało pracowite wracanie do zdrowia. Troje już dzieci darło się na przemiany, hałasem napelniając małe mieszkanko. Julka i Bronkę

denerwowało bowiem sąsiedztwo nowego braciszka. »Pani starsza« zaczęła zięciowi bardzo dobitnie przedstawiać gwałtowną potrzebę wzięcia większego lokalu.

Stefan nie miał nigdy wielkiego upodobania do swojej teściowej. Ale teraz wydała mu się jeszcze mniej sympatyczną, jeszcze bardziej narzucającą się i arbitralną, jeszcze ciśniej zasznurowaną w swych »świętych zasadach«, których wysuwanie pod oczy każdemu i podawanie, jakby na półmiskach, stanowiło jej chlubę i sprawiało jej niewymowną rozkosz. Bez żadnego uszanowania dla jej zażywej osoby, macierzyńskiej godności i świętych zasad, nazywał ją i w myśli i w rozmowie z Iną »piłą nieznośną« i liczył dnie do wyzdrowienia Ewelinki i do jej wyjazdu.

— Ale to nieprędko chyba nastąpi — skarżył się Inie, siedząc w jej cichym, słonecznym pokoju, ozdobionym paru pięknymi sztychami i mnóstwem książek. — Ona powiada, że jej tutejsze powietrze dobrze robi. Więc pewnie będzie siedziała do nieskończoności.

— Jesteś niewdzięczny! — śmiała się Ina. — Przyznaj, że dotychczas ciocia wcale wam się nie narzucała.

— Przyznaje. Ale, wiesz — ciężko z nią. Nie wiem, jak ona to robi — ale przy niej niema w całym domu kąta spokojnego. Już mi do gabinetu wprowadzają dzieci. Kiedy mnie niema w domu, to niech tam! Ale wczoraj miałem plan do wykończenia, rozłożyłem rysunki — aż tu patrzę, na moich reizbretach sucharki i łyżeczki porzucone. Niance zrobiłem wymówkę — to potem dano mi do zrozumienia, że jestem »wyrodnym ojcem«. — Stefan śmiał się, to mówiąc. Ale nagle urwał,

westchnął: — Oj, ciężko żyć! — szepnął, jakby sam do siebie.

Ina spojrzała na niego swym rozumnym, przenikliwym wzrokiem. — Ależ, Stefanie — spróbowała go pocieszyć — to przecie — chwilowo tylko...

— Nie. To nie chwilowo tylko — odrzekł on poważnie. — Mnie jest ciężko — zawsze — zawsze. Ah! co tam gadać! — dodał porywczo.

Wstał i wyszedł śpiesznie.

A Ina długo siedziała zamyślona — o nim. Od pierwszej chwili dostrzegła, iż w domu Glińskich nie panuje ta harmonja cudowna, jaka jest udziałem dobrego małżeństwa — ta jedność myśli i celów, która jedynie małżeństwo podnieść może z rzędu funkcyj zwierzęcych do najwyższego szczytu egzystencji ludzkiej. Widziała, że jedno do sasa, a drugie do lasa. Ale nie domyślała się, że jest tam i cierpienie świadome i uznanie tego cierpienia. Wyznanie Stefana zabolowało ją. — Ale ja mieszać się do tego nie mam ani prawa, ani potrzeby — zwyrokowała nareszcie. Sprawy między małżeństwem, to wydział całkiem dla obcych zamknięty. Nie powinienam o tem wszystkiem ani wiedzieć, ani niczego się domyślać. »Nie suń nosa do cudzego prosa« — to bardzo mądre przysłowie i trzeba o niem pamiętać.

I Ina postanowiła w stosunkach swych z Glińskimi być uważną i o ile można trzymać się od nich zdaleka. Tem łatwiej to przyszło, że już rozpoczęły się jej zajęcia na owej »niby pensji«, którą założyła przyjaciółka jej, Miszewska — i że zajęcia te pochłonęły jej dzień cały. Od rana tam przebywała — i dopiero pod wieczór wracała do swego mieszkania, niosąc zwykle jesz-

cze paczkę zeszytów dziecinnych do poprawienia. Po absorbującej pracy całego dnia, witała mile ciszę własnego kąta. Rzuciła na biurko zeszyty dziecinne, chwyciła okrycie i kapelusz i dzwoniła o samowar. A gdy ten zaszumił na stole, a pachnąca herbata zazłociła się w jej filiżance, ona, wsunięta w róg kanapki, z książką w rękę, napawała się ciszą i swobodą. Nie miała żadnej ochoty opuszczać tego swojego domku i szukać cudzego. Dobrze jej tu było z książką, z myślami swoimi, z tą fotografią w czarną krepę opiętą, co nad jej łóżkiem wisiała, z ukochanym wspomnieniem w duszy. Po kilku latach bujnego, studenckiego życia, po wstrząśnieniach, rozkoszach i rozdarciach krwawych, jakie przeżyła — po wirze myśli, jaki ją otaczał — teraz pragnęła duchowego odpoczynku, skupienia się w sobie.

Ociągała się więc z wzięciem udziału w tej pracy, do której naglił ją Stefan. Ale słuchała opowiadań o niej z ciekawością i zapalem.

On też, rad, że znalazł nareszcie słuchaczkę uważną i współczującą każdej pięknej myśli, szukać w niej zaczął coraz częściej owego podziału i zrozumienia. Mówił o sprawie ogólnej, o zasadach i środkach — ale też mówił i o sobie — o doli własnej — o losie ślepych — i o Ewelince. Potrochu, coraz szczerzej odsłaniał przed nią dno serca swego — i wszystkie swe zawody — i niezadowolenia — i żale. I znać mówienie to sprawiało mu ulgę, gdyż rańniejszy i weselszy wychodził zawsze z małego pokoiku Iny.

Aż razu jednego ona mu przerwała: — Stefanie, słuchaj. Muszę poruszyć trochę drażliwą kwestję — ale sam zmuszasz mnie do tego. Powiedz — czy to dobrze,

abyś mnie mówił o swoim małżeńskim pożyciu i abym ja takich rzeczy słuchała? Czyż mąż i żona nie jest to taka całość, do której nikt obcy mieszać się nie powinien? Wszakże to »jedna dusza, jedno serca bicie«. — Prawda?

Stefan stropił się — ale zaczął się śmiać. — Poetką jesteś, poetką, romantyczną, Ino, pomimo wszystkich swoich realnych studjów i »trzeźwych« poglądów. Gdzież to w praktyce widziałas owe małżeństwa z »jedną duszą«! To legenda! Zwykle bajanie narzeczonych! Myślisz, że my z Ewelinką nie mówiliśmy także o »jednej duszy« podczas dni miodowych? Ojej! I jak jeszcze! A tymczasem — widzisz jak jest. Ona, pochłonięta swym macierzyństwem, o żadnych sprawach duszy niema czasu myśleć. A ja... no, ja idę swoją drogą... O! jedność dusz — to ostatnia z naszych trosk.

— To źle, Stefanie. Ja nawet nie pojmuję, jak można żyć wspólnie bez takiej jedności.

— A cóż robić! Trudno się rozstawać dlatego, że się nie znalazło jedności duszy w żonie. Zresztą, Ewelinka ma tysiące zalet, przypada mi pod wielu względami. Naprawdę, kocham ją bardzo. Jest doskonałą matką, gospodynią, nawet — w pewnym zakresie — doskonałą żoną. Czegóż można więcej wymagać? A że wolalbym mieć w niej jeszcze i istotę podzielałą moją myśl — no, to trudno! Nie można być wszystkim razem...

Stefan pochylił się do rąk Iny, wziął je w swoje i pocałował. — Taką istotą będziesz ty, Ino! — dodał cichutko.

Ona odsunęła się żywo. — Nie, nie, Stefanie! Ani chcę, ani mogę — ani mam już na to siły!

Matka.

Stefan westchnął. Lecz z uśmiechem prosił dalej: — Nie broń się. I nie odpychaj mnie! Wierz mi, tu jest dobry uczynek do spełnienia. Bo ja jestem — powiem ci szczerze — dość słabego charakteru — wiem o tem sam najlepiej — przyznaję się. Mam dobre chęci — tak! Ale potrzeba mi podtrzymania — potrzeba mi nieraz słowa zachęty. Ja nie jestem taka opoka, co sama stoi. Ja mogę iść dobrą drogą i pójść złą — to będziesz miała na sumieniu — nie powinnaś mnie odrzucać. Bo jak mi się znudzi dobra droga i pójść złą — to będziesz miała na sumieniu — i wyrzucać sobie będziesz: — Mogłam go dobrem słowem utrzymać, a odepchnęłam. A widzisz? Musisz mnie trochę wziąć pod opiekę — bo Ewelinka pod tym względem — to zero.

Ina milczała. A w duchu mówiła sobie: — Ma rację. Bodaj że każdy mężczyzna potrzebuje być trochę wziętym pod opiekę — aby mu się nie znudziła dobra droga. I jeśli tej opieki nie da mu żona, zrobi to kto inny... i nie wyjdzie mu to na dobre, nie! A Ewelinka pod tym względem — to zero. Prawda — ona tego wszystkiego nie rozumie nic a nic.

Wstała z kanapki i zaczęła chodzić po pokoju. Z rękami w tył założonemi, z głową pochyloną, kilka razy z kąta w kąt przeszła powolnym krokiem. Aż zatrzymała się przed siedzącym Stefanem i, patrząc mu prosto w oczy, stanowczo wyrzekła:

— A więc — dobrze.

Uścisknęli sobie dłonie mocno, krzepko, po męsku. I dnia tego więcej nic już nie mówili do siebie.

Ale odtąd już na tem stanęło. Codziennie pod wieczór Stefan pukał do drzwi Iny. Podawali sobie ręce

przyjaźnie, on siadał w »swoim« fotelu, ona mu podsuwała filiżankę herbaty, i przez chwilę rozmawiali. Chwila ta trwała niekiedy bardzo krótko, gdyż oboje mieli dużo pracy. Ale stanowiła dla obojga jasny punkt wśród szarych dni, jakby łyk świeżej, źródlanej wody na znoonej drodze. Oboje mimowoli czekali tej chwili i przez dzień cały do niej odkładali wypowiedanie swych spostrzeżeń, wrażeń i najcenniejszych myśli. Nie samemi wszakże wzniosłemi ideałami karmili się podczas tych chwil. Owszem, nieraz, pod światłem lampy, w zaciśniętym pokoiku, bardzo powszednie, prozaiczne kwestje i kwestyjki, bardzo poziome szczegóły wysuwane były i poddawane pod dyskusję.

Bo już Ina dała się wciągnąć w robotę i roboty tej sporo wzięła na siebie. Robota zaś — jakkolwiek do wielkiego celu służąca — sama była drobiazgowa, żmudna i wcale nie efektowna.

Tylko bardzo droga i bardzo ukochana.

— A nie dałoby się Ewelinki także wciągnąć do naszej gromady? — spytała razu jednego Ina Stefana. Pytała o to z pewną nieśmiałością, gdyż sama niezbyt w to wierzyła.

Było to już w lat parę po urodzeniu i śmierci trzeciego dziecka — gdyż małżeństwo to nie żyło długo. Starsze wyrosły już z niemowlęstwa i nie potrzebowały już tak bezustannego pielęgnowania. Nowego tymczasem nic się nie zapowiadało. Ewelinka była narazie swobodniejszą.

Stefan uśmiechnął się. — Ja próbować już nie będę — rzekł. — Dawniej kilka razy próbowałem... ale nie udało się. I dziś, moja »manja społeczna«, jak ona to

nazywa, tylko ją irytuje. Możeby kto inny miał większe powodzenie.

— Ja spróbuje, — rzekła Ina.

I spróbowała. Ostrożnie, delikatnie, starając się nieco próżności jej pochlebić, utyskując na brak ludzi, zaproponowała Ewelince wzięcie udziału w jakiej pracy ogólnej, np. chociażby w zakładającej się właśnie ochronce dla biednych dzieci. Nie chodziło o jakieś zbyt absorbujące zajęcie, nie! Tylko pójść tam parę razy w tygodniu, podyżurować przy obiedzie — albo roboty dziecinne obejrzyć i skontrolować — albo też może wziąć na siebie rachunki gospodarskie — pokierować tem — dopomóc.

— Ależ, Ino! Ja mam swój dom własny! A w nim chyba dosyć zajęcia! Będę jeszcze nabierała sobie obowiązków! Zresztą, do żadnej ochronki za nic w świecie nie pójdę. — Bóg wie skąd tam dzieci przychodzą. Jeszczebym swoim przyniosła jaką chorobę! Nie, moja droga, kobieta, której Pan Bóg dał dzieci, najlepiej zrobi, jak im się poświęci, a nie będzie szukała czegoś tam poza domem.

— Są jednak także — przyznasz — obowiązki szersze...

— O, daj pokój! Ja zawsze powiadam: czyń każdy w swoim kółku, coć każe duch boży, a całość sama się złoży. Jeżeli jestem dobrą matką, żoną i gospodynią domu, to już i sam Pan Bóg więcej nie może ode mnie wymagać.

Ina nie dawała jeszcze za wygraną. — Jednak... dla tychże samych dzieci jest lepiej, żeby matka nie zamykała się jedynie w domowych ścianach i w kółku

swoich egoistycznych myśli — żeby brała udział w życiu społecznem.

— A cóż dzieciom z tego przybędzie?

— To, że w matce widzieć będą musiały nietylko rodzicielkę swoją i karmicielkę — lecz człowieka.

— Ach, Ino! To są frazesy! Dzieci nic widzieć ani rozumować nie potrzebują. Matka dla nich — to matka. I koniec.

— Dziś nie rozumują — ale przyjdzie czas, że zaczną sądzić. A przedewszystkiem, będą szukały podziału dla własnych, budzących się ideałów. A gdy tego nie znajdą w matce...

— Dlaczego nie mają znaleźć! Cóż to, myślisz, że jestem już taka głupia, iż moje własne dzieci nie zechcą ze mną gadać?

Ina westchnęła. Niecierpliwiły ją odpowiedzi Ewelinki.

— Nie myślę, że jesteś głupia. Ale tego się obawiam, że macierzyństwo pochłonie w tobie zupełnie człowieczeństwo. A to właśnie dla dzieci będzie najgorzej. Póki małe, potrzebują one jedynie matki. Gdy wyrosną, szukać będą w matce człowieka. A czy znajdą? Mój Boże, że też tego matki nie rozumieją! A ja, patrząc na to z boku, takbym chciała wolać do każdej: ze względu na męża, ze względu na dzieci, ze względu na własne szczęście i godność — bądź przedewszystkiem człowiekiem! Ach, Ewelinko! I tobie też powiem: bądź przede wszystkim człowiekiem!

Ewelinka wzruszyła spokojnie ramionami.

— Moja droga — odparła — a ja ci powiem, że sądzisz, jak ślepy o kolorach. A ja w to wierzę najmo-

cniej, że takim, które szczerze pragną dobrego, Pan Bóg udziela swojej łaski i, chociaż taka matka nie zagłębia się w jakieś teorie, przez sam sakrament małżeństwa posiada ona już światło i umiejętność potrzebną dla dobrego wychowania dzieci. Od czegożby ten sakrament był ustanowiony przez Kościół święty? Ale — wiem, wiem — ty w to nie wierzysz... — Spojrzała trochę zgóry na Inę i uśmiechnęła się łaskawie. — Zresztą, moja droga — dodała — ty zawsze byłaś trochę narwana.

X.

Tymczasem, Ewelinka w znoju, w trudzie, w umęczeniu, ale i w rozkoszy — gromadkę swoją hodowała. Było tam i łez i smutku niemało, bo jedno z tych piskląt, po półrocznem zaledwie istnieniu, powiększyło grono aniołków, zostawiając matkę w nieutulonym, zda się, żalu. Żal jednak łagodniał z biegiem czasu, a w parę lat później ustąpił miejsca nowej pociesze, malutkiej Muni, która od pierwszej chwili stała się najukochańszym skarbem i oczkiem w głowie swej mamusi.

Trójka więc była znów w komplecie. Rosło to dzieło, parło się naprzód w to życie ze stanowczą determinacją, zabierało coraz szersze miejsce na świecie i coraz silniej wierzyło w to, że wszystko, co istnieje — zaczawszy od gwiazd na niebie a kończąc na mamusi i na lalce z dzwoneczkami — że wszystko to istnieje dla nich — i dla nich jedynie. One były panami wszechświata. One królowały niepodzielnie w pięciu pokojach mieszkania i z niedowierzaniem przyjmowały wszelkie restrykcje, dotyczące gabinetu tatusia. One rozkładały swe zabawki na wszystkich sprzętach i zostawiały ślady rączek na kanapach i fotelach. One rozporządzały się

osobą, czasem, uwagą i siłami mamusi, niani, a nawet i Agaty. Nawet sam tatuś musiał im ulegać, gdy z piśkiem, wrzaskiem i tupotem małych nóżek rzucały się na wracającego do domu, ciągnęły do sofy, obsiadały mu kolana, opłatały mu szyję ramionkami, i cienkimi głosikami świdrowały w uszach: — Plosie bajeczkę! Plosie bajeczkę!

One dla siebie samych, a i dla mamusi, były alfą i omegą stworzenia.

Bo dla Ewelinki mógł się zapaść świat cały, mogły najstraszniejsze ciosy spadać jeden po drugim na kraj i na ludzi bliskich — mogły tuż obok wic się w bólu, umierać w męce, błdzić w ciemnościach, upadać pod brzemionami ciężkimi setki i tysiące — mogły skargi i jęki wzbijać się, jak huragan, ku milczącemu niebu, a lzy ludzkie gęstą mgłą horyzont przesłaniać — niczem to było wobec kataru Julka, żołądeczka Broni i wyrznięcia się ząbków Muni.

Niczem również wobec podrożenia mięsa o dwa grosze na funcie i przypuszczalnego podwyższenia komornego — wobec frasośliwego i pełnego trudu »związkiwania końców«.

Zadanie to, postawione sobie od pierwszych dni małżeńskiego pożycia jako obowiązek najświętszy, jako punkt honoru i cel dążeń, absorbowало całkowicie umysł Ewelinki. Nie była to w niej bynajmniej — pomimo pozorów — chciwość na grosz. Było to coś więcej — coś, co sięgało korzeniami swymi prawników, co wyrosło już w duszy przedhistorycznej Ewy, ściągającej łup i dobytek do jaskini swojej — dla potomstwa. Była to wiedzą uświęcona, w krew już weszła forma kobiecej walki

o byt i o trwanie gatunku — tradycyjne zagarnianie, gromadzenie, oszczędzanie w przeciwieństwie do męskiej nieogłędnej twórczości i do hojności na dziś, bez myśli o jutrze. Pomimo odstepu wielu wieków, dusza nowożytna Ewy nie oddaliła się zbyt od duszy swej pramacierzy. Instynkty pozostały te same. I one to, a nie przybrane z biegiem lat zasady, pojęcia, dogmaty i formy — one to kierowały jej czynami.

One do jej wezbranej mlekiem piersi kazały z lubością przystawiać dziecię.

One — a nie żadne »poświęcenie macierzyńskie« — budziły ją w ciemną noc i z łóżka do kolebek dziecięcych gnały.

One obarczały jej ramiona dźwiganiami wciąż na sobie, jak najbliżej siebie i tulonami namiętnie do ciała swego ciałkami dziecięcymi.

One kazały jej zamykać szczelnie drzwi domu swego i strzec go przed »obcym«, który, wedle odziedziczonych pojęć, musiał być zarazem i wrogiem.

One, pod płaszczykiem obowiązku i świętych zasad, kierowały jej uczuciem i czynem, omotywały jej myśl, usypiały sumienie i wzrok skierowywały w jeden jedyny punkt — we własne, w dzieciach własnych rozrodzone *ja*.

Bo dzieci — była to ona sama. Do czasu przynajmniej. Brały z niej życie i pokarm, brały też myśli. Wśród szczelnie zamkniętych ścian mieszkania, przez matkę jedynie płynęło dla nich życie i żadne postronne wpływy działać tu nie mogły. Napróżno Ina napomynała o korzyściach z towarzystwa innych dzieci — napróżno mówiła o komplecikach dla początkowej nauki — o wyrabianiu się charakterów w stosunkach z rówieśni-

kami. Napróżno wspominała o nowych a ulepszonych sposobach rozwijania i uczenia. Napróżno i Stefan, pod jej wpływem, starał się o szerszy powiew z zewnątrz dla swoich dzieci. Ewelinka była na to wszystko głucha. Odpowiadała półsłówkami lub nie odpowiadała wcale, ale tem zazdrośniej zamykała się z dziećmi swemi w niedostępnej głębi domu rodzinnego i tem zajadlej na progu jego warowała.

Nadeszła jednak wreszcie chwila przełomu. Julek skończył lat dziesięć, i Stefan, po burzliwej scenie, oddał go do pierwszej klasy gimnazjum. Nie pomogły płacze i gniew Ewelinki. On się uparł i na swoim postawił. Ewelinka po raz pierwszy w życiu musiała ustąpić.

— No, dokonałem swego — mówił potem do Iny, siedząc w jej pokoiku na zwykłym miejscu, przy zwykłej filiżance herbaty. Zdobyłem się na akt »samowładztwa«: Ja tak chcę i basta! a ty, niewolnico moja, masz mi być uległą i nie podnosić głosu przeciwko panu swemu! Tak! I to zrobiłem za poradą twoją, Ino — najemancypowańszej z emancypowanych kobiet! W tem tkwi ironja najwyższa. Gdzież tu logika u was, kobiet? powiedz!

Próbował żartować, ale był zmęczony i smutny. I jakby na pokrzepienie szukał jej wzroku.

Ona podniosła na niego oczy poważne, także smutne trochę, i rzekła:

— Zrobiłeś dobrze.

Pochylił się do jej rąk i przylgnął do nich ustami. I tak chwilę siedzieli w milczeniu.

Już od całego lat szeregu trwała ich przyjaźń. Wzmocniła się przez wspólnie podjęte prace, zahartowała się w trudnościach i niepokojach znoszonych ra-

zem, krzepła w coraz lepszym wzajemnym rozumieniu się i była dla obojga źródłem coraz większej siły i pociechy. Stefana zwłaszcza wpływ rozumnej i dobrej kobiety uszlachetniał i podnosił. A nigdy przyjaźń ta nie została zmaconą najmniejszym powiewem erotyzmu. Zdawało się, że w stosunku do siebie Stefan i Ina nie byli młodym mężczyzną i młodą kobietą, lecz jedynie dwojgiem umysłów i dusz doskonale się wypełniających. Spokój zupełny owiewał ich stosunek, gdyż czuli to dobrze, że nikomu nie odbierają nic — że to, co Stefan dawał Inie, nie było nigdy udziałem Ewelinki — że to, co Ina dawała Stefanowi, nie przynosiło ujemy jej zmarłemu ukochaniu, gdyż nie było nawet cieniem miłości.

I teraz, gdy on się do jej rąk pochylał, ona nie odsuwała ich z pod ust jego. Tylko po chwili powtórzyła: — Zrobiłeś dobrze. Naturalnie, gimnazjum nie jest wcale ideałem — o, gdzie tam! Ale tu chodziło o co innego. — Trzeba było wyrwać chłopca z tego waszego zdomowienia, pchnąć go do ludzi. Ale — co będzie z dziewczynkami!

— Z dziewczynkami będzie znacznie trudniej — a nawet niepodobna. Wedle Ewelinki, córka jest wyłączną własnością matki — jej rzeczą. I nikt nie ma prawa do niej się mieszać. A znasz jej teorię: skrzydło matki... ciepło rodzinnego ogniska... kobieta dla rodziny... ochranianie od złych wpływów... A w gruncie egoizm. Bo widzę teraz jasno: tak kochać dzieci, jak je Ewelinka kocha — to znaczy siebie kochać.

— Tak, z pewnością. Ale tego żadna matka nie uzna.

— O, nie! O poświęceniu macierzyńskim gadają

szeroko i długo. Zresztą, mniejsza o to. Ja zrezygnowałem się już. Tylko chciałbym, aby dzieci były dobrze wychowane i wyszły na ludzi. Wątpię jednak...

— Możeby udało się na przyszły rok Bronkę do nas przysłać — na przychodzącą?

— Nie! Ewelinka nie zgodzi się na to! Ona i Miszewska i ciebie nawet ma za niebezpieczne istoty, zarazone postęmem i wszelką nieprawością. A o waszej pensji powiada, że jest bezwyznaniowa.

— Jakto! Sam ks. Ilinicz daje lekcje religji!

— To nic. Ale jakoby Miszewska nie chodzi do spowiedzi. A i o twojej prawomyślności też niezbyt przeświadczona.

Ina zaśmiała się. Jednak rzekła po chwili: — Tu jeszcze nie Europa.

Westchnęli oboje i umilkli.

Stefan wracał codziennie od Iny z tą odrobiną słodczy w duszy, która jest konieczną do pracy i do trwania — z tą kroplą oliwy, co tryby i zawiasy maszyny wewnętrznej smaruje i umożliwia dalszy jej chód.

Z domu tego brać nie mógł.

Po dziesięciu już przeszło latach pożycia, stosunek jego do żony ułożył się tak, jak się układa w znacznej większości »dobrych« małżeństw. On miał swoje — ona zaś swoje życie. Łączyła ich wspólna kieszeń, wspólne łóżko, wspólny stół obiadowy, wspólny dach nad głową — i lata nawyknienia. Stanowili zatem dobre małżeństwo. Naprawdę wszakże szło sobie jedno do Sasa, a drugie do lasa.

Wśród dzieciarni, oddanie Julka do szkoły zrobiło efekt olbrzymi. On sam poczuł się nagle bohaterem. Otwo-

rzyły się przed nim podwoje jakiegoś zaczarowanego świata, do którego wstępował o własnych siłach, bez mamusi i bez mademoiselle, w długich spodniach i w czapce ze złotym znaczkiem — gdzie grano w klasy, robiono »ser«, a czasem »szczypce«, — gdzie każdy chłopiec nazywał się nie poprostu Julek, albo Adaś, albo Jaś, ale Gliński, Skwirzewicz, Popow, Sutin, Najmacher — a między kolegami, to mógł się nazywać na przykład Buldog, albo Harmonijka — gdzie Niemcowi posypano pulpit sadzą, a na lekcji gimnastyki robiono »obstrukcję« — gdzie w ławkach przechodziły z rąk do rąk śliczne pocztówki, i gdzie można było wygrać »w pióra« prawdziwe pieniądze — gdzie nawet (o, z niczem nieźrównana rozkoszy!) Lejbuś Kieliszek przynosił czasem papierosy i zapalki i za kopiejkę dawał raz »się zaciągnąć!« A Popow — to już umiał puszczać dym przez nos — jak dwa kominy! Ale to był straszny sekret, bo gdyby inspektor się dowiedział, toby Kieliszka zaraz wyprawiono.

Słuchały siostry co wieczór tych opowiadań i oczy im się paliły zaciekawieniem i zazdrością. Munia była za mała jeszcze, aby wszystko rozumieć. Ale Bronka aż się trzęsła. — Mamusiu, a kiedy ja pójdę do szkoły? — pytała.

— Dziewczynki nie potrzebują chodzić do szkoły, będziesz się w domu uczyła — odpowiadała matka. — Dziewczynki z porządných domów zawsze uczą się w domu.

— Jakto, mamó! — zaprotestował Julek — siostra Skwirzewicza chodzi do gimnazjum dziewczynek. A ich dom jest bardzo porządny — mają nawet konia

i sanki. Ona już jest w czwartej klasie, bo ma czternaście lat. I bardzo wiele dziewczynek tam chodzi.

— Ale Bronka do szkoły nie pójdzie.

— Dlaczego, mamó! Ja okropnie chcę pójść do szkoły i mieć koleżanki — tak, jak Julek. Dlaczego Julek może uczyć się w szkole — a ja nie mogę?

— Bo jesteś dziewczynka. Julka oddał tatuś do szkoły — a mama ciebie do żadnej szkoły nie odda.

— To ja poproszę tatusia, żeby mnie oddał.

— Nie. Dziewczynki należą do swojej mamy. Powinny przy niej być zawsze, słuchać jej, nie sprzeciwiać się w niczem — i wszystko, co mama powie, uważać za święte. Dobra dziewczynka nie powinna rozmawiać, a słuchać — bo tak Pan Bóg każe.

— To ja nie chcę być dziewczynką! — zawołała Bronka z dąsem.

Ale Julek jej przerwał: — Głupia jesteś! A chłopiec? — spytał matki, pakując obie ręce do kieszeni od spodni.

— I chłopiec także. Wszakże wiecie, że Pan Bóg powiedział: Czcij ojca i matkę swoją.

Julek spuścił głowę i przez chwilę myślał bardzo głęboko. Zrobiło się cicho dokoła stołu, pod lampą. Tylko piszczał cieniutki głosik Muni, usypiającej lalki w ciemnym kąciuku: — A — a — a...

Aż naraz wystrzeliło pytanie: — A kiedy tatuś z mamą pokłóć się, to kogo trzeba czcić?

Stropiła się Ewelinka — i żywo wstała od stołu.

— Nie gadaj głupstw! — rzekła niecierpliwie. — I nie trzymaj rąk w kieszeni! — tyle razy już przestrzegałam...

Wyszła, nieco podrażniona.

Wogóle, rozmawiając z dziećmi, czuła się teraz często podrażnioną. Zadawały one takie niemądre pytania i domagały się koniecznie odpowiedzi. I już nie można było ich byle czem zbywać. A jakże tu odpowiadać na takie naprzykład zagadnienia:

Całuje się w rękę starszych i księży — to dlaczego Marcinowa mamę w rękę całuje, kiedy mama od niej młodsza i nie ksiądz? Albo: skąd się biorą jaja? A jeżeli wszyscy ludzie są bliźni, to dlaczego każdy śmieje się z żydów? A jeżeli nie można bić się, to dlaczego są wojny? I co to jest ogier? I czemu ciocia Ina była w uniwersytecie, a mamusia nie była? I dlaczego dziewczynka jak duża, to nie może chłopców całować? A co to jest socjalista? I tak dalej. — I tak dalej.

Cóż dziwnego, że takie ciągle pytania mogły irytować i męczyć? — Czyżby wszystkie dzieci tak ciągle o coś pytały! — myślała Ewelinka.

I w sercu jej rodziło się coś jakby żal do tych dzieci, że już nie były takimi, jak dawniej — że stawały się jakby nieznajomymi i obcymi istotami.

Jeszcze z Julkiem było pół biedy. Chociaż już chodziły mu po głowie różne niepotrzebne myśli, sądy, ciekawości — ale upartym nie był i, gdy mu powiedzieć: Cicho siedź — i pilnuj siebie! — to milkł i już więcej nie pytał — narazie przynajmniej. Ale z Bronką, to czasem nie można było wytrzymać. Jak się uczepliła z jakim pytaniem, to nie dawała spokoju. Póty nudziła, dręczyła — aż się trzeba było rozgniewać i wprost nakazać milczenie. A jej oburzenia albo zachwyty były tak gwałtowne, że doprawdy dochodziły do oblędu. Naprzy-

kład, dla ks. Józefa Poniatowskiego miała przez pewien czas adorację, jak dla żywej osoby. Spała z fotografią pod poduszką, czytała coś o nim ciągle — bodaj że nawet wiersze do niego pisała. Potem, działo się coś w tym rodzaju z Joanną d'Arc. Zalewała się łzami, czytając jej historję. A co najgorsze, że zaraz chce sama swoje ideały naśladować. A nadomiar złego, Ina miała nietakt opowiedzieć jej historję Emilji Platerówny. Dla innej — to byłoby nic. Przez jedno uchoby wleciało — przez drugie wyleciało. Ale Bronka! nie śpi po nocach. Albo i z temi naukami! Inne dziewczyny w jej wieku to trzeba zapędzać do lekcji, i krzywiąc się, zrobić zaledwie to, co zadane. A ta, jak co polubi, to aż się do tego wyrwa. Nie tego uczy się, co każą, bo np. do fortepianu zasiada wiecznie nadąsana. Ale wspomnieć przy niej o ptaku, o roślinie, to już uszy nastawia. Nosi się wiecznie z jakimś zdechłymi stworzeniami — aż obrzydliwie! Własne »studja« przeprowadza, pisze notatki, streszczenia — Bóg wie co! Zwykłych zabaw dzieciennych nie bardzo lubi — z lalkami dawno już przestała się bawić i wszystkie swoje oddała Muni. A siedziałaby, zwinięta w kłębek, w rogu sofy i czytała od rana do nocy. Gdy zaś tak poczyta przez parę godzin, to dostaje wypieków na twarzy i widać, że w tej główce aż się pali. Może to i na zdrowie nawet zaszkodzić! Gwałtowny to charakter — bardzo samowolny i trudny. Co z niej wyrośnie, mój Boże!

Pociechą największą była tymczasem Munia mała. Takie to przytulne, pieszczotliwe, kochające, uległe i ciche stworzonko! Z nią chyba nigdy biedy ani trudności nie będzie. Zupelnie to inny charakter.

Starsze trudne są do prowadzenia. I co jest dziwne, to, że im starsze, tem się stają trudniejsze. — I jakby skryte — jakby wiecznie coś knujące za plecami rodziców. Nie kłamią jeszcze, nie. Ale też i nie wszystko mówią.

Widocznie działają tu złe wpływy jakieś — może tej nieszczęsnej szkoły — może Iny, która lubi czasem, gdy przyjdzie w niedzielę, zasiąść z dziećmi w kąciку i rozmawiać z niemi długo, długo! — a może nawet samego Stefana, który przecie ma »ideje« i często odzywa się z niemi przy dzieciach bardzo nieostrożnie i niepotrzebnie. A zresztą, dochodziła Ewelinka do konkużji w rozmyślaniach swoich, niewiedomo, skąd to się brało. Zmiana była coraz wyraźniejsza.

A rady na to nie widziała żadnej. Ani zadawałać ich ciekawości, ani brać udziału w tem wszystkim, co przez ich głowy przechodziło, ani wdawać się z niemi w jakieś rozmowy i konfidencje, jak to czyniła Ina — ona, matka, nie mogła. A gdzieżby znalazła czas i myśl swobodną na jakieś tam badania i rozmyślanie, czy chociażby czytania z dziećmi, gdy na głowie ma tak wiele, tak wiele! Dom, męża, troje dzieci, mademoiselle i dwie sługi! A każdego trzeba nakarmić, dopilnować, aby robił swoje, aby baków nie zbijał — i nieraz o drobiazg jakiś się wyklócać — a nieraz też i za niego zrobić! A pieniędzy — nie przelewa się w kasie domowej, nie! Przez tyle lat ledwie że jakieś parę tysięcy udało się odłożyć na czarną godzinę i zabrodzkie długów trochę zepchnąć. A tak, ledwie się końce wiążą, i z każdym groszem bardzo a bardzo liczyć się trzeba. Trudno w tych warunkach wdawać się, jakby Ina chciała, w jakieś fi-

lozofje. Daj Boże wystarczyć na to, co konieczne — dopilnować głównych rzeczy — dać dzieciom zasady religijne i moralne, dać im staranne wychowanie, ustrzec od chorób, no, i zabezpieczyć, o ile się da, ich los.

I Pan Bóg więcej nie może wymagać.

Trzeba tylko mocno Mu ufać i gorąco prosić o łaskę. W modlitwie szczerzej szukać światła — polecić Mu te dzieci, które są przedewszystkiem Jego dziećmi, których dusze On krwią swoją przenajświętszą odkupił i łaską wszechmocną obiecał wspierać. Niechże On czuwa nad nimi i prowadzi swojemi drogami! Bo tu człowiek sam nie poradzi. Matka jest jedynie boskiem narzędziem. Niechże On sam przez nią działa!

I w długich modlitwach, co wieczór Ewelinka polecała Opatrzności boskiej dusze i ciała swoich dzieci. Bogu je oddawała, znacząc na śpiących główkach po bożnie krzyżyki.

A sama, zmęczona całodziennem dreptaniem, sfrasowana miljonem sprawczek domowych, z głową pełną kłopotów, kombinacyjek i drobnostek, ale z sumieniem spokojnem w poczuciu spełnianych ofiarnie obowiązków — zasypiała snem sprawiedliwego.

XI.

Jednego dnia, Julek, który zawsze wracał ze szkoły zaraz po drugiej, spóźnił się o dwie godziny. Przyszedł, gdy już cała rodzina kończyła obiad.

— Co to jest? Gdzieżeś był? Co ci się stało? — zarzucono go pytaniami.

— Siedziałem w karczerze — odpowiedział tak buntnie, jakby się tem chwalił. Jakoż najmniejszego zawstydzenia znać po nim nie było. Przeciwnie, głowę niósł wysoko, a chociaż bleśszy był, niż zwykle, w oczach migotała mu jakaś cicha, głęboka radość. Zdawało się, że od wczoraj urósł i dojrzał. Była już męska powaga na jego czole.

— Jakże? Za co to było? Co zrobiłeś? Jakże mogłeś...? — znowu posypały się pytania.

A Stefan wziął go za ramiona i postawił przed sobą. — Opowiedz wszystko — rozkazał.

Julek, w ciszy, jaka nastąpiła, opowiadać zaczął..

.....
Patrzył ojcu w oczy — w oczekiwaniu, lecz bez żadnej trwogi. Snadź własne jego sumienie dało mu już odpowiedź i sankcję.

Stefan milczał — i patrzył także na swojego syna.

Stał on przed nim blady, spokojny i zdecydowany, jakiś inny zupełnie od tego Julka, którego widywał co-

dzień przy zabawie, przy rodzinnym stole — od tego dziecka. Jakiś inny zupełnie! Jakiś bliższy jemu samemu i droższy. — O! stokroć droższy teraz!

Przez długą chwilę syn i ojciec patrzali sobie w oczy. Ale nie rzekli nic. Tylko ojcowska dłoń podniosła się powoli — i spoczęła na ciemnej głowce. Coś żywiej zamigotało w oczach chłopca — usta mu drgnęły. — Uśmiechnął się.

— Siadajże teraz — i jedz! — zakomenderowała Ewelinka, przynosząc mu talerz gorącej zupy. — I, na miłość boską, Julku, niechże się już nie powtarzają takie historie! Pierwszy raz — skończyło się na karcercze. Ale potem — gorzej będzie. — A jak raz już jesteś w gimnazjum, to przynajmniej przechodź z klasy do klasy. My, rodzice, staramy się z całych sił o dobre dla was wychowanie — więc to nie poto, abyście sobie wszystko psuli jakimiś demonstracjami.

Mówiła dalej. A Julek jadł. Bo głodnym był porządnie. Nawet niebardzo słyszał, co mama mówiła. Rozśpiewała mu się w duszy jakaś nieznana dotychczas, a cudna pieśń — jakiś triumfalny marsz — i dźwięki jego rozpierały mu pierś. Jakaś czara przedziwną słodkością nalana a wonna, jak najcudniejsze kwiecie, zbliżyła się do ust jego. Jeden tylko łyk z niej wypić zdołał, a rozgrzała mu się dusza i pragnął z niej pić więcej — więcej.

Dokonany czyn położył się, jak węgielny kamień, na dnie jego istoty — i mówił: — Buduj na mnie dalej — śmiało — wzwyż...

Tegoż wieczora w malutkim pokoiku swoim kończył zadanie na jutro, gdy drzwi cicho się otwały, le-

ciuchno przyfrunęła do niego Bronka i obie ręce zarzucała mu na szyję.

— Czego ty chcesz? — pytał, otrząsając się. — Dajże pokój! Nie nudź!

Ale Bronka całowała go zapalczywie po twarzy i głowie, i mocno, coraz mocniej ścisłała. — Bo ty jesteś bohater! — szeptała mu do ucha. — Ty jesteś bohater.

— Nie bądź głupia! — Otrząsnął się z jej objęć i wstał. — Ot, babskie gadanie! Bohater! Wielka rzecz, posiedzieć dwie godziny!... Ludzie wszakże... na śmierć szli... I nic.

— I ty — jak trzeba będzie — to pójdziesz. Jestem pewna.

— A rozumie się, że pójde.

Zamilkli. Bronka usiadła na łóżku, bo nie było drugiego krzesła, i zamyśliła się poważnie.

— Wiesz, co ja tobie powiem — rzekła po chwili — tatuś naprawdę był rad, tylko że nie mógł tego pokazać, bo mamaby się gniewała.

— Tak i mnie się zdawało. Tatuś mężczyzna, to te rzeczy rozumie.

— O, przepraszam bardzo! I kobiety doskonale te rzeczy rozumieją. I ja także to wszystko rozumiem — i chciałabym... ach! takbym chciała być bohaterką! A choćby i umrzeć!...

Bronka urwała, trochę zdyszana. Bo coś niezwykle załomotało w jej piersi.

A Julek przyświadczył: — Może ty coś tam i rozumiesz. Ale mama! Mama myśli tylko o tem, co dać na obiad i żeby tanio kosztowało. Mama nic nie wie

i nie ciekawa. Czy widziałaś kiedy, aby mama gazetę czytała?

— A nas, to mama uważa ciągle za małe dzieci. I jak tylko o co zapytać, to mówi: Pilnuj siebie! albo: Słuchaj starszych. A tymczasem my wcale już nie takie małe — i chcemy wiedzieć. Tobie dobrze! Ty jesteś w szkole, to masz z kim pomówić. A ja — to jestem zupełnie sama jedna...

W głosie Bronki zadrgał płaczliwy ton. Spuściła głowę i umilkła.

Julek odezwał się po długiej chwili: — I w tej szkole, to niebardzo przyjemnie. Z początku wszystko wydawało się jakoś inaczej. Ale teraz — czasem, człowiek głowę sobie łamie, myśli i tak i tak. — A niema kogo poradzić się...

— Ale... w czym, Julku? — szepnęła Bronka z pełną piersią współczucia.

— At! co ja tobie będę gadał! Nic nie rozumiesz. — Dziewczyna jesteś. — A zresztą, idź już sobie — bo ja nie mam czasu.

Awantura Julka miała ten skutek, że szkoła stawała się dlań z każdym dniem mniej miła. A i naukami szczerze nie mógł się zainteresować. Uczył się, jak mówiono, na trójkę, z pewnem nawet krytycznem lekceważeniem dla całego kramu.

Z kolegami zato żył dobrze. Lubiono go i szanowano. On też umiał się związać z najlepszymi. Zwłaszcza z »Mazurem« Żeleszczyńskim był w wielkiej przyjaźni. Ciągle coś tam radzili, czy knuli — coś obmyślali — do czegoś się przygotowywali.

Aż obmyślili.

XII.

— Chodź prędko do mnie, to tobie coś powiem — szepnął tajemniczo Julek do Bronki dnia jednego, gdy wstawali od obiadu.

— Czekaj — jak mama wyjdzie do kuchni — odparła ona cichutko.

— I żeby Munia nie widziała. Taka wrona jeszcze — zaraz wypapla.

— Naturalnie. Bądź spokojny.

Julek wyszedł. A Bronka, chociaż usiadła przy stoliczku do roboty, jak zwykle po obiedzie, i Munię posadziła przy sobie z rozpoczętą wyplatanką, oczami wodziła ciągle za mamą, krzątającą się po stołowym pokoju, i czekała chwili, gdy zniknie za drzwiami. Ale mama dziś jakby naumyślnie coś z tatusiem gadała i gadała bez końca i ani myślała iść do kuchni.

A tu już dochodziła czwarta, i lada chwila mogła się zjawić Fraulein Werner, Grażyna i dwie Mileckie na lekcję niemieckiego.

Bo, ostatecznie, po paru latach wahań, względy oszczędnościowe przemogły. Okazało się, iż lekcje dla jednej Bronki zbyt drogo kosztują. Ewelinka musiała postarać się dla niej o towarzyszkę do nauki. I już od

roku uczyła się razem z trzema dziewczynkami. Mania i Kasia Mileckie były córkami właściciela domu z tej samej ulicy, a Grażyna Żukówna jedynaczką u bardzo eleganckiej, bogatej, ładnej i światowej wdowy, pani Żukowej. Grażyna ojca nie pamiętała wcale — umarł, gdy była jeszcze małą. Samotne dzieciństwo przy wiecznie rozbawionej matce wyrobiło w niej marzące, tęskne usposobienie — własny swój jakiś, nierealny świat, z którego tylko jakby z łaski zstępowała do rzeczywistego życia. Chciała zostać sławną autorką, poetką albo malarką — nie wiedziała jeszcze. Z Bronką zawarły prędko przyjaźń na życie i śmierć. Mileckie, ochrzczone kategorycznie mianem »burżujek«, nie były dopuszczane do żadnych konfidencyj. Mścili się więc ciągłymi drwinami.

I teraz, gdy Bronka, dziobiąc igłą swoją kanwę, śledziła niecierpliwie wskazówki na zegarze i z pod oka obserwowała rozmawiających bez końca mamę z tatusem, myśl jej zwracała się do Grażyny. Ach! gdyby tu przyszła wcześniej! Toby poszły razem do pokoju Julka, i onby im obu wszystko opowiedział. I Grażyna jeszczeby lepiej wszystko osądziła — bo ona taka rozumna! Tylko że mama na przeszkodzie. Doprawdy, jakby się czegoś domyślała i chciała przeszkodzić.

Zadzwieczał dzwonek w przedpokoju. Bronka nie mogła wytrzymać. Zerwała się i pobiegła, nie słysząc wołania mamy: — Czego, Bronko! Czego!

Ale nie! Nie była to Grażyna, tylko jakiś pan do tatusia.

Tatus zamknął się z nim w gabinecie. Mama na koniec poszła sobie do kuchni, a Bronka pędem wpadła do pokoiku Julka.

— No, jestem! Mów prędko, bo zaraz przyjdą na lekcję. Cóż Żeleszczyński?

— Mówiliśmy z nim. Już ostatecznie zdecydowano. Zakładamy partję.

— Partję!...

— Ano, juści. Dziwisz się, jak cię na malowane wrota. Jakbyś nie wiedziała... Polską partję postępu i pracy. Słyszysz? Cztery *p*, a zatem, czwórka — kombinujesz?

— Ślicznie!

— Tylko, pamiętaj, to wielki sekret. I gdyby ktośkolwiek kiedy zdradził — to już my potrafimy jemu pokazać. — Rozumiesz?

Julek groźnie spojrzał na siostrę.

— Ależ, wiem, wiem! Ty nie myśl, że ja taka głęś, jak Mileckie. Ja wiem doskonale. A cóż my będziemy robili w tej partji?

Julek zawahał się. — To potem zobaczymy, co robić. Ale teraz, główna rzecz — zorganizować się.

— To jest... jak?

— No, zorganizować się. Przecie każda partja musi mieć swój zarząd, prawidła — no, i tak dalej.

— Dobrze. — Ale gdzie? U nas nie można. Więc trzeba gdzieś zebrać się i swobodnie pomówić. Mama nie pozwoli...

Julek spojrzał na nią oburzony. — Mama! Spodziewam się, że nie pójdziesz mamie takich rzeczy opowiadać! Bo jeżeli jesteście takie paple, to wynoście się zaraz z partji. My z takimi nie chcemy...

— Ależ nie, nie! Mnie ani na myśl nie przyszło

mamie mówić. Przecież ja wiem, jaka mama. Ja tylko tak sobie. — Bo... gdzie się zebrać?

— A właśnie — gdzie?

— Może Grażyna co poradzi...

— Ach! Grażyna! — Julek lekceważąco machnął ręką. — Taka sama dziewczyna... Ja ciągle mówię, żeby dziewczyn nie przyjmować — tylko ambaras z niemi — i wkońcu zawsze będzie bieda. Ale Żeleszczyński i Skwiricz za nim chcą. — Bo, mówią, że to już teraz równouprawnienie...

— Pewnie...

— A ja wiem, że to będzie kłopot...

— A ja tobie mówię, że Grażyna wszystko urządzi.

I Grażyna urządziła. W niedzielę po południu przyszła ze swoją angielską miss i uprosiła panią Gliniską, aby im na spacer pozwoliła zabrać Bronkę i Munię.

— Pójdziemy trochę na góry. — Taka śliczna pogoda! A za parę godzin, odprowadzimy je do domu. Niech pani pozwoli — mnie jednej tak nudno!

Poszły więc przez ulice jesiennem słońcem zalane ku wielkim pagórkom. A tam już czekało, jakby przypadkiem zgromadzonych kilku chłopców, z Julkiem na czele. Miss nic w tem złego nie dostrzegła i chętnie została na dole z małą Munią, która zajęła się zbieraniem ostatnich kwiatków jesiennych. Grażyna i Bronka zaś niby dla zabawy, razem z chłopcami wdrapali się na wysoki szczyt i znikli z przed oczu ludzkich. Tam, bezpieczni już, zasiedli kołem na trawie.

— Prędko, prędko! — rzekła Bronka — nie mamy czasu do tracenia.

Wstał wtedy chudy i blady chłopiec, Żeleszczyński, najwyższy z gromady, zdjął czapkę uczniowską — rękę założył za guziki palta — i zaczął:

— Młodości! ty nad poziomy wylatuj!...

Pochyliły się na piersi głowy siedzących w kole — i zrobiło się cicho, cichuteńko. Chłopiec mówił — deklamował — znów mówił. — Głos mu się niekiedy załamywał w gardle i jakby łzami nagłemi nabrzmiwał — czasem okrzykiem wybuchał. Na bladą twarz wystąpił rumieniec.

Tamci słuchali w skupieniu — w głębokiej powadze.

A u ich stóp, w złotym blasku jesieni, pod błękitną nieba kopułą, leżało smutne, umęczone, nieszczęsne miasto — płynęła do morza dalekiego rzeka wezbrana — błyszczwały krzyże na kościelnych wieżach — rdzawą czerwienią odcinały się na horyzoncie ruiny starego zamku — ciągnęły się dalekie, dalekie pola — leżała w jesiennem odpoczywaniu szeroka, ginąca w opalowej mgłę oddalenia — ziemia rodzinna.

Nad ich głowami, lecąc ku nadbrzeżnym gniazdom swoim, krakały wrony.

Oni siedzieli zasluchani. Blady chłopiec wciąż mówił. Wreszcie, wyciągnął z zanadru papier i zaczął czytać »Ustawę polskiej partji postępu i pracy«. — Ustawa składała się z dwunastu paragrafów, nad którymi proponowano dyskusję. Ale dyskutować nikt nie chciał, bo uznano, iż wszystko jest doskonale pomyślane, więc całą ustawę przyjęto jednogłośnie.

Tu wstał z miejsca ładny blondynek, delikatny i różowy, jak panienka, i przemówił:

— Proszę o głos.

Zamilkli wszyscy i siedzieli w oczekiwaniu.

On zaczął mówić:

— To wszystko jest bardzo pięknie i głosuję także za przyjęciem ustawy takiej, jak jest napisana. Ale dodałbym... dodałbym jeden paragraf. Oto — kto chce walczyć o lepszą przyszłość, ten musi sam być doskonałym, a przynajmniej dążyć do doskonałości. A więc proponuję, aby stowarzyszeni zobowiązywali się nie pić, nie palić, i... i unikać... tu spojrzał z ukosa na dziewczyny i z determinacją zakończył: i unikać rozpusty.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał.

Wreszcie Żeleszczyński przesunął ręką po czole i rzekł:

— Fiolek ma rację. Kto chce walczyć o lepszą przyszłość, ten powinien sam być doskonałym. Od dziś przestaje palić.

Wyjął z kieszeni palta kopertę z paru papierosami i rzucił daleko.

— I ja! — zawołał Skwirewicz.

— I ja! — I ja! — dodali jeszcze dwaj inni.

— Ja dotychczas nie paliłem — rzekł Julek — ale obiecuję, że nie zacznę nigdy. I nigdy pić nie będę.

— A ja — szepnął Fiolek, czerwieniąc się po uszy — lubiłem grać w karty, ale przyrzekam, że więcej nie będę.

Bronka i Grażyna spojrzały po sobie zażenowane. One nie miały z czego złożyć ofiary na ołtarzu wielkiej sprawy.

— I będziemy dążyli do doskonałości z całych sił — ozwał się znowu jeden głos.

— A nie zhańbimy się nigdy brudną miłością.

— A wszystkie myśli nasze niech idą na służbę Ideału.

— Czyści i silni, poruszymy z posad bryłę świata...

— I ramię nasze będzie jako piorun...

— Tak! Tak!

Znowu zapadło milczenie. Młode serca były mocno pod mundurami szkolnymi.

Przerwała je Bronka uwagą, że powinna być założona kasa, bo każda partja musi mieć swój skarb i swojego skarbnika. Ale tu — chociaż nikt w zasadzie nie miał nic przeciw temu, okazała się trudność duża, gdyż żaden ze stowarzyszonych nie posiadał ani grosza, prócz Grażyny, która niedawno dostała pięć rubli od wujaszka na urodziny. Te zatem obiecała dać. I kasa została uchwaloną.

Wtedy jeden z chłopców powiedział, że partja powinna mieć także swoją biblioteczkę, i ta myśl została przyjęta z zachwytem. Okazało się, że każdy prawie ma choć parę książek do ofiarowania. Na dziewczyny włożono obowiązek uporządkowania tej sprawy.

Potem nastąpił wybór zarządu. A potem Grażyna, cała zarumieniona, odczytała swój wiersz, napisany umyślnie na tę okoliczność, który wszystkim bardzo się podobał. Wreszcie Żeleszczyński przemówił jeszcze, zachęcając do wierności obranym hasłom, do pracy i do wytrwania — pomimo wszystko.

Podano sobie dłonie w milczeniu.

Poczem, w ciszy i w zamyśleniu zaczęli schodzić z góry ku niecierpliwiejszej już i niespokojnej miss.

Partja Postępu i Pracy była założona.

XIII.

Życie Ewelinki stawało się coraz cięższe. Ani w dzieciach, ani w mężu nie miała tego, czego pragnęła. Wszakże poświęciła im się całkowicie, oddała im młodość swą, myśli, i czas, i noc, i dzień. Zamknęła się w domu, o bożym świecie nie wiedząc, nie myśląc nigdy o żadnej rozrywce lub przyjemności dla siebie, a tylko o zdrowiu, o szczęściu, o dobrobycie dzieci i męża. Przez kilkanaście lat nie zmarnowała ani grosza na niepotrzebne stroje, na zbytki, na jakieś bale czy podróże. Przeciwnie, broniła się sama najsilniej przeciw temu i męża o ile mogła odводziła od każdego niepotrzebnego wydatku, starała się go w domu zatrzymać. Rachowała każdą ćwiartkę masła i każdy kawałek cukru — doglądała, pilnowała, harowała czasem, jak biedna wyrobnica — ze służbą toczyła ciągłą, nigdy nie ustającą walkę — słowem, była — śmiało to powiedzieć mogła o sobie — bo nawet kierownik jej duchowy, ks. Ludwik, to przyznawał — wzorem matki i żony, prawdziwie chrześcijańską niewiastą.

A jednak...

Jednak rodzina jej — czuła to — nie była tą ideal-

ną, złączoną w sobie i ściśle spojeną całością, jaką rodzina wzorowa być powinna. Jakże inną być musiała Święta Rodzina z Nazaretu, ten wzór, dany ku naśladowaniu chrześcijańskim małżonkom!

Nie. Tu każdy szedł swoją własną drogą. Stefan... mój Boże, nic mu zarzucić nie mogła! Był delikatny, uprzejmy, dbały — pieniędzy na nią i dzieci nie żałował — prawie wszystkie zarobki i dochody składał w jej ręce — nie oponował nigdy jej żądaniom czy projektom — w domu do niczego się nie wtrącał. — Czego jeszcze chcieć mogła? Nawet pod względem małżeńskiej czułości nic mu nie miała do zarzucenia. — No, ma się rozumieć, że pierwsze zapaly minęły — ale nie tak znowu zupełnie. Żyli z sobą, może bez nadzwyczajnych uniesień, bez entuzjazmu — ale tak, jak dobrzy małżonkowie żyć powinni — zgodnie, czule, po bożemu.

Więc czegoż więcej mogła od niego żądać? Dlaczego zaczynała ją to gniewać, że on nie miał jej nigdy nic do powiedzenia? Przecież nigdy nie była ciekawą tych jego »idej« — i nic a nic nie rozumiała owych stylów i nowych kierunków i harmonji linii, i t. p. rzeczy, o których czasem z kolegą lub Iną rozmawiał. Nie była przecież architektem. A na politykę, poezję, literaturę i inne kwestje ogólne, które go obchodziły, wprost czasu nie miała. Mógł się bowiem wczytywać w gazety czy książki przy śniadaniu ten, któremu podana była kawa zabieleną, ocukrzoną, z nasmarowaną bułeczką i nakrojoną szynką — ale nie ta, która miała na głowie tej kawy zgotowanie, nałanie, przyrządzenie i podanie. I to nie tej jednej filiżanki dla męża, lecz i śniadanie dla dzieci, i tychże samych dzieci, rąk, zębów, uszu, kalo-

szów, paltocików, podręczników i zeszytów dopatrzenie — i całego mieszkania uprzątnięcie i czystość, i tych niezliczonych, nieskończonych nigdy drobiazgów załatwienie — i cały rząd tego domu, i tej kasy, i tej kuchni, i tej gromady całej. Tak! mógł się zajmować polityką, czy tam sprawami ogólnymi ten, który gdy czytał lub pracował, to wszyscy usuwali się i milkli. Ale nie ta, której nie dawano ani chwili spokoju, i która o każdym drobiazgu myśleć musiała. A zresztą, cóż jej do polityki! Losy Europy nie ulegną zmianie przez to, że ona o nich wiedzieć będzie. Dadzą sobie tam radę i bez niej. Nie polityką, lecz domem i rodziną powinna się zajmować kobieta zamężna, matka dzieciom. Te wszystkie społeczeństwa, patriotyzmy, ideje i emancypacje — to dobre dla takiej Iny lub Miszewskiej, które myślą, że świat zreformują — ale nie dla niej — obarczonej obowiązkami.

Dziwnie, że tego nikt nie chce zrozumieć. I Stefan, i Ina, i nawet dzieci tak się czasem do niej odnoszą, jakby ona niezupełnie należała do ich świata — jakby stała na innym poziomie. Jeszcze Julek z natury grzeczniejszy. Ale Bronka — to wprost impertynencko nieraz się odzywa: — Ależ mama o tem nie ma pojęcia! Z mamą niewarto o tem mówić! Co tam mama rozumie!

Wogóle z dziećmi — a z Bronką szczególnie — jest coraz więcej trudności. W jej charakterze dokonywują się zmiany jakieś — coś tam wewnątrz burzy się, kipi, coś się wytwarza i rozwija. — Ale co? Bóg święty raczy wiedzieć. — Bo sama nigdy o tem nie mówi, a zapytana nie odpowiada, tylko robi minę taką arogancką,

że aż irytacja bierze. A zrozumiała i pewna siebie do niemożliwości! Na wszystko ma własne zdanie — krytykuje na prawo i na lewo — z pogardą wzdyga się na wszystko, co »zacofane« i »wsteczne« — starszych lekceważy — a co najgorsze, że nawet na punkcie religji, księży, katechizmu — zaczyna rezonować! I co z tego będzie! Co z tego będzie, mój Boże!

Julek łatwiejszy. — Ale jeszcze bardziej skryty — jeszcze bardziej nieznajomy — i z każdym dniem więcej obcy — obcy...

A Munia mała... O! Munia byłaby pociechą jedyną, promykiem jasnym — gdyby nie to jej tak bardzo wzięło zdrowie. Małeństwo kochane! Ileż to już chorób przeżyła! Pomimo wszelkich starań, rozwija się ona powoli, słabo, i zawsze podobna jest do nieziemskiego aniołka, którego miejsce nie na tym smutnym padole płaczu. A takie to potulne, dobre, ciche! takie pieszczotliwe i czule! O! tego dziecka wydrzeć sobie nie da! nie da obalamucić obcemi wpływami. Ten kwiatek delikatny hodować będzie sama — i nikomu, nikomu przystępu do niej nie da. Dość już ma biedy ze starszemi!

Tak nieraz rozmyślała sobie Ewelinka, gdy po całodziennym ruchu, hałasie i niepowstrzymanej niczem wesołości, robiło się w domu cicho i dzieci zasnęły — a ona, odprawivszy kucharkę, załatwiwszy rachunki i dyspozycje — sama także układała się do snu. Stefana zwykle nie było jeszcze, albo też pracował w swoim gabinecie. I robiła się w sypialnym pokoju, pod świętymi obrazami, wiszącymi na ścianie, chwila ciszy.

W tej ciszy żywiej występowały niepokoje, trwogi,

Matka.

przewidywania i irytacje — ostrzej rysowały się kontrasty, i zimnem tchnieniem owiewała duszę samotność.

Niedarmo trwożyła się matka. Jak kokosz, która wysiedziała kaczęta — i te odpłynęły daleko. A ona, na brzegu drepzcząc, ani wie, ani rozumie, co się z niemi dzieje — i tylko się trwoży i biada.

Odpłynęły te dziecinne dusze z objąć macierzyńskich i rzucały się same na wielką, nieznaną wodę, na ocean życia burzliwy. Zrzucały z siebie skrzydła opiekuńcze — i własnych próbowały — i leciały, same nie wiedząc, dokąd — byle naprzód — byle wzwyż!...

Otwierały się te dziecinne dusze szeroko do promieni słońca, co na ich widnokręgu wschodziło — garnęły w siebie promienie te i jasność — chciały się pławić i cieszyć w ich dobroczynnem cieple — i rosnać w niem coraz wyżej — wyżej... Żadne piękna i dobra i sprawiedliwości, chłoneły w siebie wszystko, co im się dobrem i pięknem być zdało — a sprawiedliwości ślubowały kult. Spragnione ideału, wyciągały ramiona ku wszystkiemu, co się mieniło ideałem — i przed niem padały na twarz. W utęsknieniu ogromnem, w męce niepewności i poczynania, w szumie tych wiosennych wód, co się z ich głębi rwały, zrzuciwszy tamy lodowe — w gwałtownym rozpędzie całej istoty, co jak motyl darła swą niemowlęcą powłokę — wylatywały one — ku słońcu!

Lecz matka słońca tego nie widziała i nie słyszała szumu wiosennych wód — i odwracała oczy od widoku burzliwego oceanu.

Więc one — na młodych skrzydłach swoich — leciały... same...

Matka wpatrywała się w domowe ognisko, płonące pod kuchenną płytą. One, jak orły, chciały słońce oko w oko oglądać.

Matka zamykała drzwi i okna przed powiewem z zewnątrz. One chciały bujać w przestrzeni, na falach się kołysać i z wichrami walczyć.

Więc leciały... same...

Zrzuciły pęta, odrzuciły wszystko, co stare, kopnęły wszystko, co nakazane i uświęcone jakakolwiek powagą. — I poleciały...

Przez długi czas wszakże było napozór cicho. Książki kursowały pokryjomu, na zebraniach, szczęśliwie odbywających się pod patronatem nieświadomej ni czego pani Żukowej, wygłaszały się płomienne mowy, zbierały się już w partyjnej kasie poważniejsze sumy, zdobyte rozmaitemi fortelami i przemysłem — akcja zyskiwała coraz to nowych zwolenników. Ale, oprócz zdań dość śmiałych i krytyk ostrych, które wybuchały czasem, jak bomby, przy rodzinnym stole, pozory nie były naruszone. I spokój panował w domu.

Dzieci uczyły się dobrze. Julek corocznie przechodził z klasy do klasy. »Awantur« już żadnych nie robił.

A co tam one czuły lub myślały? Tem się ani ojciec ani matka nie zajmowali.

Może jedna Ina. Od początku dostrzegła, że się pod temi cichymi pozorami kryją przez nikogo nie badane głębie, i że w tych dziecinnych duszach przewalają się nieraz burze i zrywają wichry. Zrozumiała, że może nieraz te serca młode otworzyłyby się i wylały nadmiar

swych uczuć w jakieś starsze, doświadczeńsze serce — gdyby mu dowierzyć mogły.

Lecz takiego właśnie serca im brakło.

Chętnieby im swoje oddała. Ale wprost do Julka i Bronki zwrócić się nie mogła bez wzbudzenia podejrzeń matki. Spróbowała sprawę obejść i zjednać sobie zaufanie Grażyny. I to się jej udało. Dziewczyna przyłgnęła odrazu do niej, obdarzyła ją nie tylko zaufaniem, lecz zapłonęła wprost adoracją. Ina stała się dla niej wyrocznią, ideałem, najwyższą instancją, pod której sąd poddawała wszelkie swe wątpliwości i budzące się poglądy. Przez Grażynę, powoli, nie narzucając się sama, trafiła Ina i do jej towarzyszy. Po pewnem wahaniu zgodzili się przyjąć »ciotkę« na zebranie swoje raz i drugi — zrazu pod pozorem jakiejś pogadanki z literatury, potem pod firmą doradcy w samokształceniu — wreszcie już bez firmy żadnej. Zrazu trochę nieufnie patrzyli — chłopcy zwłaszcza — na tę starszą i przepowiadali, że będzie z nią chryja, a żadnej korzyści. Ale prędko się pozbyli tej obawy. Ina zaproponowała im szereg wspólnych czytań. — Zgodzili się na to z zapalem. Pani Żukowa ofiarowała swoje mieszkanie. Grażyna wyprosiła dla Bronki pozwolenie matki. — I rozpoczęły się miłe, poważne, podniosłe w nastroju i pełne szlachetnych nieraz wrażeń »Sobótki«. Niezbyt liczne grono młodzieży gimnazjalnej, dwie dziewczyny — podlotki — i Ina. Oto było wszystko. Ani Ewelinka, ani tem bardziej pani Żukowa nie miały ochoty asystować tym zebraniom. Dla konwenansu wystarczała opieka ciotki. — Matki mogły być spokojne i oddać się — jedna domowym sprawom

i pielegnowaniu Muni, druga własnym przyjemnościom i rozrywkom.

A młodzi, zasłuchani, zapatrzeni w świetlane wizje, które Ina wywoływała przed ich oczy, kąpali dusze swe i krzepili serca w wielkim, wspaniałym, ofiarnym Ideale.

Ciotka powoli stawała się im potrzebną. Czuli, iż lepiej, niż oni sami, umiała się obracać w tym świecie myśli, na próg którego dopiero wstępowali. Ich zaś własnych myśli nie próbowała nigdy krępować. Na wszelkie ich słowa była pobłażliwą, i choć niektórzy umyślnie, dla próby, wysilali się na karkołomne paradoksy — nie zdołali w niej wzbudzić oburzenia ani wywołać nauk moralnych. Największe absurdy znosiła spokojnie i nigdy ich nie traktowała zgóry. Powoli najwięksi opozycjoniści musieli uznać, że z ciotką można mówić o wszystkim. I nie żałowali sobie. A propos Mickiewicza lub Wyspiańskiego wynikały ni stąd ni zowąd dyskusje, przemowy ogniste i frenetyczne spory — poruszała się z posad bryła świata — w proch ścierało się zjadaczy chleba i miażdżyło się wsteczników — i leciało się nad poziomy.

Ściany małego saloniku Grażyny pękały pod naporem duchów młodych, które szły na zawojowanie świata całego.

Poza tem nieraz się zdarzało, że i do pokoju Iny zajrzała jakaś mundurowa czapeczka. Niby po książkę, niby po informację przybiegał młodziak i, zatrzymany paru dobrymi słowami, przysiadł na kanapie — i mówił — zwierzał się — spowiadał. — I odchodził z jaśniejszem czołem.

I ciotka stawała się coraz potrzebniejszą.

Czuła ona jednak jakiś niepokój. Czuła w Ewelince gromadzące się podejrzenie, iż ona to właśnie jest owym złym duchem, owym obcym, który wionął na ich »chrześcijański« dom tchnieniem nowości, postępu i emancypacji — że na nią ona zrzuca wielką część swych irytacji i ją czyni za nie odpowiedzialną. A może — jeszcze — i trochę jej zazdrości...

Bo, chociaż było pewnem, iż Ewelinka ani się domyślała codziennych odwiedzin Stefana i nie wiedziała wcale o tej przyjaźni, która ich dwoje od tylu lat łączyła — chociaż, zaabsorbowana swemi kłopotami domowemi, nie zdradzała dotychczas obaw o małżeńską wierność męża, nie mogła jednak nie widzieć tego, że Stefan z nią, z Iną, przypadają do siebie. Jakkolwiek nie narzucała się ona w domu Glińskich, jakkolwiek starała się, tam będąc, przestawać głównie z Ewelinką i z nią tylko rozmawiać — widząc ich razem, mógł każdy odrazu się domysleć, że tych dwoje łączyło mnóstwo wspólnych myśli, interesów i spraw różnych — co więcej, że łączyło ich przywiązanie wzajemne. Tego i Ewelinka nie mogła nie odczuwać.

I Ina drżała na myśl, że umysł jej pospolity i płytki tylko pospolite, ujemne znaczenie będzie mógł temu nadać i zdobyć się potrafi jedynie na brudne posądzenie. Prawdy zaś ani zdolny będzie nawet przypuścić. I wobec tej grożącej możliwości pytała się nieraz sama siebie, czyby nie lepiej było opuścić to miasto — odejść gdzieś daleko — i zniknąć im z oczu.

Nawet raz wspomniała o tem Stefanowi. Lecz jego przerażenie — jego okrzyk: »A cóż ze mną będzie? Bez ciebie, wiesz, że pójdę na złe drogi. — Ty mnie na-

prawdę podtrzymujesz we wszystkim, co dobre. — A ja taki już jestem, że potrzebuję podtrzymania«. Jego oczy, które ogarnęły ją takim ciepłem, wiernem, kochającym spojrzeniem — i przytem własne uczucia, co głośno w sercu wołać zaczęły. — To wszystko razem zamknęło jej usta. Nie mówili już o tem ze sobą. Ale złe przecucie, jak gradowa chmura, wisiało nad nimi.

Aż chmura pękła — i gradem sypnęła.

Było to w piękny dzień wiosenny. Budziła się natura po zimowym śnie, słońce mocniej grzało, ziemia dyszała lubością w jego promieniach. Wszystko tu w przyrodzie miało wygląd radosny. Tylko z pola dalekiej wojny szły straszne wieści i, jak obłok siny, rozpościerały się nad umysłami. Życie szło tu jeszcze zwykłym trybem, lecz oczy zwracały się coraz uporczywiej ku dalekiemu Wschodowi, i serca czekały.

Stefan miał nowe zamówienia, pilnować musiał rozpoczętych robót i wyjeżdżał często w dalsze okolice. W domu był gościem jedynie. Ewelinka widywała go tylko podczas obiadu, lub późnym wieczorem, gdy do domu powracał. Był zapracowany.

Inie również przybyło z wiosną zajęcia — i na pensji Miszewskiej, i prywatnych lekcyj, i społecznych zajęć. Pod wieczór wracała do domu zmęczona i z przyjemnością, jako miłego odpoczynku, wyglądała chwili, gdy się drzwi otworzą i wsunie się przez nie kochana głowa, z codziennem zapytaniem: »Czy można?« I wejdzie on, przyjaciel najlepszy, i podadzą sobie ręce z uśmiechem. I może nawet nie powiedzą sobie nic — tylko usiądą obok siebie — czuć będą, jak ich serca wspólnie biją — jak ich myśli wspólnie lecą — i przez

chwilę będzie im dobrze. I on odejdzie wypoczęty, po-
krzepiony, silniejszy. A ona zabierze się do dalszej pracy
z cichem w duszy zadowoleniem.

Codziennie chwili tej wyglądała. — A gdy zda-
wało się, że Stefan nie przyjdzie, tęskniła do niego.

Właśnie tego pięknego dnia wiosennego Stefan
wrócił po całym tygodniu nieobecności. Jeździł na wieś
do księcia Lulusia, któremu pałac budował, a i do Za-
brodzia zaglądał. Wrócił do domu, zjadł pośpiesznie
obiad, zdał pokrótce relację ze swej wycieczki żonie, na
zapytanie dzieci o Zabrodzie odpowiedział ogólnikowo—
i zaraz wyszedł. Obejrzał tu i owdzie roboty swoje,
w biurze pozalałwiał rozmaite interesy, wpadł do ka-
wiarni na gazety — i o zwykłej porze przedwieczornej
same go nogi poniosły ku mieszkaniu Iny.

Przyjęła go okrzykiem radości: — Ach, ty! na-
koniec! Dobrze, żeś wrócił! Mam ci tak wiele, tak wiele
do powiedzenia!

Odbierała mu łaskę i kapelusz — wieszała jego
palto na haku — sadowiła go na zwykłym miejscu —
nalewała mu herbatę. I natychmiast owiewała go atmo-
sfera prawdziwego »domu« — czuł, że tu jest bardziej
»u siebie«, niż w tej swojej legalnej rodzinie, i że ta ko-
bieta, która oto patrzyła na niego dobrmi oczyma i kła-
dła mu rękę na ramieniu, lecz z którą nigdy nie połą-
czył go nawet pocałunek, jest mu bardziej od tamtej
»żoną«.

Nazbierało się rzeczywiście wiele, wiele rzeczy do
powiedzenia. I na szerokim świecie, i tu na bliższym, wy-
padki następowały jedne po drugich z szybkością. Więc

Ina, pochylona nad Stefanem, opowiadała. A on słu-
chał — i swoje zdanie wtrącał — i pytał.

I tak byli rozmową zajęci, tak wzajemnie sobą
zaabsorbowani, że nie słyszeli lekkiego pukania do drzwi,
i nie obejrzel się nawet, gdy te drzwi się otworzyły i sta-
nęła w nich — Ewelinka.

Stała przez chwilę, patrząc na ich pochylone ku
sobie głowy. I nagle, z ust jej zółcią i goryczą wzbierają-
cych, wystrzelił okrzyk: — To ty tu!

Jak biczem smagnięci, odskoczyli od siebie. Prze-
rażonemi oczyma ujrzeli nad sobą wzburzoną twarz
i pałający wzrok prawowitej małżonki. I znowu usłyszeli
krzyk:

— To ty tu! — I dalszy runął na nich potok. —
Tak? To ty nie masz nigdy ani chwili czasu dla żony,
dla dzieci! Ale na flirty i romanse z takimi ot! — to
masz czas! masz! W domu, to niczego dopytać się
u ciebie nie można — milczysz, jak zaklęty. — A tu
rozwiązuje ci się język — w miłym towarzystwie! O, nie
dziwnego! Znudzila się już żona i dzieci własne — za-
chciało się zmiany — wrażeń — miłostek! Tak, tak! Wy,
mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. — Żadnemu —
żadnemu wierzyć nie można. O, teraz już wiem. — I ty
taki sam, jak oni wszyscy. A ja, głupia, myślałam, że
gdy ma się żonę młodą, zdrową, ładną jeszcze — to po-
winno wystarczyć. Teraz wiem... wiem... Tylko mnie to
dziwi, że wybrałaś sobie... cha, cha, cha... taką... taką
Inę... I że Ina... ma ochotę — ma sumienie... Że jej nie
wstyd — odbierać żonie męża! I to kuzynce — krewnej...
Fe! Fe! Że się też nie lękasz kary bożej! Że... że...

Reszta utonęła w gwałtownych szlochach, które ją

porwały. Zasłoniła sobie twarz rękami i głośno, rozpaczliwie zapłakała.

— Ewelinko! Na miły Bóg, uspokój się! Przyjdź do przytomności!

Stefan chciał wziąć jej rękę. Odsunęła się.

— Co za brednie wygadujesz! Nie masz żadnych do tego powodów. Że mnie zastałaś u Iny — to cóż stąd? Jak można wyprowadzać stąd takie wnioski — niesprawiedliwe — obrażające! Wiesz przecie, że mamy wiele spraw wspólnych — różne społeczne prace...

— A właśnie — społeczeństwo! — Zerwała się znowu i głośniejsze jeszcze zagadała — Społeczeństwo! Tak — to doskonały parawanik — bardzo wygodny — bardzo wygodny! Za nim dużo można sobie pozwolić... z takimi to postępami pannami, co się ani Boga, ani ludzi nie boją. O, ja wiem! Społeczeństwo! poznałam się na tem waszem społeczeństwie — i nie zamydlisz mi niemi oczu. Cha, cha — oto do czego doprowadzają te wszystkie wasze piękne idee! Wiem, wiem — nie oszukacie mnie... I to wiem, że te piękne idee... mnie... mnie... męża wydarły...

Znowu się rozplakała.

Lecz Stefana porwał już gniew. — Ewelinko — rzekł głosem, w którym drgała wściekłość — nie gadaj byle czego. Sama wiesz, że to wszystko kłamstwo. Ja nie potrzebuję szukać żadnych parawaników, bo jestem dla ciebie dotychczas aż nadto wiernym mężem. A jeśli dla umysłu — dla duszy — zmuszony bywam poszukać pokarmu gdzie indziej, niż w domu — to, przyznaj, sama jesteś temu winna.

— Ja!

— Ty! ty! Bo ty nigdy nie chciałaś uznać, że człowiek może mieć aspiracje poza własną wygodą i kieszenią, poza dobrobytem rodziny. A to trudno! Ja nie mogę zadowolić się domowymi sprawami. — Ja potrzebuję innej atmosfery. — Nie znalazłem w tobie podziału dla myśli — przeciwnie, zawsze tylko niechęć, nieufność, gdy idzie o rzecz ogólną. Cóż dziwnego, że poszukałem porozumienia z takimi, co myślą szerzej i wznioślej od ciebie!

— O tak! Żona jest głupia — z żoną niewarto mówić — ona nic nie rozumie — ona jest gęś — ona kura domowa! — O wiele przyjemniej szukać »porozumienia« z takimi ot! emancypantkami — z takimi socjalistkami! co to nawet w Boga nie wierzą... co nie wstydzą się...

— Ewelinko! Przestań! — przerwał on zniecierpliwiony ostatecznie. I ciężka jego pięść spadła z brzękiem na stół. Zadzwonily szklanki i łyżeczki.

Ewelinka, stropiona, płakać zaczęła głośniejsze.

On sam — zawstydzony — umilkł.

I była chwila ciszy.

A wśród niej podniósł się głos Iny. Trochę był stłumiony, jakby się wydobywał z bardzo zaciśniętej piersi, ale spokojny. Mówiła: — Ja, Ewelinko, nie będę się tłumaczyła przed tobą — bo nic złego nie zrobiłam i żadnej winy nie mam na sobie. Mąż twój obdarzył mnie zaufaniem i przyjaźnią — przyjąłem to zaufanie i tę przyjaźń — nic więcej. O żadnej miłości czy miłostkach między nami i mowy nie było — i być nie mogło — chociażby dlatego, że on ciebie kocha najszczerzej — a ja drugi raz w życiu jużbym kochać nie umiała. Ale ty

tego nie zrozumiesz nigdy. A gryźć się będziesz i cierpieć i czuć się pokrzywdzoną. Ja zaś nie chcę krzywdzić nikogo na świecie — i nie chcę też narażać się na takie podejrzenia, jak twoje. Więc bądź spokojna. Stefana więcej nigdy już nie zobaczę. Proszę go — tu, wobec ciebie — aby sobie poszedł i więcej nie wracał. Ja za parę tygodni kończę zajęcia swoje u Miszewskiej. Wyjadę — i też więcej tu nie wrócę. Czy będziesz spokojna? Czy będziesz zadowolona?

Ewelinka milczała. Nie była przygotowana na takie zwycięstwo.

Lecz Stefan rzucił się do rąk Iny. — Ino! co robisz! co robisz! Dla przywidzeń najniesłuszniejszych, niczem nie usprawiedliwionych — dla prostej fantazji!... Wiesz przecie sama, że między nami... ach, Boże! nigdy... nic... nic... I dlatego — wszystko porzucać... wyjeżdżać stąd... Zastanów się!

— Muszę, Stefanie. Po tem, co dziś zaszło, nie mogłabym tu żyć.

Na ustach jej rysował się taki niesmak, takie obrzydzenie — iż zrozumiał, że na nicby się nie zdały jego słowa czy prośby.

Zamilkł. I patrzyli sobie w oczy przez chwilę — i za ręce mocno się ściskali. Aż Ina odwróciła głowę i rzekła cicho: — Idź!

On bez słowa ręce jej opuścił, wziął palto i kapełusz, i nie oglądając się, jakby nie widząc nic dokoła, wyszedł.

Drzwi za nim się zamknęły. Dwie kobiety zostały same.

Zapadło między niemi długie milczenie.

Ina, odwrócona do okna, stała nieruchoma. A oczy jej, wzniesione do wiosennego nieba, nabrzmiewały wielkimi, srebrzystymi łzami. Powoli — powoli zbierały się te łzy ciężkie pod powiekami — aż nagle spadły na czarną bluzkę i na splecione boleśnie dłonie.

Stało się. Umarło jeszcze jedno uczucie — zerwała się jeszcze jedna nić — otworzył się przed nią jeszcze jeden grób. A żyć samej trzeba było jeszcze — i walczyć do ostatka.

Samej...

Ocknęła się. Myśl jej wróciła do chwili obecnej. Przypomniała sobie, że za nią w głębi pokoju stoi Ewelinka. I nagle porwał ją wstyd i żal. Ach! za cóż musi ona cierpieć i być obrzuconą błotem — ona, co nigdy nic złego nikomu nie zrobiła! A tu — i Stefanowi — i dzieciom — i temu gronu młodzieży, co się do niej garnęła, starała się robić dobrze. Za co!

Odwróciła się i spojrzała w oczy prawowitej małżonki. — Zadowolona jesteś? — spytała. — Więc idź! Idź już sobie i ty. — Zostaw mnie!

— Cóż to! Wypędzasz mnie od siebie! Drzwi mi pokazujesz!

— O, nazwij to sobie, jak chcesz. Ale idź sobie, proszę. Ja mam tego dosyć.

Ewelinka oburzyła się. Jakto! Nie ona, obrażona małżonka, wypędza z domu swego uwodzicielkę — lecz sama musi przed nią uchodzić!

— Mogłabyś przynajmniej przeprosić mnie... — zaczęła.

Ina uśmiechnęła się smutnie. — Nie. Ja cię przepraszać nie będę, bo nie mam żadnej winy na sobie. I kto

wie, czy — gdy odejdę — nie będzie ci gorzej! Ale — posłuchaj! Dam ci szczerą radę. — Postaraj się być dla Stefana inną — postaraj się być nie tylko żoną i matką, ale człowiekiem. Daj mu pokój z domowymi sprawami, nie mów mu wечно i jedynie o kucharce, o drożyznie i o zdrowiu Muni. — Zanudzasz go tem. Jego co innego interesuje. Choć przez miłość dla niego, zainteresuj się czem innym i ty. On mężczyzna — młody jeszcze — zdolny, ambitny — on nie może ograniczać się do czterech ścian rodzinnego domu. — On pragnie szerszego życia. — Teraz zwłaszcza — mój Boże! — gdy wszystko burzy się wkoło nas... Ach! jakże ty chcesz, aby on wobec tego zamykał oczy! — Odetchnęła głęboko. — Ogarnęło ją nagle zniechęcenie. — Poco to mówić, poco przekonywać, kiedy zrozumiana nawet nie będzie. Kończyła jednak myśl swą: — A gdy on współdziałał w domu nie znajdzie — to musi... musi szukać tego gdzie indziej. To darmo! Bo żona powinna żyć z mężem — nie tylko ciałem i chlebem — lecz umysłem i duszą. Inaczej...

Lecz Ewelinka jej przerwała. Wyprostowana i patrząca na nią zgóry, wyrzekła: — Pozwolisz, moja droga, że i ja coś wiem o tem, jaką powinna być żona. Od kilkunastu lat, jak ze sobą żyjemy — śmiało, z ręką na sercu, powiedzieć to mogę — nie mam względem Stefana ani względem dzieci żadnego grzechu na sumieniu. Każdy, kto na życie moje patrzy, uznać musi, że dziś mało jest kobiet, któreby tak zupełnie poświęciły się rodzinie — jak ja. Przecież nie stara jeszcze jestem i nie brzydka — inne w moim wieku stroją się, bawią się, używają świata. — A ja? Dom, dzieci, mąż — oto wszystko dla mnie. Zarzucacie mi, że myślę o pieniądzech? Jakże

to nie myśleć! Obrachujcie tylko, ile potrzeba na utrzymanie takiej rodziny. — A i Zabrodzie, gdyśmy się pobrali, to była ruina. Zobacz dziś, jak wygląda. To także kosztuje. Tak, ja myślę o pieniądzech, myślę o realnych rzeczach — bo Stefan za mało o nich myśli. Wszystkoby rozdał, wszystkoby dał sobie odebrać, gdyby nie ja. Ja muszę czuwać — bo ja mam dzieci i nie chcę, aby były biedakami. Dbać o ich los — to najświętszy obowiązek matki. To ważniejsze, niż te wasze społeczeństwa i idee. — O, ty mnie nie ucz, jaką mam być żoną i matką. Ja swoje obowiązki znam — i... spełniam. Daj Boże, aby każda swoje tak spełniała!

Gdy nareszcie Ina została sama, upadła ciężko na fotel i przyknęła oczy. Zmęczyła ją ta scena. Czuła się moralnie zbита, zbrudzona, oplwana. A i w sercu tkwił ból — nieznośny ból osamotnienia.

Otworzyła zmęczone oczy. Promień zachodzącego słońca przedzierał się przez firanki i padał na dwie stojące na stole niedopite filiżanki. Srebrzyły się w promieniu tym łyżeczki. — Ciemnem złotem barwiły się resztki herbaty.

Żal zatargał jej sercem. Nigdy już więcej nie zasiądzie z przyjaciелеm do cichej gawędy o przedwieczornej godzinie. Odejdzie stąd daleko — aby nie rzucać trwogi — o, jakże nieusprawiedliwionej! — w serce małżonki. Porzuci jego. — Porzuci i te dzieci, do których się przywiązała. I pójdzie znowu w świat.

A im? Czy będzie z tem lepiej?

O! nie, nie!

Ale ją — prawowitą żonę i matkę, uszanować trzeba — przed nią uchylić czoła — i ustąpić.

Sercem znowu zatargał ból. Ciężkie łzy znowu napływać do oczu zaczęły.

Ina podniosła oczy ku portretowi, wiszącemu nad biurkiem. Była to piękna, szlachetna głowa młodzieńca, o jasnej, lwiej grzywie i płomiennych oczach. — Janku, Janku! — wyszeptały drżące jej usta — ty jeden mój — ty jeden mój... Ale ciebie już nie ma!...

XIV.

Nazajutrz rano Ewelinka poszła do spowiedzi. Nie żeby się poczuwała do jakiego cięższego grzechu — owszem, uważała postępowanie swoje w sprawie z Iną za dobre i nienaganne. Lecz potrzebowała pociechy i po-krzepienia — a tych zwykła była szukać u księdza Ludwika. Spowiednikiem jej był on od lat kilku. Młody jeszcze, o ascetycznym wyglądzie, miał on u kobiet zamężnych ogromną wziętość, gdyż znał się doskonale na ich cierpieniach i umiał współczuć wszelkim ich rozczarowaniom, zawodom, zniechęceniom, tęsknotom i t. p. nieodzownym dodatkom małżeńskiego życia. Nie bagatelizował nigdy żadnej ich skargi, lecz owszem z każdej robił zaraz »krzyż«, i tym sposobem znoszenie krzyżów nietylko że stawało się dla jego penitentek lekkim, lecz także i zaszczytnem. Tak dalece, że gdy prawdziwych krzyżów nie stało, starały się one usilnie sobie je wytwarzać.

Obdarzony doskonałą pamięcią, ksiądz Ludwik znał na wylot całe życie »wewnętrzne«, a nieraz i zewnętrzne swoich penitentek. Wiedział o ich stosunkach towarzyskich, finansowych, rodzinnych, a już — ma się

rozumieć — małżeńskich ze wszelkimi szczegółami. One bowiem, chcąc dusze swe dać poznać do głębi temu, komu je powierzały, nie żałowały mu objaśnień i dokładnych, choć nieraz wstydliwie wygłaszanych informacji. Mógł on więc orjentować się w tych labiryntach, zapuszczać oko swe w tajnie najskrytsze, i — choć niewidzialnie i nieuchwytnie — być »tym trzecim« przy małżeńskim ognisku każdej z tych kobiet, które przychodziły klękać pokornie przed jego konfesjonalem.

Mógł naprawdę ich życiem, myślami i uczuciami kierować dowolnie. Bo trzymał je w rękę żelaznem, choć aksamitną rękawiczką powleczonem. Trzymał mocno, jak niewolnice posłuszne — ale także jak delikatne kwiatki, któremi wiatr złośliwy młota.

Ewelinka, tak, jak wiele innych, znajdowała pociechę ogromną w spowiadaniu się u księdza Ludwika. I dziś również nie zawiodła się. Samo wypowiedzenie się, wylanie z siebie przed uważnym, a tak dobrze rozwiązującym wszystko słuchaczem, wszystkich krzywd i bólów swoich — gdyż grzechów własnych było tam bardzo mało — ta możność opowiadania o sobie i interesowania sobą kogoś, co słuchać chciał i nie okazywał znudzenia, ani lekceważenia — to już było wiele, bardzo wiele. A potem, gdy on zaczął mówić — ach! jakież zdroje pociechy na nią się wylały!

Wróciła Ewelinka do domu pełna energii i siły, pełna też pocucia swej wielkiej godności żony i matki. Wszakże matroną chrześcijańską była.

O zajściu wczorajszem postanowiła mężowi ani słowem nie wspominać, ale owszem, być dla niego uprzejmą, zawsze dbałą o jego potrzeby i wygodę. Jednak —

trochę trzymać go zdaleka. Niech poczuje, że gdy się ma własną i to wzorową żonę, to innych szukać nie godzi się. Niech poczuje.

Było już pusto w domu, gdy Ewelinka wróciła. Stefan wyszedł do miasta, Julek do gimnazjum, Bronka na lekcje. Tylko mała Munia ze swą przychodzącą mademoiselle coś czytała w kącie salonu.

Miała więc dość czasu Ewelinka na uporządkowanie swych myśli, zmówienie modlitw »po spowiedzi«, zajrzenie do kuchni i doprowadzenie swej pośpiesznie z rana wykonanej toalety do porządku. A i w tem było mądre zalecenie księdza Ludwika.

Więc Ewelinka, posłuszna, z wyjątkowem staraniem zajęła się dziś ubraniem swoim. Z rozpuszczonemi włosami stanęła przed zwierciadłem i długo przypatrywała się sobie. Stanowczo, pomimo minionej trzydziestki, była jeszcze ładną i wcale ponętą — i w zupełności mogła męża zadowolić. Była czerstwa, zdrowa, biała, dobrze rozwinięta a nie rozlana — miała pyszne złote włosy, cerę jeszcze świeżą, jasne oczy i rumiane usta. Więc, jeśli szukał czegoś poza nią, to nie miał na to żadnej wymówki. Rozpusta była to jedynie, nic więcej. Żona powinna mu być wystarczyć.

— Może jednak — przyznała się sama przed sobą, po krótkim zbadaniu sumienia swego — może jednak ostatniemi czasy byłam dla niego za obojętną...

Postanowiła nadal być uprzejmiejszą i bardziej dbałą. I westchnąwszy pobożnie, dokończyła toaletę z mocną wiarą, iż, przy boskiej pomocy, wszystko będzie dobrze i że Stefan, wedle obietnicy księdza Ludwika, do niej powróci.

Czekała tej chwili.

Jakoż po pewnym czasie niezadowolenia i dąsów, jak je nazywała, z jego strony, a delikatnych zabiegów ze strony jej, »powrót« ten się dokonał.

Czy dusze się stopiły w uścisku?

Nie. One pozostały na boku.

Ona była wszakże zadowolona. Na tem, w jej rozumieniu, polegało życie małżeńskie. Na tem również fundowała się jej władza — na niczem innem. Z tej placówki nie powinna była ustąpić przed nikim.

Zapominała wszakże wśród triumfu swego — zresztą tak łatwo zdobytego — że ta placówka była dotychczas zawsze w jej niezaprzczonym posiadaniu. Przez blisko lat dwadzieścia ich małżeńskiego pożycia, Stefan był wciąż pod jej fizycznym urokiem. Podobała mu się niegdyś jako młoda dziewczyna, tchnąca wiosną — podobą mu się, jako kobieta, którą on sam zbudził — dziś miała jeszcze dla niego wdzięk swej rozkwitłej i całkiem dojrzałej piękności, a prócz tego niczem niezastąpiony dla niektórych usposobień urok przyzwyczajenia.

Bo Stefan nie był »kobieciarzem«. Był to zdrowy człowiek, nie szukający w miłości wogóle subtelności. Żył on jednak także i umysłem, sercem, zapalem, czynem i ambicją. I dla tych szukał podziału, może nawet czasem i pokierowania. I pragnął mieć przy sobie nietylko piękną kobietę, lecz także i przyjazną duszę kobiecą. Pragnął nietylko swe fizyczne popędy zadawać, lecz i uczucia i myśli dzielić. Że zaś losy nie dały mu znaleźć w żonie zarówno przyjaciela, jak kochanki — więc o tę przyjaźń, bez której żyć nie mógł, postarał się gdzie indziej. Z Iną zawiązał był odrazu stosunek pocziwy,

szczery, prosty, a dający im obojgu prawdziwą w życiu pociechę. Urwało się to nagle. Ina bowiem i słuchać nie chciała o przyjmowaniu nadal jego odwiedzin i trwała mocno przy projekcie zupełnego wyjazdu.

Stefan poczuł ogromny jej brak. Połowa jego istoty — i to najlepsza połowa — nie miała zadowolenia. Tęsknił. — Nudził się. Społeczna praca narazie straciła dla niego cenę. Był jak na rozdrożu.

Tymczasem nadeszły wakacje. Ina bez pożegnania, cicho, tajemniczo znikła. Ewelinka z dziećmi, kucharką, pokojową i niezliczonymi manatkami wyjechała na całe lato do Zabrodzia. Stefan został sam w pustem, zbyt wielkiem mieszkaniu, tchnącym naftaliną, owieszonym dziwacznych kształtów pokrowcami, zapelnionem białemi widmami zakapturzonych mebli.

Zrazu odetchnął swobodnie. Miał ciszę. A chociaż i roboty niemało czekało nań wszędzie, postanowił trochę w samotności odpocząć, popróżnować, poczytać, odświeżyć dawne wiadomości z dziedziny sztuk pięknych — słowem, pożyć choć przez kilka dni dla siebie jedynie.

I zrazu zdawało mu się, że jest mu dobrze i miło. Krótko to jednak trwało. Zaczął się poprostu nudzić. Książki, które mu dawniej sprawiały rozkosz, wypadały mu z rąk, a myśl jego zaczynała szukać kogoś, komuby wypowiedzieć mógł wrażenia swoje. Poszedł na zamiejską, długą przechadzkę — cudne widoki nie przemówiły do niego. A zato opanowały go wspomnienia takich przechadzek, odbytych lat zeszłych w towarzystwie Iny. I znów ogarnęła go tęsknota i nuda. Wrócił więc wcześniej, niż zamierzał, do swych zajęć, których w letnim sezonie miał dużo. Wyjeżdżał — doglądał — ry-

sował — obliczał — myśl swą przez dzień cały zajmował. Ale, gdy się wieczór zbliżał i urywała się praca, ogarniała go znów tęsknota — i nuda. Szedł do klubowego ogrodu. Szedł do teatrzyku, gdzie się uwijały na scenie szansonistki i baletnice. Starał się wzbudzić w sobie zainteresowanie do ich sprośnych dowcipów lub do ich wybielonych i uróżowanych twarzyczek — ale nie mógł. Nudziły go one. Nudzili go także spotykani znajomi, którzy przymusowy pobyt w mieście osładzali sobie kartami i szansonistkami.

On tęsknił do czegoś innego.

I było mu źle.

Aż jednego wieczoru, w klubowym ogrodzie, do którego zaszedł po pracy na kolację i gazety, usłyszał za sobą wołanie: Panie Gliński! Panie Gliński!

Przy samotnym stoliku, pod cieniem lipy, siedziała pani Żukowa. Wyglądała młodo i ładnie w białym, płóciennym kostjumie i olbrzymim kapeluszu z czerwonymi różami, które na jej matową cerę kładły gorące odbłaski.

Wyciągnęła do niego obie ręce, pokryte pierścionkami.

— Ach, panie! Ratunku — bo umrę z nudów! Niech pan tu siądzie — o, tu. — Jestem sama, znudzona, nieszczęśliwa — umierająca od upału — bliska pomieszczenia zmysłów. Żywej duszy niema. — Słońce piecze, jak na Saharze. — A ja muszę siedzieć w tem nieznośnem mieście!

Stefan usiadł przy niej. — Pocóż pani tu siedzi? Wszyscy już wyjechali.

— I ja wyjechałam. Już odwiozłam Grażynę z miss do babki — i miałam zaraz jechać do Marien-

badu, a potem do Biarritz. Paszport już mam. Aż tu raptem ten nieznośny Piwczyński telegrafuje, żebym przybywała natychmiast, bo brat mojego ś. p. męża, z którym od nie wiem ilu lat prowadzimy dział, namyślił się наконец wypłacić to, co z działu wypada na Grażynę. Więc trzeba to od niego przyjąć.

— No, to przyjemny interes.

— Pan myśli? A właśnie, że nie. Bo ten mój szwagierek — nieznośna figura! a żona jeszcze gorsza — naleśnik przekładany cnotą! — Otóż, wymyślił nie płacić gotówką — a chce mi wpakować jakieś domisko, gdzieś na Jatkowej ulicy! I Piwczyński powiada, że kto wie, czy nie wypadnie zgodzić się. Bo są tam jakieś takie przyczyny, że — ostatecznie — jeśli się uprze, to może nie zapłacić wcale. A wtedy — procesuj się na nowo! A — co ja będę o tem panu gadała! Sama już mam uszy przestukane temi interesami. Dziś od dwunastej do czwartej siedzieliśmy u Piwczyńskiego. Mam ich już potąd!

Przesunęła pod brodą ślicznym paluszkciem i zaśmiała się.

— A pan co tu robi? — spytała, zatapiając piwne swe oczy w oczach Stefana.

— Ja, proszę pani? Pracuję — i nudzę się. Nudzę się — i pracuję. Tak na przemiany.

— Pani już na wsi?

— O, tak! I żona i dzieci. Jestem sam. Wyjechać dla zajęć nie mogę. A że nie gram ani w karty, ani w bilard, ani w żadne inne rzeczy — a do szansonistek i baletniczek nie mam jakoś ciekawości, więc nudzę się okrutnie.

— I cóż pan robi?

— No, w dzień mam zajęcie. A wieczorem, jak pani widzi, przychodzę tu czy gdzie indziej — czytam gazety — i zabijam czas, jak mogę. Ale oto jutro niedziela — roboty niema — więc doprawdy, jak tutejsi ludzie mówią, »choć ty, siądlisz, płacz«.

— Prawda. I dla mnie jutro niedziela, bo Piwczyński zapowiedział, że jedzie do żony, na letnie mieszkanie — i nie będzie żadnego gadania. Więc wie pan co? Pójdziemy gdzie razem na obiad — a potem za miasto. — Dobrze?

Stefan zgodził się chętnie. Zaczęli mówić o czym innym. Okazało się, że panią Żukową ogromnie interesują sztuki piękne, architektura, style, nowe kierunki w budownictwie. Znała, i to dość nawet dokładnie, wszystkie prawie piękniejsze gmachy w Europie, większą część życia bowiem spędziła w podróży. Czytała w zakresie sztuki bardzo wiele. Posiadała zbiór kosztownych wydawnictw i rycin.

— Niech pan do mnie przyjdzie, to pokażę — zapraszała.

Była zapaloną czcicielką Renesansu i renesansowych ludzi.

— Ach! czemuż w tamtych czasach nie dano mi żyć! — wzdychała. — Byłabym może jakąś Izabelą d'Este — a chociażby Imperją...

— A czemu nie Wiktorją Colonną?

— O! to dla mnie za wzniosłe! Mój Boże! Ja — i wzniosłość! Nie, nie! — Zaśmiała się. — Ja, proszę pana, zawsze myślę, że źle robi ten, kto z życia nie wyciąga całej rozkoszy, jaka się tylko da. Czy my wiemy,

co nas potem czeka? Te nagrody niebieskie — to rzecz bardzo problematyczna. A »dziś« jest nasze. Mądry ten, kto tego »dzisiaj« używa w pełni.

Piwnie jej oczy błysnęły, gdy to mówiła. I na chwilę — na krótką, przelotną, lecz dostatecznie znaczącą chwilę — stopiły się i zwarły z oczami Stefana.

On się zmieszał — i pierwszy odwrócił wzrok.

Ale zrobiło mu się jakoś bardzo przyjemnie.

A pani Żukowa, po chwili milczenia, mówiła dalej: — I dlatego tak wielbię Renesans, że ludzie ówczesni umieli żyć — i dobrowolnie nie zatruli sobie życia różnemi wymysłami i zasadami — nie dbali o to, co uchodzi, a co nie uchodzi. Tak, jak my — dodała ciszej. I westchnęła.

Stefan poczuł się w obowiązku zaprotestować:

— Ależ, proszę pani! Zasady być muszą... Cały porządek społeczny, cały byt...

— Wiem, wiem, co pan powie. Świętość domowego ogniska. — Rodzina. — Przyszłe pokolenia. — Sakrament i t. d. Umiem to na pamięć. Panie! Zmiluj się pan! Tak gorąco! Jakże można zasadami mnie traktować! Idźmy już lepiej spać.

Stefan odprowadził piękną panią do domu i przy pożegnaniu umówili się jeszcze o jutrzejszy obiad i spacer.

Gdy nazajutrz stawił się wedle umowy i został przez pilnującą mieszkania babę wpuszczony do salonu, okazało się, że pani Żukowa jeszcze nie ubrana. Wyszła z sypialni swojej owinięta w jedwabiste a całkiem przezrocze fałdy jakiegoś złoto-zółtego peniuaru, i podała mu rękę do pocałowania. Ręka ta, snadź tylko

co z wody wyjęta, pachniała przedziwnie, była świeża i trochę jeszcze wilgotna. Stefan z przyjemnością położył na niej swe usta.

— Ach, przepraszam bardzo, że taka jestem niepunktualna! Ale, jak pan wie, ja żadnych zasad nie mam, więc trzeba mi wszystko wybaczyć. Zresztą, musiałam się wypaść po tych szwagrach, domach, Piwczyńskich et comp. Ale ja zaraz będę gotowa. Pan tu sobie usiądzie i tymczasem przejrzy te — ot, cudowne rzeczy.

Przyniosła w obu ramionach olbrzymią księgę.

— Panie! Jakie tu śliczności! Ci Włosi — to byli ludzie! Jakie oni tworzyli cacka! O, San Zeno w Weronie — jaka campanila! A Certoza w Pawji! Proszę spojrzeć na ten przepych. — A obok tej fasady tak wspinał się, to ciche, słoneczne podwórze, pełne laurów i róż...

Przysiadła obok niego na małej kanapce i pochylała się nad kartami. Z odsłoniętych jedwabi peniuaru wyrastała szyja wysmukła, gładka, trochę śniada — na karku gęstwiną wijących się, rudych włosów pokryta. Szła od niej woń zdrowego, jędrnego ciała. I biło ciepło.

Stefan poczuł się znowu trochę onieśmiałym. Nie zdawał sobie jasno sprawy, z kim ma właściwie do czynienia. Panią Żukową znał dotychczas bardzo mało, a spotykał w jaknajszanowniejszym otoczeniu. Wiedział, że była ona wdową od lat wielu — i lubiącą światowe życie. Ale teraz przedstawiała mu się nieco inaczej. »Czyżby ona... mnie?...« Jakieś niewyraźne pytania zarysowywały mu się w myśli. Nie dawał sobie na nie żadnej odpowiedzi. Ale było mu przyjemnie — coraz przyjemniej.

A pani Żukowa mówiła o Weronie, Asyżu — o sty-

lach i ornamentacjach — o Renesansie i Baroku — o trecentistach i quattrocentistach. — Mówiła bardzo ładnie. Mówiła coraz ładniej i przysuwała się coraz bliżej. Nagie jej ramię ocierało się niekiedy w nagłym ruchu o jego rękę. Dziwiła się, że on — artysta! — nie zna Włoch. Zachęcała do ich poznania. Nawet ofiarowywała mu się na cicerona.

Naraz zegar wydzwonił jakąś godzinę. Zerwała się. — Ach, mój Boże! A nasz obiad! Zapomniałam. — Owinęła się w złote swe jedwabie i ku drzwiom się zwróciła. — Za minutę — za dwie — będę gotowa — dodała, wychylając jeszcze głowę z za drzwi. — Proszę poczekać! Ale to pan winien — nie trzeba być takim przyjemnym...

Obiad a następnie zamiejska przechadzka udały się doskonale.

I odtąd codziennie piękna pani naznaczała Stefanowi »randkę«, jak to ze śmiechem nazywała, i codziennie szli razem przez pola i góry, pod bezkresną kopułą nieba, przez zielone łąki — na długie, długie spacer.

Wracali nieraz późną nocą pod promieniami gwiazd.

— Zupełnie jak para kochanków — żartowała pani Żukowa.

Pogoda była wciąż prześliczna, dnie upalne, a noce ciche, ciepłe, rosiste — pełne zapachu kwiatów i miłosnych szeptów po gałęziach — rozświetlone srebrzystym blaskiem miesiąca.

Interesy pani Żukowej przeciągały się wciąż jakos, wlokły się nieznośnie, jak powiadała. Stefan wszakże nie ubolewał nad tem wcale. Dobrze mu było z nią. Ja-

kieś nad wyraz mile i jakby nowe czuł w sobie życie. I nawet nie chciał myśleć o chwili, gdy się to skończy — i on zostanie znowu samotny.

Samotny?

Wszakże miał żonę, dzieci, rodzinę — obowiązki i ukochania społeczne.

No, tak, tak — miał to wszystko. Ale to nie było *to*.

Zresztą, mój Boże! w wierności żonie wytrwał najpiękniej przez lat dwadzieścia blisko — a i teraz bynajmniej nie myślał jej zdradzać. Gdzietam! Ani mu to powstało w myśli. Pani Żukowa była damą z towarzysztwa, najprzystojniejszą w świecie osobą. — A że, nie mając nic lepszego do roboty, prowadziła sobie z nim flirtek sezonowy — to któżby mógł mieć cokolwiek temu do zarzucenia?

Trwało to tak przez parę tygodni.

Aż dnia jednego pogoda — taka dotychczas łaskawa — zmieniła się nagle. Chmury ciężkie i bure zajęły całe niebo, duszno się zrobiło i czuć było w powietrzu burzę. O zwykłym obiedzie pod drzewami klubowego ogrodu, a tem bardziej o przechadzce za miasto nie można było myśleć.

Stefan zaszedł do mieszkania pani Żukowej, aby się poradzić. Zastał ją w złoto-żółtym peniuarze i w złym humorze.

— I co tu robić? — biadała, podnosząc oczy ku nadciągającym chmurom. Na obiad iść niebezpiecznie — bo nam ulewa naleje się do talerzów — a do tego waszego sanktuarjum pań nie wpuszczają. Gdzież będę siedziała? Jak pies, pod płotem? To już lepiej tu zostanęmy.

— Ale tu niema co jeść.

— Kto wie! Może coś się obmyśli. Niech pan poczeka.

Pani Żukowa wionęła złoto-żółtymi jedwabiami i znikła w głębiach mieszkania.

Po chwili wróciła.

— Wie pan — cudownie! Tu jest blisko jakiś hotel — posłałam babę po parę porcyj czegoś — a zamiast zupy, zrobię panu czarnej kawy. Zapraszam pana na obiad. Tylko, zato — proszę mi nakryć do stołu. Nie, nie! Nie w jadalnej sali. — Tam kufry, paki — szkaradnie! Tu — tu będziemy jedli — o, na tym stoliczku. — To jedyny możliwy kąt w tem letniem zapakowaniu.

I przy małym stoliczku, w buduarze pani, zasiedli do improwizowanego obiadu. Zatliła się niebieskim płomykiem maszynka z czarną kawą, znalazły się jakieś wyborne truskawki — i nastroje z czarnych przeszły wprędce w całkiem różowe.

W mieszkaniu zapadał wraz z nadciągającymi chmurami półcień — wielki bukiet róż, wędnących w kryształowym kielichu, rozsyłał dokoła silniejszą woń — pachniała też kawa w filiżankach i papieros w ustach kobiety. Wypite wino krążyło we krwi gorącą falą.

Zrazu mówiono wiele ze śmiechem i dowcipami. Lecz, gdy talerze zostały sprzątnięte i za babą zamknęły się drzwi do dalszych pokoi — nagle cisza zapadła nad głowami tych dwojga. Zamilkli.

Cisza — jakby oczekiwania pełna — ich objęła.

Nagle — oślepił ich blask — ogłuszył grzmot. Piórunk trzasł tuż blisko.

Zerwali się oboje. Biegli ku sobie z wyciągniętymi rękami.

— Tak blisko... tak gdzieś blisko... — szeptała ona. I przypomniała: — Ależ tam okno otwarte!

A grzmot szedł po grzmocie i błyskawice latały na czarnem tle chmur.

Ona wybiegła do sypialnego pokoju. W otwarte okno wpadał wicher, wstrząsał niem. Nie dawał zamknąć. Jej włosy rozrzucał, rozwiewał na piersiach fałdy szlafrocza. W strachu targała zaszczepkami — lecz nie miała siły.

Stefan rzucił się z pomocą. Oparł się wichrowi — okno zamknął, zasunął.

Zrobiło się bezpiecznie. Grzmoty nie tak huczały, pioruny oddaliły się.

Tylko im obojgu zrobiło się naraz tak, jak gdyby grzmoty i pioruny wewnątrz ich piersi były. Jakieś olśnienie — już nie od błyskawic — naszło na ich oczy. Jakieś szumy zagrały im w uszach. I nagle, jakby błyskawiczną iskrą trącenia, padli sobie w objęcia.

Na dworze szalała burza.

XV.

Gdy Stefan późno w nocy wrócił do swego mieszkania, nie spojrział nawet na kilka listów, leżących na biurku, nie wziął jak zwykle do rąk wieczornej gazety, lecz co prędzej ściągnął z siebie ubranie, w jednej chwili rzucił się na łóżko i zasnął snem twardym, kamienym, zwierzęcym.

Była już późna godzina nazajutrz, gdy go zbudził głos posługującego mu przez lato szwajcara: — Proszę pana — list. I ta baba pyta, ci pan odpowiedź da, ci nie da. I że to już jedenasta biwszy, więc ja pomyślał, że tak i trzeba obudzić.

Ledwie przetartymi ze snu oczami Stefan ujrzał kopertę czerwoną, na której białym atramentem wypisane było jego nazwisko. Jakaś fala ognista przeleciała mu po żyłach, gdy brał list do ręki. Otworzył i przeczytał:

— Przyjdź dziś po piątej — nie wcześniej. Twoja Lena.

Nie zrozumiał odrazu. Lena? któż to był? Imię to słyszał po raz pierwszy. Pismo to po raz pierwszy oglądał.

Nagle — w błyskawicznym oświeceniu — stanęła mu w oczach wczorajsza burza, wczorajsza katastrofa.

Ach! tak — tak — stało się. Stała się rzecz straszna, niespodziewana — której przecież nie pragnął wcale.

Ból jakiś — i wstyd nim zatargał. Lecz znowu fala ognista przelala się przez żyły jego — od stóp do głowy oblała go rozkoszą. »Przyjdź! Twoja Lena«. Ach! To ona tak pisała. — Mówiła mu »twoja«... Czekala... Ona!

Ależ ona to właśnie powinna go była wypędzić od siebie. Bo wszakże... to, co się wczoraj stało — to ją... krzywdziło... ją obrażało... Taka wprost napaść — najbrutalniejsza napaść — na kobietę uczciwą, szanowaną — na damę z najlepszego towarzystwa... Wszakże on się względem niej zachował, jak cham!

Ona powinna go teraz odrzucić. A tymczasem pisze: »Przyjdź! Twoja Lena«.

Co to znaczy? I co na to odpowiedzieć?

Jedynym porządnym rozwiązaniem sprawy byłoby uciec co najprędzej — zemknąć daleko — i nie widzieć jej nigdy więcej.

Ale ona pisała: »Przyjdź!«

Stefan sięgnął do pugilaesu, wyjął bilet wizytowy i ołówek i machinalnie nakreślił jedno słowo: »Przyjdę«.

Szwajcar zniknął za drzwiami. A on został sam w półcieniu sypialni, w ciepłe miękkiej pościeli. Przymknął oczy i myślał.

Pójdzie, bo trzeba tę rzecz zakończyć. Wyzna przed nią, iż sam został zaskoczony, jakby złapany przez wła-

sne zmysły, które nagle z jakąś nieznaną mu siłą odezwały się i opanowały go. Lecz że wola jego i... i sumienie... na to się nie godzą. Nie jest i być nie chce jednym z tych mężczyzn, którym dziś ta — jutro tamta — byle nowe wrażenia, nowa sensacja. Nie! on jest człowiekiem zupełnie serjo. Ma żonę, dzieci, interesów pełno, mnóstwo rzeczy całkiem poważnych na głowie. Gdzieżby tam jemu...

Znowu jakieś rozkoszne ciepło rozlało mu się po żyłach. Przymknął oczy i starał się przeżyć na nowo wczorajszą katastrofę. Widział ją znowu — tę śliczną kobietę — blednącą mu w ramionach.

Nie, nie, nie! O tem nie powinien był myśleć! Ani tego wspominać. Nie!

Wyskoczył z łóżka, pobiegł do łazienki i z prysznicy puścił na siebie ostry prąd zimnej wody. Lżej mu się zrobiło. Wrócił do przytomności — i szybko lecz starannie ubierać się zaczął.

Późno było, więc nie tknął stygnącej w samowarze herbaty, nie rzucił nawet okiem na listy. Lecz pośpiesznie do swego biura podążył.

Cały ranek zszedł mu na załatwianiu pilnych spraw. Jeździł na dwa przeciwne końce miasta, gdzie miał rozpoczęte roboty, konferował z interesantami, pisał, rachował, obliczał — do kawiarni wpadł na chwilę, aby coś przekąsić, bo głód mu dokuczał, był znowu w biurze i załatwił obszerną korespondencję — aż ujrzał z przerażeniem, że już blisko piąta. Chwycił za kapelusz i pobiegł do mieszkania pani Żukowej.

Wstępował na schody z miłem w piersiach uczu-

Matka.

ciem, ale też i z silnem postanowieniem »rozgadania się na czysto« i zakończenia tej, bądź co bądź, całkiem niepotrzebnej awantury.

Zaledwie dotknąć zdążył dzwonka, już drzwi się otwały. Snadź czekano na niego. Już dwie ręce wciągnęły go do przedpokoju.

— Ależ... pani!... Leno!... Trzeba się rozmówić... Ja nie mogę... Ja wczoraj — sam nie wiem, jak... I doprawdy. — Ja nie mogę...

Mówił coś, bronił się słowami. A ramiona jego przeczyły słowom — coraz silniej ją ogarniały. I w głowie zaczynało już trochę mu się mącić.

Ona roześmiała się głośno, srebrzyście. — Ach, ty! Jesteś niezrównany! Jesteś cudowny! Takiego przez całe życie pragnęłam. Mój ty stary dzieciaku! Kochany! Przecież to niesłychane rzeczy, żeby takim być... naiwnym — młodzieńczym — świeżym, jak panienka.

Śmiała się, całowała, śmiała się jeszcze. Aż na koniec posadziła go w buduarze swoim, na sofce — i tuż, bliźutko usiadła.

Stefan był oszołomiony. Nie rozumiał. Wszakże to ona powinna była czuć się — no, co najmniej obrażoną. Ale — było mu jakoś wesoło.

— No, mówmy rozsądnie — rzekła ona, zbliżając twarz swą do jego twarzy. — Żle ci ze mną, co?

— Ach, Leno! Złoto moje! Przecudna! Ja tego... i wypowiedzieć nie potrafię.

— A widzisz. Więc? Więc czego ty się bronisz, jak jaki Józef od Putyfarowej? Bo masz ten zamiar — prawda? — ty, człowieku z zasadami! Chcesz mi gdzieś zemknąć, puścić mnie kantem — co? Ja to widzę z tych

twoich oczu kochanych. — Już ja to mądre postanowienie czytam w tych kochanych oczach. — Nie wypieraj się! Gdybym dziś nie była napisała w takim rozkazującym tonie, to, kto wie — byłbyś udawał, że wyjechałeś? No, nie? A co? Widzisz, że ja ciebie znam już — szkaradniku ty, potworze najmiłszy, burżujku ty mój cudowny! I zrobiłbyś głupstwo. Bo, mój miły — życie jest krótkie — więc korzystać trzeba z każdej dobrej chwili.

— Ależ... pani... Ja — w moim wieku — żona — ojciec rodziny... Ja, co dotychczas szedłem zawsze prostą drogą... Miałbym teraz puszczać się na...

— Manowce? — wyrwała mu z ust. — Tak! tak chciałeś powiedzieć! Ależ tak — jeśli ci z tem dobrze — puść się na manowce! Nie bój się — ze mną nie zajdziesz daleko. Miesiąc — dwa. — Taka sobie sezonowa miłość. A potem, basta! Wrócimy oboje pod jarzmo. Przecież i ja mam córkę już podrastającą — i pozycję — i dobre imię do zachowania — i mnóstwo najświętszych zasad — no, i tak dalej. Zimą, tu w mieście, gdy wszyscy patrzą na siebie wzajemnie — to i ja jestem »wdową chrześcijańską«, o ile tylko mogę. Ale teraz! Swobodni jesteśmy oboje — nikt o niczem wiedzieć nie będzie. Użyjmy życia! Pijmy z tej czary, póki się da! Ach! ty nawet nie wiesz, jak mi się podobasz...

Przed oczami jego zaczęły latać błyskawice i rozpościerać się mgły. Czuł, jakby po całej jego istocie przelewały się fale najśłodszeogo miodu i odurzającej woni. Ogarniała go dziwna błogość. Myśl przestawała działać i wola się nie buntowała przeciw nakazom tej,

która szeptała mu gorącymi ustami takie ponętne, takie nigdy dotychczas nie zasłyszane zaklęcia...

— Zapewne — ma rację. Trzeba brać słodycz, gdy się trafi. I pić. I pić! Nikt o tem się nie dowie. — Nikt przez to nie ucierpi. Krzywdy nie będzie niczyjej. A wszakże — i ja mam prawo do życia...

— Ty nigdy nie użyłeś życia — mówiła ona. To widać. To się czuje w tobie. Zaprzągłeś się tak młodo do jarzma — nie miałeś wcale lat bujnej młodości, rozkwitu, szaleństwa. I dlatego dziś jeszcze taki jesteś świeży — młody. Ach, taki cudownie miły!

— To prawda, myślał. To prawda. Ja nie miałem tych lat bujnego rozkwitu — szaleńczo nie zaznałem bodaj nigdy. Niechże to sobie dziś powetuję — gdy zdarza się taka sposobność — gdy taka kobieta sama pada mi w objęcia — i wprowadza mnie — doprawdy — w kraj nieznanych dotąd rozkoszy. Byłbym głupi, gdybym nie skorzystał.

Jakby na myśl jego odpowiadając, ona mówiła: — *Vita brevis* — pamiętaj! I głupi ten, kto odwraca usta od czary. Dziś jest nasze. Dziś żyć trzeba całą pełnią. Zrzuć z siebie średniowieczne pęta, choć na czas krótki — i wejdź ze mną razem — w Renesans!

A mówiąc to, Ignieła coraz silniej do niego, — usta do ust zbliżała — i pachnącą, rudą głowę kładła mu na piersi.

Nie bronił się już. Oczarowany — upojony — szczęśliwy — oddawał się jej całkowicie w niewole.

I gdy w kilka dni później ona mu oświadczyła, iż, ukończywszy pomyślnie interesy, dla których siedziała w mieście, myśli o wyjeździe zagranicę — ale nie ina-

czej, jak z nim razem — chociażby na jakie dwa, trzy tygodnie — gdzieś do cichego, obcego ustronia wśród gór, albo na jaką plażę pustą i nikomu nie znaną — on już nie oponował, lecz owszem, z zapalem począł obmyślać ową »fugę«.

I w wilgotny i wietrzny poranek za panią Żukową, w elegancki kostjum angielski ubraną, tragarz wnosił do przedziału pierwszej klasy walizkę i neseser z żółtej skóry. Do przeciwnego zaś końca pociągu wsiadał Stefan Gliński, starannie wyświeżony, wygolony, wyglądający młodo i przystojnie.

Przed chwilą wrzucił był do skrzyni pocztowej list następującej treści:

»Kochana Ewelinko! Wezwano mnie do księcia Macieja na narady nad projektowaną kaplicą przy pałacu. Wiesz, jaki on nudziarz. Więc pewnie potrwać owe narady dość długo. Ale może mi się opłaca zczasem. Stamtąd pojedę jeszcze do Żyran, gdzie coś jakoby w robotach się popsło, i pewnie zboczę do państwa Kubińskich. To wszystko razem zajmie mi parę tygodni co najmniej. Pisz, jak zwykle, do domu. Odeślą. Zdrów jestem zupełnie. Nie martw się, że wakacyj nie będę miał w tym roku, bo już tak wypadło, że nie można. Na szczęście, w Zabrodziu dajesz sobie radę lepiej ode mnie. Używajcie zatem wsi i bądźcie zdrowi. Ściskam ciebie i dzieci najserdeczniej.

Wasz S. G.

P. S. Wstrzymaj się z budową nowej obory, którą projektowałeś, bo narazie z pieniędzmi jest mi trudno. Można to odłożyć na potem«.

Stefan usiadł na swoim miejscu przy oknie i z lubością się przeciągał.

Powoli, bez hałasu, pociąg zaczynał się poruszać. Dobrze znajome widoki cofały się w tył — znikaly.

A otwierała się przed nimi dwojgiem przestrzeń bez granic, rozświecona słońcem południowego nieba — i sezonowej ich miłości.

XVI.

Tymczasem Ewelinka i dzieci wiodły w Zabrodziu bardzo jednostajny żywot. Dnie schodziły jedne za drugimi tak do siebie podobne, jak paciorki tego różańca, który ona, chodząc codziennie pod wieczór w lipowym szpalerze, odmawiała pobożnie, a do którego chciała daremnie Bronkę zapędzić. Tylko mała Munia czasem asystowała mamusi w tej świątobliwej przechadzce i odpowiadała głosikiem dziecinnym: »Matko Boska, módl się za nami grzesznymi«.

Wogóle, tylko z małej Muni miała teraz Ewelinka pociechę. Bo starsze — Boże drogi! — co się z nich porobiło! Jeszcze Julkowi — chłopcu — można było wiele darować. Ale Bronka! Bronka była niemożliwa. Zaczawszy od manier, które już były wprost przeciwieństwem dobrego ułożenia, a kończąc na wygłaszanych z arogancją zasadach — było to coś okropnego. Jakieś niebywałe pojęcia o równości, sprawiedliwości dla niższych klas — jakieś decydowanie o politycznych prawach kobiet, o głosowaniu powszechnem, o samorządzie czy jakiejś tam autonomji. — Bóg wie co! A nawet — słyszane rzeczy! — odzywanie się o przymusowem ob-

dzielaniu ziemią obywatelską chłopów małorolnych! Zarazona chyba była socjalizmem — czy co! A naturalnie, za tem szła i obojętność religijna, krytykowanie i sądzenie. Póki byli w mieście, to chodziła w niedziele do kościoła, ale widać było z jej zachowania, że modli się tylko dla formy. Tu przychodziła na pacierze, odprowadzane dla domowników w garderobie zamiast mszy świętej, ale żadnego skupienia, żadnej pobożności na niej nie było widać. A przytem — te książki! Młoda dziewczyna, a przywiozła ze sobą na wakacje całą paczkę książek naukowych, przyrodniczych. — Szła z książką do ogrodu, siadała pod drzewami i godzinami całemi czytała. I to nie żadne powieści — ale jakieś dzieła poważne, o niezrozumiałych nawet tytułach. Czy to kto kiedy słyszał!

Ewelinka zrozumieć tego nie mogła.

Coprawda, nie miała czasu zastanawiać się nad takimi kwestjami. Gdzietam! W Zabrodziu, zaraz po przyjeździe, ogarnął ją taki zamęt interesów, spraw różnych, zapytań, rozstrzygań, sporów, donosów — okazała się taka niezliczona moc porządków do zrobienia, postanowień do powzięcia, umów do zawarcia, opłat do uskuteoczenia, wyroków do wydania, że dzień cały był wypełniony po brzegi, i od wczesnego ranka do późnego wieczora myśl pochłonięta. A nikogo do pomocy, nikogo do rady!

Nie pora była badać charaktery dzieci i doszukiwać się motywów ich czynności, gdy dzierżawca wykrywał się od opłaty, obora z jednego boku zupełnie się zawalała, w lesie okazywały się raz po raz kradzieże, a chłopci, korzystając z serwitutów, spaszali najpiękniejsze łąki.

W domu zaś, dach przeciekał, mole zjadały tak starannie zeszłego roku przesypane dywany, stara Maciejowa leżała beznadziejnie chora, a w porze letniej niepodobna było dostać zastępczyni, w kuchni piec dymił, a nie było komu naprawić, w ogrodzie był bezład i pewne dane na to, że ogrodnik prowadził z żydami ze wsi pokątne handelki. A na dobitkę, ktoś zbudował jakąś fabrykę w górze rzeczki, która dotychczas obracała młyn, przysparzając wcale dobrego dochodu — wody wciąż brakowało — młynarz przychodził ze skargami — naturalnie, nie płacił raty — i bodaj, że wszystko to razem groziło przykrym, kosztownym i ryzykownym procesem.

Nie, stanowczo — na żadne badania charakterów swoich dzieci, Ewelinka ani czasu, ani myśli, ani ochoty nie miała.

Czyż nie czyniła dla nich dosyć i więcej nawet, niż było jej obowiązkiem, gdy przez dzień cały, jak wyrobnica, trudziła się i harowała. — Gdy ani przez chwilę jedną nie usiadła i nie złożyła rąk bezczynnie — nie podniosła oczu i duszy ku wielkiemu niebu, roztoczonemu nad jej głową — nie zasluchiwała się w szmerach i głosach, co szły z pól, z traw, z łąk i lasów — nie zadumała się nad żadnem pięknem i wzniosłością. — A szła i szła — jak ten koń w kieracie.

Dla ich dobra! Dla ich korzyści!

Czy nie czyniła dosyć?

Dbala przecież także i o zdrowie ich i o przyjemności. Karmiła je obficie i smacznie, aby się po miastowem życiu odpasły i nabrały sił. Pilnowała, aby szły wcześniej spać i nie zasiadywały się, marząc przy księżycu, jakby miały ochotę. Codziennie toczyła o to wojny.

Pilnowała, aby Bronka brała regularnie pigułki z żelazem, przepisane przeciwko blednicy przez doktora Bilczyńskiego. Munię sama kąpała w jakichś nadzwyczajnych roztworach, robiła jej kompresy, masaże i codziennie po dwa razy mierzyła temperaturę. Dla ich przyjemności sprawiła krokiet, zaprenumerowała jakieś francuskie pismo i nawet konia z kałamażką przeznaczyła na ich wyłączny użytek. Cóż mogła więcej zrobić najlepsza nawet matka!

Ale dzieci były dziwne jakieś — coraz dziwniejsze — prócz Muni, której słodki charakter i miła pieśczołliwość stanowiły prawdziwą pociechę. Starsze stawały się z dniem każdym bardziej niesforne, samowolne, zajęte jakimiś własnymi sprawami, nieposłuszne — obce. Julek chciał robić swoje, zachowywał przynajmniej jakieś grzeczniejsze formy. Bronka klóciła się zęb za zęb — i nieraz ośmielała się mówić wręcz: — Nie chcę, nie będę. — Od przyjazdu do Zabrodzia ogarnęła ją jakaś demokratyczna manja — zaczęła chodzić do wsi, siadywać po chatach, coś tam chłopom czytać, coś do nich mówić. Pomijając to, że takie zabawy mogły bardzo źle się skończyć — ale cóż to była za rola dla młodej, siedemnastoletniej dziewczyny z porządnego domu. Bo gdyby chciała uczyć dzieci dworskie czytania i katechizmu, to mogłaby je sprowadzić do garderoby. Niktby przeciwko temu nie oponował. Owszem! Dwory powinny przecie zawsze starać się o dobro swoich włóścian i służby. Ale nie. Ona dzieci nie uczyła, a chodziła z gospodyniami, dziewczętami wiejskimi, spędzała z nimi całe godziny. Nawet jakoby na polu pomagała im w robocie. To już nie miało sensu. A na wszelkie uwagi, wy-

mówki i nawet wyraźne zakazy odpowiadała hardo, albo wybuchała ironją. Albo nie odpowiadała wcale, a robiła swoje.

Na domiar zgryzoty dla Ewelinki, przyjechał jeszcze wśród lata syn dzierżawcy, student, wydany z moskiewskiego uniwersytetu za udział w zaburzeniach. Ma się rozumieć, że młodzi prędko się porozumieli, a przy tak bliskiem sąsiedztwie, stosunki zawiązały się też bliskie. Młodzieniec wydawał się naprzód przyzwoiły. Ale student. Syn prawie chłopca. Nie było to wcale pożądane towarzystwo nawet dla Julka — a cóż dopiero dla Bronki. Ta jednak, pomimo ostrzeżeń, szukała ciągle sposobności spotkania się z panem Pawłem, którego tu poprostu »Pawlikiem« nazywano. A o taką sposobność, mieszkając prawie na jednym podwórzu, nie było trudno.

Wielka troska i trwoga o tych dwoje starszych wstrząsały nieraz sercem matki. Ale nie miała czasu oddawać się niepokojom — bo zajęcie czekało. Więc tylko w gorącym westchnieniu polecała Bogu ich dusze, a sama dla otuchy powtarzała sobie ulubione zdanie: — Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży — a całość sama się złoży.

I czyniła w swoim małym, ciasnym, coraz ciśniejszym kółeczku nie tyle to, co kazał duch boży, ile to, do czego parla ją własna natura kobiety-rodzicielki, tylko z wierzchu przykryta pokostem cywilizacji i chrześcijańskiej kultury.

A Julek i Bronka rozwijali się, rośli, szli naprzód własnymi drogami i wstępowali w życie o własnych siłach. Z lekceważeniem i niecierpliwością usuwali na bok od siebie tę macierzyńską miłość, która im się narzucała

jedynie jako przeszkoda i zaporą — a nigdy nie zaświeciła im jasną gwiazdą wspólnej myśli i wspólnego zapалу — nigdy nie zapłonęła z nimi razem ku szerokim celom i wielkim ideom. Była im ona teraz niepotrzebna. Bo ich dusze leciały naprzód niepowstrzymanym pędem. Rwały się w świat, w bój, w dziedzinę czynów potężnych — i ofiary.

Matka zaś stała na miejscu.

Bronka pisała do przyjaciółki swej, Grażyny Żukówniej.

Zabrodzie, 22 czerwca.

»Moja Żynetko, bardzo mi ciebie brakuje. Tak tu ślicznie i uroczu w tym naszym sadzie. Mogłybyśmy razem chodzić — wśród wysokich zielsk, pod cieniem poważnych lip — i mówić o tych wszystkich wzniosłych sprawach, które nas zajmują. W mieście nigdy nie mamy czasu na to. A teraz, gdy wakacje, rozdzieliły nas losy — a może, jak mówi mama, Opatrzność?

Już co do tej Opatrzności mam coraz większe podejrzenie, że ona wcale się nie miesza do naszych interesów, boby kierowała wszystkimi inaczej. Czy to np. sprawiedliwie, że jedni siedzą sobie z założonymi rękami i czekają, aż pieczone gołąbki spadną im do gąbki, a drudzy od rana do nocy pracują i ledwo im starczy na gruby, czarny, niedopieczony kawałek chleba? Pamiętasz — postanowiliśmy, że czwartacy powinni zbliżyć się do ludu. Otóż, ja teraz zawiązałam przyjazne stosunki z kilku dziewczętami ze wsi. Gdy one mają czas, chodzę im coś czytać. One bardzo to lubią. Ale i starsi przychodzą wtedy i proszą, aby im gazety przeczytać.

Tam widzę, jaka jest wielka różnica życia ich i mojego. I to mnie oburza. Ogarnia mnie ból i wstyd przed nimi, że ja tak dostatnio żyję — a oni... Mój Boże. Dlaczego tak jest?

Mówimy o tem często z Julkiem, a także z panem Pawłem. Nie wiesz, kto to jest pan Paweł? to jest syn naszego dzierżawcy. Ojciec jego jest prostym chłopem i często sam pracuje z parobkami. Ale pan Paweł od dzieciństwa miał wielkie zdolności, więc zaczęli go uczyć najprzód — wyobraź sobie — na księdza. Ale on, gdy trochę porozumniał, to za nic nie zechciał być księdzem, a zdał wszystkie egzaminy, jakie potrzeba, i wstąpił do uniwersytetu w Moskwie. Jest już na trzecim kursie medycyny. Ma 24 czy 25 lat, wygląda jednak młodziej. Jest średniego wzrostu, ale ma śliczne blado-niebieskie oczy, a do tego długie, fryzowane rzęsy prawie czarne. Bardzo jest wykształcony, bo prócz tego, co w uniwersytecie, uczy się mnóstwa rzeczy i czyta... ach, nie wiesz do prawdy, czego już nie przeczytał. Nie wyobrażaj sobie, że ja się w nimkocham — bo to wcale nie mój typ. Ja bym lubiła takich, jak na tym portrecie Van Dycka, co to wisi w buduarze twojej mamy. Bądź jednak spokojna. Rozumiem doskonale, że nam teraz nie wolno tracić czasu na głupie romanse, kiedy tyle jest rzeczy piękniejszych do zrobienia. Ta straszna wojna to może doprowadzić do różnych wielkich zmian. Powiem ci pod sekretem — to pan Paweł mówił — przygotowują się wielkie rzeczy. Postanowiono zmienić cały ustrój państwowy. Studenti we wszystkich uniwersytetach robią ciągle wiece. Robotnicy także. »A jeśli nie zechcą dać, to będziemy

sami brać» — powiedział pan Paweł. On ma taki krótki, stanowczy sposób mówienia.

Wprawdzie, nie ze wszystkim, co mówi, zgodzić się można. Z mało uwzględnia patriotyzm, a nawet go lekceważy. Julek ogromne dysputy z nim o to prowadzi. Bo ty wiesz, jaki Julek jest zapalony Polak — i wogóle my czwartacy stoimy na gruncie narodowym, polskim. A on mówi, że to zaciemnia horyzont. W każdym razie nicby nie miał przeciwko naszym ideałom.

Pan Paweł dał mi trochę książek do czytania. Czytam teraz Gorkiego i Andrejewa. Mówię ci, to są rzeczy nadzwyczajne. Nikt nie potrafi tak opisać nędzy. I ta beznadziejność — ten ból. — Krew zamiera, gdy się to czyta.

Szkoda, że ciebie tu nie ma. Czytałybyśmy razem. I ty pewnie napisałabyś coś w tym rodzaju. Tymczasem ściskam Cię serdecznie.

Twoja *Bronka*.

Dn. 2 lipca.

Piszesz, że czujesz się strasznie samotną i nieszczęśliwą — i że cała twoja pociecha, to tworzenie. A ja i tej pociechy nie mam. I także czuję się nieszczęśliwą — i samotną — ach, jak okropnie samotną. Pewnie, że z Julkiem mogę mówić o wielu rzeczach — ale nie o wszystkim. Nawet — powiem Ci — że zaczynamy różnić się w zapatrywaniach na kwestje ogólne. Jak Julek powiada, ja poszłam temi czasy na lewo. Może — nie wiem. To tylko wiem, że takbym chciała kogoś mieć, przed kim mogłabym wszystko, wszystko wypowiedzieć. Szkoda, że nie mamy już cioci Iny. Ona, choć starsza,

ale dużo rozumiała. Nie była taka burzujka i nie wzdrygała się tak na wszystko, jak mama. Bo z mamą, niema sposobu o niczem mówić. Chciałaby ze mnie zrobić taką układną, dystygowaną, elegancką pannę, co to siedzi w salonie z robótką w ręku i czeka na męża. A ja taką nigdy, nigdy nie będę. I wogóle, jeśli bym poszła kiedyż zamąż (o czem bardzo wątpię), to tylko z wielkiej, szalonej miłości. Ale mama tego nie rozumie, i kiedy raz to powiedziałam, to na to odpowiedziała, że śmieszne jest, aby »dzieci« o takich rzeczach decydowały, (dzieci — skończę w październiku 17 lat), i że chociażby poszło się zamąż bez miłości, ale z dobrą wolą i za porządnego człowieka, to Pan Bóg przez Sakrament małżeństwa daje światło i łaski potrzebne do godnego spełnienia obowiązków małżeńskich. Ach, Żynetko, to ci dopiero odpowiedź. Jaka płytka — i nielogiczna. Bo jeśli mama myśli, że kto idzie zamąż, ten chce tylko »godnie spełniać obowiązki małżeńskie«, to się grubo myli. Nie chodzi tam o obowiązki, ale o szczęście. A przytem mama wyobraża sobie, że my — dziewczyny, naturalnie — nic nie wiemy. A tymczasem ja oddawna bardzo wiele wiem — a teraz to już dokładnie się dowiedziałam, co to jest małżeństwo, i dlaczego są dzieci prawe i nieprawe. Teraz dużo czytam, głównie przyrodnicze rzeczy.

I wiesz, ciągle teraz o tem myślę, aby pojechać do uniwersytetu na medycynę, albo może tylko na przyrodę, bo mnie to strasznie interesuje. Tam są rzeczy, które nasze pojęcia o świecie przewracają do góry nogami.

Z tych książek, co mi pan Paweł dał, dowiedziałam się też bardzo wiele. Bo dał mi nietylko powieści, ale i książki naukowe. Jak będziemy razem, to ci to

wszystko wytłumaczę. Bo jeśli chcesz pisać i być autorką, to musisz sama być uświadomiona.

Powiem ci jeszcze, że teraz, gdy wiem wszystko, to mnie ta miłość, o której piszą tak pięknie, nie wydaje się wcale tak bardzo wzniosła ani przyjemna. I ja chyba nigdy się nie zakocham. Poświęcę się zato całej wielkim ideom albo nauce.

My teraz codziennie po podwieczorku wyjeżdżamy z Julkiem niby na spacer. Munia w domu zostaje, bo kaszle. Niby jedziemy we dwoje — a po drodze zabieramy pana Pawła, skręcamy do lasu, tam sobie rozkładamy ogień i rozmawiamy. Teraz bardzo mi się w głowie rozjaśniło.

Twoja *Bronka*.

P. S. Spodziewam się, że moich listów nikomu nie pokazujesz? Ciekawa jestem bardzo twojej nowej powieści.

D. 19 lipca.

Moja Żynetko droga! Powiedz, co warte to życie? Co wart ten świat szkaradny, na którym wszystkim tak źle! Ach, naprawdę, gdy się o tem myśli, to nie ma się już żadnej ochoty do życia. Tyle wszędzie biedy, nędzy, wyzysku, wstrętnego samolubstwa. A ta wojna, cóż to była za okropność! I czego — czego ci ludzie się morduują? Powróciło tu do wsi dwóch, którzy tam byli. Jeden bez nogi. Drugi z jakąś nerwową chorobą, trzęsie tylko głową i prawie mówić nie może. Ten, co bez nogi, przyszedł raz do chaty, kiedy ja byłam — i opowiadał. Ach, Boże, Boże!

Wiesz — zaczynam rozumieć zakonników, a szczególnie pustelników. Ach, zagrzebać się gdzieś wśród skał czy lasów — i nie wiedzieć o niczem — o niczem!... Pan Paweł mówi, że w Rosji dziś jeszcze spotyka się takich, co nie mogli na świecie wytrzymać, wszystko porzucili i gdzieś żyją w samotności. Julek oburza się na to i powiada, że człowiek powinien walczyć, tworzyć, zwyciężać — a chociażby upadać — ale że wtedy tylko żyje i jest czegoś wart. Dla niego ideałem jest taki np. Żółkiewski albo ks. Józef, którzy do ostatniego tchu stali na placówce. (I moim ideałem był niegdyś ks. Józef — pamiętasz? Ty wołałaś Byrona i Słowackiego). Wogóle, coś dziwnego dzieje się ze mną. Chciałabym czasem iść i walczyć, oddawać życie — całą siebie za coś wielkiego. A czasem znowu chciałabym położyć się na zielonej trawie, gdzieś pod sosnami szumiącymi — i zasnąć — i już nie obudzić się.

Bo, powiedz, Żynetko — co warte to nasze życie? I co nas czeka?

Tylko smutek, i łzy, i tęsknota. — Ach, taka szalona tęsknota!

Sciskam Cię.

Twoja *B.*

D. 27 lipca.

Wiesz, Żynetko, zrobiłam odkrycie — straciłam wiarę. Ale to zupełnie, zupełnie. Dotychczas byłam dość obojętna i nudziły mnie te mamy nabożeństwa. Ale, gdy klękałam rano i wieczór do pacierza, to modliłam się szczerze i miałam to uczucie, że jest ktoś, co mnie słucha. Aż tu naraz spadła nagle ze mnie cała ta nałożona

Matka.

skorupa wierzeń i przesądów. I zostałam sama — sama na świecie — wśród dziwnej pustki.

Zerwałam się raptownie z klęczek, bo coś mną aż zatrzęsło. Aż Munia, leżąc w swoim łóżeczku — taka biała i ładna! — zaczyna się śmiać i pyta: — »Cóż to, Broncik, pogniewałaś się z Panem Bogiem, czy co?« I tak śmiała się długo i głośno, że mama posłyszala i weszła do naszego pokoju. I Munia, jak z pilnego interesu, wszystko opowiedziała. Więc zrobiła się wielka scena. Mama zaczęła pytać. A ja — wiesz, że kłamać nie cierpię — powiedziałam wszystko. Mama okropnie była zgorszona i oburzona. I najprzód zaczęła narzekać na złe wpływy, na złe książki, i t. d., a potem na mnie — że jestem zarozumiała, skryta, zaufana w swoim wielkim rozumie, że zamiast zająć się tem, co paniom potrzeba, dopuszczam do głowy jakieś najgorsze myśli — że starszych nie słucham — że nie mam uszanowania dla żadnych powag i t. d. Ja tego wszystkiego słuchałam, ale przyznam się, że bez żadnej skruchy. Bo cóż ja temu winna jestem, że ja myślę tak, jak myślę? Nie mogę myśleć przez inną głowę — bo mam tylko tę swoją jedną. A nie jestem maszyną, ale człowiekiem, więc myśleć muszę.

Ale mama tego wszystkiego nic a nic nie rozumie. Mama chciałaby kierować nami zasadą: Byt' po siemu! A to już całkiem przestarzałe.

Tak mi się chciało jednak z kimś o tem pomówić, że nie mogłam wytrzymać i nazajutrz zaprowadziłam Julka do ogrodu i tam jemu wszystko wyznałam. Ciekawa byłam, co on powie. Ale on uśmiechnął się tylko i powiedział: »Dopiero teraz? Ja dawno już wyrzuciłem

ten niepotrzebny balast«. Mnie odrazu lżej się zrobiło. Tem bardziej, że wiem, iż pan Paweł także nie wierzy w nic — a nawet, Julek mówi, że i Żeleszczyński.

W każdym razie, szkoda, że cioci Iny niema. Z nią dobrze byłoby o tem pomówić.

Widzisz, Żynetko, jakie we mnie zaszły zmiany. Ciekawam, co o tem powiesz? Napisz prędko.

Bronka.

P. S. Wiesz — pan Paweł nagle wyjechał. Zdaje się, że to coś ważnego się gotuje na świecie. Na tę myśl robi się jakoś straszno, ale i ciekawość bierze. Jedno wiem — że wobec tego niepodobna siedzieć z założonymi rękami i, jak struś, chować głowę pod skrzydło. Trzeba coś robić! Ach, Żynetko. — Ciemno wszędzie — glucho wszędzie. Co to będzie? Co to będzie?

XVII.

Odpowiedzi Grażyny Bronka już się na wsi nie doczekała. W tym roku wcześniej, niż zwykle, wrócono do miasta. Chodziły bowiem po kraju słuchy różne, wieści niepokojące — jakby głuche grzmoty, które gdzieś tam przelewały się na widnokręgu, pośród czarnych chmur. Mówiono o dziwnych poruszeniach wśród wiejskiego ludu — o jakichś nieprzyjaznych zamiarach względem dworów. Chodzili po wsiach różni ludzie — zakazane jakieś figury — rozdawali drukowane świstki i przemawiali do ludu. Tu i owdzie parobcy porzucali robotę i urządzali strajk. A kradzieże w lasach podwoiły się.

Ewelinka zaniepokoiła się. A może naprawdę napaść i ograbią? Zabiorą wszystko — podpalą — może zabiją? — Co to można wiedzieć — żyjąc w tak okropnych czasach! Lud tu pocziwy, łagodny, katolicki, ale gdy go socjaliści podburzą, to — kto wie! — mogą do wszystkiego najgorszego nakłonić. Tem bardziej, że od dawna istniały serwitutowe zatargi, i nieraz dwór ze wsią bywał w niezgodzie. Więc może oni teraz zechcą się mścić.

Z ciężkim sercem opuszczała Ewelinka ściany starego domu. Spakowała wszystko, co było cennego, nie-

które skarby swoje ukryła w głębi piwnic i lamusa, z dzierzawcą i leśnym odbyła poważną naradę — i na koniec dała hasło do wyjazdu.

Wszystko było gotowe. Konie czekały pod ganikiem, paki i kufry ładowano na furę, dzieci kończyły śniadanie, gdy ona, nie mogąc usiedzieć na miejscu, w dziwnem rozdrażnieniu i niepokoju, wybiegła sama do ogrodu. Jakby gnana nieprzepartym jakimś nakazem, poszła szybkim krokiem w głąb parku, pod stare lipy i klony, ku zarosłemu trzciną stawowi, co srebrną falą dyszał cicho.

Przed dwudziestu laty, także w chwili wyjazdu, szli tu razem z mężem — we dwoje — obejmując się wzajem. W głębi jej istoty drgało już życie nowe. I także było im wtedy smutno. Pamiętała tę chwilę, gdy nagle ogarnęła ją trwoga przed tem, co będzie, gdy coś w niej zadrżało i rozplynęło się w łzach — i przytuliła się do piersi mężowskiej z płaczem i wołaniem: Boję się... Boję się...

Pamiętała tę chwilę.

A teraz również ogarniała ją trwoga przed jakimś nowem, z nieznanych mętów powstającym istnieniem — przed jakąś zagadką, co się wylaniała z tych czarnych chmur na horyzoncie — przed jakąś siłą, co wstawała groźna i złowroga — przed widmem, co szło i szło naprzód z zasłoniętym obliczem, niepowstrzymane, tajemnicze, a którego nie widzieć nie mogła, choć tak szczerzenie zamykała drzwi i okna domu swego.

I teraz coś w niej drżało, i chciało się w łzach rozplynąć, i chciało się do czyjejś silnej piersi przytulić i zicha wołać: Boję się... Boję się...

Lecz męzowskiej piersi i jego ramion silnych i jego serca kochającego już przy sobie nie miała.

Usiadła ciężko na zwalonym i próchniejącym od lat dwudziestu pniu, tam, gdzie ongi, w tych swoich dniach miodowych, tyle chwil szczęśliwych przeżyła, tyle pieszczot doznała — tam, gdzie natura cała, i szumiące drzewa stare, i zarosły staw, i ptaszki po gałęziach, i fruwające zielone łątki, i strzykające w trawie koniki polne, i brzęczące w słonecznych promieniach muszki, i nawet kumkające żabki — zdawały się brać udział w jej szczęściu.

Dziś wszystko było takie same. Nic się w tem miejscu pamiętnem nie zmieniło. Tylko ona była więcej strwożona, miała cięższy, niż wówczas, smutek na duszy.

A była samotna.

W przelocie ujrzała owe dwadzieścia lat swego małżeńskiego i rodzinnego życia. Żaden wyrzut nie ozwał się w jej sumieniu. Dobrą była żoną i dobrą matką. Pełniła swe obowiązki z poświęceniem, zupełnie. Dzieciom, mężowi, gospodarstwu i domowi oddała się cała. Więc czemuż dziś tak się czuje samotną, tak od męża i od dzieci daleką?

Gorzkie łzy popłynęły z oczu Ewelinki — i, skłoniwszy głowę na kolana, płakała.

Lecz ze łzami przysła ulga i nieco ukojenia. »Pan Jezus ukochanym swoim zsyła krzyże« przypomniała sobie słowa księdza Ludwika. O, tak! Ukochaną przez Pana Jezusa być chyba musiała bardzo, gdyż krzyże przed nią rosły i rosły z dniem każdym. I mąż — ach! ten mąż! I dzieci, takie inne, niżby je mieć chciała. I słabowitość Muni. I te ciągle, najrozmaitsze kłopoty, i oba-

wy, i straty, jakie być mogły — wszystko to było krzyżem na jej barkach. Wszystko to było też znakiem ukochania Jego. Najwięksi święci byli obarczeni boleściami przeróżnemi. I ona też — o, jakże czuła się obciążoną! Ale i dumną zarazem.

Myśl jej odleciała zupełnie od tej przeszłości, której widmo tu, w tym kątku pełnym wspomnień stawało przed nią. Odrzuciła ją od siebie. Były to chwile zbyt ziemskiego szczęścia. Przed oczy duszy wywołała obraz Ukrzyżowanego — i tam, przy Nim w myśli stanęła. W gorącej modlitwie zaczerpnęła mocy. I zrezygnowana już, spokojna, pewna siebie wróciła do dzieci.

Gdy się znaleźli w mieście, odrazu ogarnęła ich dziwna atmosfera. Wszyscy, zda się, na coś czekali. Wszyscy wyglądali tego, co przyjść miało. Ale czego? Nie wiedział jasno nikt. Najobjętniejszy wszakże czuł, że drgnienia jakiegoś wstrząsają mu grunt pod nogami, i słyszał jakiś podziemny łoskot. Miasto miało niby zwykły wygląd. Ale co chwila przelatwały przez nie jakieś wieści, skupiały się tu i ówdzie tłumy — i czuć było, że nikt nie bierze na serjo ani swych dzisiejszych zajęć, ani nawet swego życia. Gazety i depesze rozchwytywano na rogach ulic, a nad białymi świstkami papieru pochylały się zaraz blade twarze ludzi, obcych sobie przed chwilą — teraz nagle zbratanych wspólnem oczekiwaniem.

Jednak rozpoczęły się lekcje w gimnazjum i Julek poszedł. Był już w ósmej klasie, i ciążyła mu nieznośna ferula. Przez wszystkie minione lata miewał z władzami swemi częste zatargi i notowany był stale, jako uczeń mniej, niż średniego prowadzenia. Doszedł do ostatniego roku i sam pragnął to nieszczęsne gimnazjum ukończyć

i być wolnym. Ojciec, a tem bardziej matka, nieustannie go przestrzegali, aby się »w nic nie wdawał«, swoje robił i myślał jedynie o zdobyciu matury. W tem postanowieniu trwał. Rok jeszcze wytrzyma — a potem...

Lecz gdy się znalazł teraz w gronie dawnych kolegów, wobec zniechęconej władzy, owiany temi nowymi prądami, które przenikały wszędzie i wsiąkały głęboko pod mundury — poczuł nagle, że nie będzie zdolny panować nad sobą i że ręczyć za nic nie może.

— To już trudno! Gdy Ona zawoła, chyba pójdziemy — mówił do Żeleszczyńskiego, wracając z nim razem ze szkoły w kilka dni po rozpoczęciu wykładów.

— Lepsi od nas stawiali życie na kartę, a coś dopiero maturę — odpowiedział tamten. — Ona może nie zechce czekać, aż skończymy gimnazja. I nie w tem rzecz. Jak trzeba, to trzeba. Ale w tem, żeby na dobry tor wpaść. Bo ja — przyznaję — tym żydowskim prowodyrom niebardzo dowierzam.

— Tak. Ale czy my bez nich narazie możemy się obejść? Sam nie wiem. Biję się z myślami...

— Żeby tak było kogo się poradzić...

— Ot, zechciałeś! Piśnij tylko słówko przed starszymi, a zobaczysz... Zakrzyczą, zagadają, a nie dadzą człowiekowi żadnej rady. Oni przecie nic nie rozumieją. Drżą tylko o swoje grosze.

Zamyślili się obaj chłopcy i szli w milczeniu.

Wiedzieli z własnego doświadczenia, że takich starszych, którzyby z nimi ręką w rękę poszli, którzyby chociaż postarali się ich wyrozumieć — niema. Wiedzieli, że to, co oni dziś czują i myślą, że wszystkie ich porywy, dążenia, marzenia i wysiłki, wszystkie zмага-

nia się i parcia ku wysokościami, że to wszystko tam, wśród nich, określa się staropolskim dictum: »Młodość to bujność, a bujność to dzikość«. Więc czegoż mogli po nich się spodziewać?

Trzeba było samym...

Szli w milczeniu. Aż nagle stanął przed nimi młodzieniec w czapce studenckiej.

— Paweł!

— Julek!

Okazało się, Paweł »wysłany« tu został dla agitacji, dla organizowania. Wciśnięci w bramę, słuchali jego mowy. Tak, tak! Gotowały się wielkie przewroty. Przyszła chwila stanowcza. Dziś lub nigdy. I tylko we wspólnej akcji, w zapomnieniu o lokalnych, odrębnych interesach, a w skupieniu sił było zbawienie. Nie pora teraz na plemienne zatargi, na historyczne wypominania i nacjonalistyczne dążenia, na jakiegokolwiek własne interesy. Nie teraz targować się o jakieś odrębności narodowe. Co będzie potem — to się zobaczy. Dziś burzyć, niszczyć, rozbijać! Dziś lub nigdy!

Blado-niebieskie oczy Pawła płonęły, gdy to mówił. Chłopcy, milcząc, spuszczały głowy. Może... może on miał rację... A jednak... jednak coś tam w głębi ich dusz podnosiło protest. Jakiś cichy głos ostrzegał.

Zaczęło się dziwne życie, jakby w gorączce, jakby we śnie. O zwykłych obowiązkach, zajęciach, nawet o zwykłym trybie dnia — nie było już mowy. Wszystko się rozprzęgło. Wieczory i noce schodziły na naradach, na dysputach, na gadaniu tak obfitem, że myśl potem omdlewała z wyczerpania. Nad ranem sen morzył, głód dokuczał. Spano więc byle gdzie, jedzono byle co i byle

kiedy. Ustało wszelkie pilnowanie się godzin. Julek wracał do domu o niemożliwych porach, przyprowadzał z sobą często którego z towarzyszy i dawał mu się prześpać na swoim łóżku. Do szkoły chodził jedynie bodaj na to, aby z kolegami się spotykać i z nimi konferować. W domu był chmurny, nieprzystępny, a gdy matka próbowała czynić mu uwagi i wymówki, nie odpowiadał na nie wcale, ale swoje robił.

A i Bronka wypowiedziała nagle posłuszeństwo wszelkiej powadze i władzy. Stała się tajemniczą, milczącą, bardziej jeszcze, niż zazwyczaj, arogancką. Nadała sama sobie niebawem dotąd prawa, i nie opowiadając się nikomu, znikać zaczęła na większą część dnia. Wracała z płomieniami w oczach, z wypiekami na twarzy, rozgorączkowana, zacięta w jakimś postanowieniu.

Ewelinka uczuła, iż wszelka władza tak nad Bronką, jak i nad Julkiem, wymknęła się jej z rąk. Nie były to już jej dzieci. Byli to obcy, nieznani ludzie, którzy szli własną, nieznaną jej drogą. Co się stało? Czy ten przewrót w nich przygotowywał się oddawna? Czy przyszło to naprawdę tak nagle?

Na badania i rozmyślanie, na przypominanie sobie, jak było i jak do tego szło, Ewelinka nie miała znowu ani czasu, ani myśli swobodnej. Zaraz po przyjeździe bowiem mnóstwo spraw domowych zważyło się na nią, a przytem Munia ciężko się rozchorowała i pochłonęła całą jej uwagę. Spróbowała jednak położyć koniec samowoli dzieci — i zwróciła się z tem do męża. Niewielką wszakże znalazła w nim pomoc.

Wogóle, od wakacji i Stefan także zmienił się jakoś dziwnie. Również był tylko gościem w domu. Czy tak

pilnie pracował? Czy bardziej uciążliwe i skomplikowane stały się jego interesy? Co robił i gdzie przebywał? Tego niepodobna było od niego się dowiedzieć, bo śpieszył gdzieś stale i nie miał ani chwili czasu na rozmowę z żoną. Musiało jednak gorzej mu się powodzić, bo i dochody jakoś się urwały. Do rąk Ewelinki przestały wchodzić, jak dawniej, większe sumy — a musiała ona po kilkanaście rubli na wydatki domowe od niego wyciągać.

Coś w tem kryło się nowego — coś niedobrego — i trwogą ją ogarniało.

Zainterpelowany w sprawie Julka i Bronki, Stefan zaniepokoił się szczerze. Kochał przecie dzieci swoje i wcale sobie nie życzył wydawać je na pastwę jakiegś obcej mu idei.

— Rozmówię się sam z niemi — rzekł.

I rzeczywiście, nastąpiła owa rozmowa. Była ona długa i burzliwa. Ojciec z synem łatwiej się porozumieli. Julek dość szczerze przedstawił mu obecne położenie młodzieży, okazał tak silną i dojrzałą już wolę, tak męskie postanowienie, iż Stefan zamilknąć musiał, gdyż uczuł, iż żadne względy na »karjerę« jego nie wzruszą. Prosił tylko, aby był ostrożnym.

Ale Bronka przy pierwszych jego słowach wybuchnęła takim żalem, gniewem, oburzeniem na świat cały, a w pierwszym rzędzie na rodziców — wypowiedziała tak stanowcze a tak skrajne przekonania i tak niezłomne zasady — odmówiła tak absolutnie wszelkiego prawa wtrącania się do jej konduity — i tak hardo odpowiadała, że nigdy, ani na jotę jej nie zmieni — iż

Stefan, odurzony, zamilkł. Nie wiedział, jak dalej mówić z tą dziewczyną, której — zdawało mu się — nie znał wcale.

— Czy ona zawsze taka? — spytał zdumiony Ewelinki.

— Zawsze była trudnego charakteru — odpowiedziała ona — ale teraz coś się z nią stało okropnego. Nie wiem, skąd się to wzięło — kto na nią tak wpływa. — Ale ja nie mogę już dać sobie z nią rady.

Bezsilnie opuściła ręce. Nie, ona już sobie z własnymi dziećmi nie mogła dać rady. Chociaż cała im się oddała, choć życie swe siała im pod stopy, chociaż czuwała, harowała, stróżowała nad nimi, jak ten pies, dreptała za nimi, jak ta kokosz — one odsunęły ją na bok i ruszyły naprzód same. Rozwinęły jakieś skrzydła, których istnienia nawet się nie domyślała — wypłynęły na jakieś rozkołysane, ciemne, rozszalałe morze — strząsnęły z siebie wszystko, co było na nie wkładane z taką uporczywą troskliwością. I już stały się obce. Nie, nie były to już owe miłe, śliczne dzieciaki, o jasnych lokach i uśmiechniętych buziach, które tak ładnie za rączki prowadziła niegdyś w niedzielę na mszę do kościoła i za które, klęcząc obok nich, gorąco i ze łzami Bogu dziękowała. Byli to nieznani dla niej ludzie — nie miała z nimi nic wspólnego — i wcale, ale to wcale ich nie rozumiała. I nawet, zdawało się, że i miłość dla nich gdzieś się ulotniła — a został tylko ból, gniew, troska — i uraza.

Stefan zamilkł, również bezradny.

Stali oboje w to swoje dzieło zpatrzeni — a nie poznający go. Może po raz pierwszy w życiu tak spoj-

rzeli na nie z boku — i dostrzegli, że nie było tem, czem je mieć chcieli.

A czy wogóle wiedzieli, jakim je chcieli mieć?

Aż się mężczyzna odezwał: — Doprawdy, to dziwne! Ty — matka — żeby tak nie znać własnych dzieci!

Ona drgnęła pod tym zarzutem. Nie oburzyła się jednak. Prawdę mówił.

— Cóż ja zrobię... — szepnęła.

— Ależ, mój Boże! Byłaś ciągle z nimi od najmniejszego dzieciństwa. Żyłaś z nimi, patrzałaś na nie. I teraz — jakże można tak ich nie znać! Ja — co innego. Przy pracy nie miałem czasu śledzić dzieci. Ale ty!

Wzruszył ramionami. Tak, on był tu bez winy. On — nie miał czasu śledzić własnych dzieci. Dość, że je począł — a potem pracował dla nich. Lecz ona! Cóż robiła ona przez całe życie!

Ewelinka nie zadawała sobie tego pytania. Ona wiedziała, że przez całe życie wypełniała święcie to, co nie tylko ona sama, lecz wiele, wiele powag najszanowniejszych uważało za powinność kobiety. Nie zstąpiła nigdy, ani jednym krokiem, z wytkniętej i przez całe pokolenia udeptanej ścieżki obowiązku. Była wzorową żoną, matką i gospodynią domu. To, co się teraz działo z jej dziećmi, było działaniem złych ludzi, może złego ducha podszeptem, było dopustem bożym, krzyżem, jednym więcej na jej barki — lecz nie było jej winą.

Nie, sumienie miała czyste i mogła spokojnie uklęknąć do modlitwy i mówić, wznosząc oczy na święte obrazy: Odsuń, Panie, odemnie ten kielich goryczy. A wszakże niech się stanie Twoja a nie moja wola.

To też w coraz dłuższych, w coraz częstszych modlitwach starała się zaczerpnąć cierpliwości, siły i mocy do znoszenia tych krzyżów.

A cierpliwość ta stawiała się coraz jej potrzebniejszą. Bo nastały straszne dni. Burza zbliżała się. Ciche pomruki zamieniały się chwilami w głośny krzyk tłumu. Zaczynały tu i owdzie z hukiem wybuchać bomby, a za niemi sypał się trzask karabinowych kul. Pieśń rwała się i spłoszona milkła. Wiały w jesiennem słońcu jakieś nie widziane dotychczas, czasem krwią ociekłe sztandary — i kryły się. Padaly gdzie niedzie trupy.

I naraz zaległa cisza. Stało wszystko — zamilkło. Nad zamarym krajem wschodziło późne, blade słońce i oświecało zdrętwiałą jakby w przerażeniu ziemię, zdrętwiałe miasto i blade, ciche tłumy, które z tupotem bydlęcym szły i szły przed siebie — jakby na spotkanie czegoś, co przyjść miało.

A wśród tej ciszy rozlegały się jedynie głosy tych, którzy burzyli stary gmach.

Już słyhać było łoskot walących się jego ścian.

Zastygło życie. Zdawało się, że i krew w żyłach stygnie.

W pustem, ponurem mieszkaniu, wśród mebli, z których jeszcze nie zdjęto letnich pokrowców, w powietrzu przesiąkłem naftaliną i kamforą, pomiędzy kuframi czekającymi rozpakowania błędziła samotnie Ewelinka. Szła od łóeczka chorej Muni do maszynki, na której grzało się lekarstwo, stawiała przy oknie lekliwie, patrzyła na sunący wciąż po ulicy tłum — z drżeniem nasłuchiwała, czy nie idą dzieci? czy nie wraca mąż?

Ciągnęły się w samotności długie, nieskończone godziny.

Drżało wciąż serce w przeczuciu nieszczęścia.

Aż przyszło nieszczęście. Jednego wieczora dopóźna nie wracał nikt. Julek i Bronka znikli zaraz po obiedzie. Stefana od rana nie było w domu. Ciszę prze-rwał jedynie pocziwy dr. Bilczyński, który Munię odwiedził i przez chwilę przysiadł w salonie, sapiąc, biadając — i wypuszczając zebrane pantoflową pocztą jakieś wiadomości. Zapadł zmrok — rozpelzł się po kątach. Przy jednej świecy, gdyż ani elektryczność nie działała, ani nafty nie można było kupić, ciągnęły się dla Ewelinki długie, nieskończone godziny.

O dziewiątej Agata podała samowar i sama zapadła w kuchenne ciemności.

Minęła dziesiąta, jedenasta. Północ się zbliżała.

Munia spała niespokojnym snem, zgorączkowana, z wypiekami na wymizerowanej twarzyczce. Ewelinka nie mogła usiedzieć na miejscu. Próbowala szyć, cero-wać, modlić się wreszcie — nie, nie mogła. Wyszła więc z pokoju Muni i różaniec przebierając w palcach, zaczęła się przechadzać wzdłuż i wszerz po mieszkaniu.

Ciemność była w niem zupełna — a dokoła cisza. Z okien ziała gesta, okiem nie przebita czarność, żadnym nie rozjaśniona promykiem. Bo i niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, i nie świeciła na niem ani jedna gwiazda. Miasto leżało w dole nieruchome i ciche — nie śpiące jednak, a, zda się, zaczajone. Z tej otchłani ciemnej wiało jakimś przerażeniem i grozą.

Ewelinka śpiesznie od okna odeszła.

»Pod Twoją obronę«... zaczęły szeptać jej usta. Ale

nie! Nikt nie słyszał, nikt o nią już nie dbał ani na tym, ani na tamtym świecie.

Była sama. Była sama...

Wróciła śpiesznie do Muni. Dziewczynka leżała wśród rozsypanych na poduszce złotych włosów. — Kiciuś! Kiciuś! — szeptała nieprzytomnie — kic, kic, kic. Precz, Rozbój! Nie dam Kici... Ach! uciekajmy, uciekajmy! Djabeł nas goni! Ciągnie nas do piekła...

Zrywała się — i opadała wyczerpana.

Ewelinka zmieniła worek z lodem na jej głowce. Ułożyła — przykryła. Wzięła jej rozpaloną rączkę w swoją. Na chwilę przytomność wróciła. Munia spojrziała dokoła i zapytała:

— Mamo, czemu tak ciemno? I czemu Bronki nie ma. I nikogo? Czy to jeszcze strajk?

— Strajk jeszcze. A Bronka zaraz przyjdzie. I wszyscy zaraz przyjdą. Tymczasem, zaśnij, aniołku.

— Ja nie mogę zasnąć, bo czarny djabeł chodzi — odparła znów nieprzytomnie. I oczy jej wpatrzyły się w kąt pokoju. — O, tam stoi. Och, mamusiu! Wypędź go! Taki straszny... Ja się lękam...

I znowu ogarniało ją majaczenie i wizje różne stawały nad jej łóżkiem.

— O! idzie — idzie! On mnie chce zabrać... Mamusiu, czyż ty nie słyszysz! Idzie... Już... Już...

Czasem milkła i zdawała się usypiać. Ale Ewelince, pochylonej nad nią, dzwoniły wciąż w uszach jej słowa: — Idzie... Idzie...

I ona czuła, że coś ku niej szło...

Aż naraz, w ciszy, która znów zapanowała, w ciszy, przerywanej tylko ciężkim oddechem Muni, usły-

szała na dole czyjeś kroki. Drzwi wchodowe otwarły się. Ktoś wstępował na schody. Szedł w ciemnościach powoli, omackiem. Na zakręcie potknął się. Szedł dalej. Nie zatrzymał się na pierwszym piętrze, nie! Wyżej się wspinał. Zbliżał się.

I stanął.

Ewelinka porwała świecę i wybiegła do przedpokoju.

Drzwi były solidnie zaryglowane, łańcuchem spięte tak mocno, tak bezpiecznie!

A wszakże — za niemi stało nieszczęście.

I oto własnymi rękami, drżąc i śpiesząc się, zaczęła zdejmować rygle, rozpinąć łańcuchy. I drzwi otworzyła szeroko, narozcież, aby do domu swego wpuścić nieszczęście.

Stał w ciemnej sieni Julek. Bładość jego była taka, jakby całą krew wytoczono mu z żył. Usta białe, jak papier, drżały. Oddychał szybko, mrużąc oczy przed światłem.

— Julek! Co tobie? Co się stało? Mów! Gdzie Bronka? — Ewelinka poskoczyła do niego.

Z jego zaciśniętego gardła wypadła, jak świst bicz, odpowiedź:

— Bronka... zaaresztowana...

— Ha!...

XVIII.

Po ciemnem, ponurem mieszkaniu rozległ się krzyk. Z serca matki wypadł straszny, rozdzierający, żalotny — do skowytu zwierzęcego bardziej, niż do ludzkiego głosu podobny. I zamilkł.

Ewelinka oparła się o ścianę. Przed oczami zawiroowało wszystko. Próbowwała chwycić za coś rękami. I naraz osunęła się na podłogę.

Daremnie Julek dźwignąć ją próbował. Nie miał dość siły.

— Agato! — zaczął wołać rozpaczliwie. I biegł do ciemnych pokoi po wodę, po ratunek. O meble się uderzał, potrącał sprzęty.

Nad przychodzącą już do siebie Ewelinką pochyliła się rozczochrana głowa Agaty i biadać zaczęła: — Ot, nieszczęście! Potrzebnie było panience leżać na te żydowskie mytyngi. Tfu! A teraz co? Jak wzięli, tak już żywej nie wypuszczą. A pani, to chyba nie wyżyje z desperacji! Jedna chora leży, druga siedzi w turmie! Jezus, Marja, Józefie Święty! Ot, przyszło się, człowieku — hodowała, hodowała — a teraz pociechę ma...

— Nie wie Agata, gdzie ojciec poszedł? Trzebaby dać mu znać... Może być i tu u nas rewizja...

— Jezus, Marja! Rewizja! Trzeba srebro gdzieś schować...

— Niech Agata nie myśli o srebrze. Tu nagwałt trzeba ojcu dać znać. Gdzieżby on mógł być?...

— Gdzie? Wiadomo — u pani Żukowej. On że tam ciągiem siedzi... Niech panicz pobiegnie — a ja pani popilnuję...

Ale Julek ani myślał biec. Stał, jakby nagle rażony gromem. U pani Żukowej... ojciec? Teraz, w nocy... gdy dzieją się takie straszne rzeczy, gdy Bronkę zabrali, i mama mdleje, i Munia chora, i świat cały się wali... Ojciec u pani Żukowej... Co to jest? Dlaczego? Czemu nie jest tutaj? On, opiekun, głowa rodziny. Czemu nie jest na swem stanowisku?

Co to jest? Co się dzieje?

U pani Żukowej...

Nagle oczy jego spotkały się z oczami matki. Patrzyła na niego całkiem przytomnie. Rozumiała. Wiedziała już może...

Zapanował nad sobą. — Nie, ja przy mamie zostanę — rzekł — niech Agata biegnie po ojca. Prędko!

Rozzczochrana postać Agaty rozplynęła się w mroku. I nastała cisza.

Ewelinka, w pół leżąca na sofie, oddychała ciężko. Nie rozumiała jeszcze, nie mogła pojąć. Bronka aresztowana — Stefan u pani Żukowej. Co to wszystko miało znaczyć?

Z trudem i bólem starała się połapać myśli. Ale wszystko dokoła niej kręciło się, wirowało. Nie mogła zrozumieć...

A z pokoju Muni doleciał krzyk: — Mamusiu! Djabeł, czarny djabeł! Mamusiu ratuj!

W jednej chwili wróciły siły. Zerwała się i, zataczając się, pobiegła do chorego dziecka.

Julek został sam. W duszy wyła mu rozpacz — młoda, bezgraniczna, zda się. Pierwsza rozpacz życia. Bronka wzięta za sprawę... nie własną, nie tę rodzoną, za którą to »słodko jest umrzeć«. Bronka wzięta i może na wieki zgubiona. Tu, w domu matka tylko cierpieć umie, ale nie zrozumieć, ni odczuć. — A ojciec — u pani Żukowej! O wstydzie! O wstydzie!

A na świecie co?

Julek oparł czoło o zimną szybę i wpatrzył się w czarną otchłań ulicy. W duszy wyła mu rozpacz.

Gdy się zjawił ojciec, przyprowadzony przez Agatę, a matka, uspokoiwszy cokolwiek Munię, wyszła z jej pokoju, Julek musiał opowiedzieć szczegółowo o tem, co zaszło. Właściwie stało się to, co stać się musiało. Bronka od samego początku należała do organizatorów, była wszędzie, ruszała się, agitowała, przemawiała na wiecach, śpiewała pieśni. Nic dziwnego, że ją zauważono. I dziś także był wiec w sali publicznej, na którym ona kilka razy przemawiała. Potem udała się wraz z innymi organizatorami do czyjegoś tam mieszkania, pewnie dla dalszych narad. Wtedy mieszkanie to otoczyli...

— Jakżeż ona mogła to wszystko robić bez pytania?... bez pozwolenia?... — jęknęła Ewelinka.

Na twarzy Julka ukazał się półuśmiech trochę smutny, trochę ironiczny.

— I cóż dalej? Cóż dalej? — pytał Stefan.

— Niektórych wzięto: Pawła, Bronkę, jeszcze paru. Kilku zdążyło uciec.

— A ty?

— Ja tam nie byłem — na wiecu tylko. Nie należę do nich. Od początku nie zgadzałem się na ich zapatrywania. Bronkę zaciągnął do partji Paweł, bo dawniej ona była nasza. Dziś chodziłem z Zaleszczyńskim po ulicy i widziałem. Poszliśmy za nimi. Wiem, gdzie ich zaprowadzono.

Dreszcz przebiegł po twarzy Julka. Zamilkł.

Zamilkli rodzice.

Cóżby więcej mogli powiedzieć sobie?

Odtąd zaczęła się męka. Męka niepokoju, wyciekowania, niepewności, ciągłej nadziei, ciągłego zawodu. Męka, którą każdy z członków rodziny inaczej odczuwał, a znosić musiał samotnie, bez żadnego z innymi podziału.

Inaczej cierpiał Stefan, dotknięty nie tylko w ojcowskich uczuciach, lecz i w ambicji swej. Musiał chodzić, robić starania, wystawać po przedpokojach, czuć się na łasce tych, których nienawidził. Złe mu się wiodło wszędzie. W sprawie Bronki można było oczekiwać jak najgorszych rezultatów. Sprawy ogólne płatały się coraz bardziej; najrozmiaćciej o nich sądzono. Sam nie wiedział, z czego się ma cieszyć, a z czego smucić. A równocześnie piękna pani Żukowa czegoś się rozkaprysiła — widocznie rewolucja i jej nerwy rozstroiła. Stosunek ich, taki dotychczas pełen najczarowniejszych chwil, zaczynał się rwać. Czuł to coraz wyraźniej. Drażniło go to i bolało i dolewało ciężką kroplę żółci do pełnego już i tak kielicha. Widział, że się zbliża koniec

ich »sezonowej miłości« i to właśnie wtedy, gdy tak właśnie potrzebował przy kimś miłym zapomnieć o domowych biedach. Ach, czemuż zabrakło mu Iny? Czemuż nie było jej teraz właśnie, gdy tak strasznie czuł się samotny? Żona bowiem była mu bardziej, niż kiedykolwiek obcą. Wszystkie nieszczęścia nie zbliżyły ich do siebie — przeciwnie od strasznej owej nocy ona stała się dla niego zimna i nieprzystępna. Musiała chyba coś wiedzieć — czegoś się domyslać.

Inaczej cierpiała Ewelinka, upadająca wprost pod waląciami się na nią krzyżami. Drżała o córkę. Widmo jej bladej twarzy, wyglądającej z za więziennych krat, prześladowało ją przez dzień cały, a w nocy zamieniało się w trapiącą zmrę. Widziała krew. Słyszała jęki. Zdało się jej, że Bronka ją woła, że o ratunek prosi. Zrywała się ze snu i biec chciała. I z łkaniem opadała na poduszki, modląc się i płacząc. Sen odlatywał. I przez długie godziny leżała w ciemnościach, myśląc, przewidując, wspominając. I znikąd nie było pociechy. Mąż? Och, nie chciała już o nim wiedzieć. Wyrzucała go z serca swego i myśli, jak się wyrzuca niepotrzebne a zbrudzone narzędzie, które już przecie spełniło swoje zadanie, a dziś jest zawadczące i wstrętne. Niech sobie idzie do swoich kochanek — mówiła w duchu, patrząc na śpiącego obok niej. — Niech sobie idzie z tego domu mojego, który tak starałam się ustrzec od wszystkiego zła i grzechu. Całe życie o to się starałam — i nie ustrzegłam.

Nie, zło i grzech wtargnęły do tej tak pilnie strzeżonej twierdzy i w niej zapanowały. Cała jej onota, całe poświęcenie dla rodziny nie przydało się na nic. Nie pa-

nował tu Bóg i najświętsze Jego prawo, lecz chyba szatan we własnej osobie. Szatan w postaci kobiety opętał Stefana. Szatan skusił biedną Bronkę. A teraz, ach! coraz wyraźniej to czuje — zasadzki stawia na duszę i umysł Julka.

Bo, że działo się z nim coś dziwnego, Ewelinka czuła to dobrze. Ale co? — nie mogła zrozumieć. Zapadł on w jakieś dzikie, ponure milczenie. Zdawało się czasem, że upada pod brzemieniem strasznym melancholji, smutku, czy rozczarowania — czasem unosił go jakiś dziwny ogień wewnętrzny. Zamykał się w swoim pokoju i coś do siebie przemawiał, albo uciekał z domu, niewiadomo dokąd. Na wszelkie zapytania dawał wymijające odpowiedzi. Sam odzywał się tylko w razie konieczności. Widać niemal było, jak po tem jasnym dotychczas czołe kłębią się myśli nakształt głodnego robactwa i wyjadają zeń mózg i krew, myśli bólem nabrzmiały i grozą...

Sprawa Bronki wlokła się bez końca, i wcale nie można było przewidzieć, jak się obróci.

Tymczasem tu blisko uspokoiło się cokolwiek, wróciło życie mniej więcej do zwyczajnego trybu. Nawet jakieś promyki nadziei zaczęły przeświecać na wzburzonym niebie. Grzmiało jednak wciąż z głębi chmur, padały gromy, i tam w oddali lała się krew. Rozkołysane fale uczuć i aspiracyj nie mogły wrócić do codziennej, szarej prozy życiowej. Wśród młodzieży wrzało wciąż. Czego chcieli »dzieci«? Tego starsi nie wiedzieli, gdyż nie zwykli brać w rachubę ich zachceń, ani pytali o to, co one myślą.

W rodzinę Glińskich uderzył cios, wychodzący całkiem ze zwykłego porządku: Bronkę wzięto. Około tego

faktu skupiały się myśli rodziców. Co zaś działo się z Julkiem, o to nikt się nie troszczył. Jeśli wśród bezsennej nocy Ewelinkę ogarniał niepokój i o niego, jeśli w wyobraźni swej ujrzała skradającego się ku niemu złego ducha, to mówiła dziesiątek różańca na jego intencję, a nazajutrz przy dzieńdobry gładziła jego ciemną głowę, schylając się do jej ręki, i mówiła stroskanym głosem: — Oj, Julku, Julku, co tobie? Czegoś ty tak blady i jakby nieswój? Czy, broń Boże, nie wlałeś także w jakie głupie ideje, tak jak biedna Bronka?

Gdy jednak zdarzyło się raz, że on jej trochę niecierpliwie odpowiedział na to: — Ależ, moja mamó, każdy dziś musi mieć swoje ideje. Trudno — wobec tego, co się dzieje na świecie, siedzieć z założonymi rękami — ona oburzyła się bardzo i wylała na niego cały potok słów, w których dowodziła mu czarno na białem, iż dzieci nie powinny mieszać się do polityki, lecz robić swoje, uczyć się pilnie i dbać o skończenie nauk, bo rodzice nie poto pracują, troszczą się, poświęcają i od ust sobie odbierają, aby one głupimi ideami się bawiły, lecz poto, aby z nich byli ludzie.

Wobec tych słów, dobrze mu znanych, Julek zaciął zęby i milczał, śpiesznie kończąc śniadanie. Lecz gdy nadszedł ojciec i także — może spokojniej i poważniej, ale również stanowczo — zaczął przekonywać go o niebezpieczeństwie wdawania się w »te sprawy«, Julek spojrzał mu prosto w oczy i odpowiedział:

— Nie leży w charakterze ani w tradycji Polaka usuwanie się od niebezpieczeństwa. A ja Polakiem jestem. Niech ojciec o tem pamięta.

Stefan się stropił. Może dumna odpowiedź chłopca

poruszyła w nim samym, jakąś boleśnie drgającą strunę. Zamilkł — i zcichła westchnął.

Po chwili jednak zaczął jakby z pewnem zakłopotaniem:

— Nikt nie chce stawiać ci przeszkód, ani cię kępować, Julku, w tem, co uważasz za dobre. Owszem, to wszystko jest bardzo piękne. Tylko — rozumiesz — chodzi o to nieszczęsne gimnazjum. Obiecuj przynajmniej, że nic takiego nie zrobisz, co by to skończenie miało utrudnić. To przecież takie ważne. Tobie samemu przecież o to chodzi... Prawda? Obiecuj...

Julek wstał z krzesła, wyprostował się. Jak wysokim, jak dorosłym wydał się już w tej chwili. Błada jego twarz miała wyraz męskiej powagi, usta zacięły się stanowczo i błęko, surowe zmarszczki legły mu na czole. Tylko oczy wyjaśnione były jakimś dziwnym światłem, jakby skądś z głębi bijącym, jakimś promieniem ciepłym. A głos jego był cichy, ale, jak stał, nieugięty, gdy odrzekł, patrząc wprost ojcu w oczy:

— Nie, ojczu. Tego nie obiecuję. Tego obiecać nie mogę.

Wyszedł.

Stefan z ciężkiem westchnieniem spuścił głowę na piersi. Ewelinka coś na pół z płaczem mówić zaczęła.

I znowu troska, nowa trwoga nad ich rodzicielskimi głowami zawisła.

Przypuszczenia zamieniły się wkrótce w rzeczywistość. W gimnazjum i w kilku innych szkołach wybuchł naraz strajk uczniów Polaków, którzy zażądali polskiego wykładu. Juljusz Gliński był jednym z organizatorów strajku. Widziano go, jak rozdawał kolegom

broszurki, znaleziono u niego bruljon odezwy: Do Młodzieży. Wreszcie on to wraz z paru innymi ośmielił się owo żądanie przedstawić władzy.

Przekonany o swej występnej akcji i nie zapierający się bynajmniej, owszem, przyznający się do niej z podniesionem czołem, Juljusz Gliński, został uznany za element szkodliwy i dla przykładu wydany z gimnazjum bez prawa wstępu do jakiegokolwiek szkoły w granicach państwa.

Jakkolwiek rezultat taki był już przewidywany w rodzinie, cios był dotkliwy. Ewelinka wybuchnęła płaczem i wymówkami. Narzekaniom nie było końca.

Stefan spokojniej to znosił. Lecz i on nie mógł ukryć niezadowolenia i niepokoju o przyszłość.

— Cóż jednak myślisz robić dalej? — pytał Julka.

I, gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, bo sam Julek jeszcze nie wiedział, co robić dalej, irytował się, zżymał i, wzięwszy kapelusz, wychodził z domu.

Niestety, już nie miał ani Iny, któraby tak umiała dzielić każdą jego troskę i potrafiła nieraz dać stosowną i mądrą radę, ani nawet pani Żukowej, która w inny sposób dawała mu chwilowe zapomnienie. Ona bowiem, przerażona wypadkami w kraju, skorzystała z pierwszej możliwości i, zabrawszy Grażynę i miss, wyjechała do Włoch na czas nieokreślony. Stefan więc wśród bied swoich i kłopotów był zupełnie samotny. Gdy przyszła na niego zła chwila, gdy atmosfera domowa stawała się zbyt duszna, wybiegał na ulice i błądził po nich bez celu.

Julek po długich namysłach i naradach z kolegami, a zwłaszcza równie wydanym Zaleszczyńskim, postanowił wyjechać tymczasem do Warszawy, a potem za-

granicę. Ułożyli sobie, że dokoła wszystko uspokoi się wkrótce, że sprawiedliwość zapanuje, że wstanie nowa zorza nad skołataną ojczyzną — wówczas szerokie przed każdym z nich otworzy się pole pracy publicznej dla Niej. Tymczasem walce o przyspieszenie tej chwili należało poświęcić siły. A potem, potem, gdy już zapanuje szczęście i ta jasność spodziewana, gdy już wydzwoni godzina Triumfu, będzie można i o sobie pomyśleć. Wtedy skończy on jakąś szkołę agronomiczną, osiadzie w Zambrodziu i na własnym zagonie, z ludem i dla ludu pracować będzie. Do wsi i roli zawsze czuł pociąg wielki, kariery innej nie pragnął.

Po rozmowie z ojcem stanęło na tem, że bądź co bądź wyjechać musi. Po tem wszystkiem, co zaszło, siedzieć tu beczynnie było niepodobieństwem. Rodzice, bezradni wobec tego, co się działo, musieli się zgodzić na jego wyjazd.

I pewnego dżdżystego wieczoru marcowego odprowadzono Julka na kolej.

Była chwila melancholji pełna i smutku, gdy na peronie przed okienkiem wagonu trzeciej klasy stanęli oboje rodzice, aby chłopca, jadącego w świat, pożegnać. Pociąg dyszał już i sapał i rwał się do biegu. W okienku białała twarz młoda, wzruszona i drgająca, z zaciśniętymi ustami, i błyskały rozpalone oczy. Przed nim stali rodzice: ojciec, postarzały nieco w ostatnich czasach, przygnębiony już trochę, z obwisłym wąsem, matka, ciężka i niemodna, w odwiecznym jakimś płaszczu, a teraz splakana, kryjąca co chwila twarz w chustkę i znów podnosząca wzrok na syna, na to dziecko pierworodne, mlekiem własnej piersi karmione, hołubione w objęciu,

hodowane w trudzie i męce, ukochane każdą cząstką, każdą fibrą swej istoty, a teraz nagle oderwane od rodzinnego pnia, rwące się precz z rodzinnego domu, rozwijające skrzydła własne i wylatujące na nich w ten nieznanym, daleki, ciemny i ponury świat. Wylatujące poco? Po szczęście, czy po niedole? Po życie szerokie i bujne, czy po śmierć?

Milcząc, popłakując patrzała matka w twarz chłopca swego. A w sercu miała taki ból, jakby jakaś jego część oddzierała się, oddzierała powoli, krwawe strzępy za sobą zostawiając.

Zadzwoniło, gwizdnęło, załomotało. I okienko z bladą w niem twarzą zaczęło się poruszać — sunąć zwolna ku ciemnościom nocnym, ku tej nocą objętej przestrzeni, ku tej ziejącej chłodem otchłani czarnej.

Ku tej niewiadomej przyszłości.

Matka jęknęła. Podniosła rękę i krzyżem świętym żegnała ukochaną głowę.

Pociąg zapadał w noc.

XIX.

Po odjeździe Julka jeszcze większa cisza i melancholja zapanowała w domu Glińskich. Puste było po nim miejsce, jak po umarłym. Tylko fotografia została na stole, i z niej patrzyły jego poważne, błyszczące oczy.

Myśli zwróciły się tem usilniej ku Broni. Pół roku prawie ubiegło do końca, jak ją wzięto, a sprawa się wlokła, nie wychodziła z okresu śledztwa, i nie było wcale wiadomo, kiedy i jak się skończy. Na odwiedzanie jej nie zgadzano się wcale, wiadomości od niej nie dochodziły żadne; wolno było raz na tydzień przynosić bieliznę i trochę prowiantów. Głucha cisza zapanowała dookoła niej.

Ale cisza ta tem bardziej szarpała nerwami matki i doprowadzała ją do rozpacz. W wyobraźni swej widziała wciąż Bronię smutną, chorą, wycieńczoną, narażoną na grubiaństwa otoczenia, krzywdzoną może, bliską może szaleństwa... Słyszała przez grube mury więzienia jej płacz, jej wołanie: — Mamo! Mamo! ratuj mnie!

A ratunku nie było. Nie było nawet odpowiedzi na żadne pytania, i wszelkie prośby zbywano milczeniem. Stał mur wysoki i głuchy, i nie było w nim najmniejszego wyłomu.

Wiosna już nadchodziła. Dnie stawały się dłuższe,

niebo błękitne, a wiatr przynosił z południa ciepłe i wonne podmuchy.

Ale wiosna to była smutna w domu Glińskiego. Znikł sen młodości i radości. Tylko mała Munia po wyjściu z ciężkiej choroby dzieciennym głosikiem rozweselała czasem za duże dziś mieszkanie. Dla niej i na ustach rodziców zjawiały się niekiedy uśmiechy.

Munia wróciło zdrowie, ale wymagało ono wielkiej troskliwości i ciągłego czuwania. — Powietrza, powietrza jaknajwięcej — powtarzał doktor Bilczyński. Więc gdy pogoda była możliwa, szła sama Ewelinka z Munią na długie, zamiejskie spacer. Po topniejącym śniegu brnęły odważnie brzegiem rzeki, bawiąc się obserwowaniem płynącej kry, szumem wezbranych wód. Z wycieczek tych Munia wracała rzeświejsza, z rumianą buzią i z lepszym do obiadu apetytem.

Właśnie gdy pewnego poranku wracały do domu, niosąc pęki wierzby, na której ukazały się już »kotki«, jakieś głosy zmieszane dochodziły do nich z przedpoкою, i w odpowiedzi na dzwonek otworzyła im drzwi... Bronia.

Stała przed niemi we własnej osobie. Inna trochę od dawnej Broni — chudsza, wyższa, z niedbale zawiniętym dookoła głowy warkoczem, jakby postarzała przez te kilka miesięcy więziennej atmosfery.

Po pierwszych okrzykach, uściskach, zapytaniach, po kilku łzach wylanych, po radosnych skokach Munia i obcałowaniu swojej »Bronichy« kochanej — nastąpiło wytłumaczenie. Właściwie tłumaczyć nie było co. Ot, po prostu, ni stąd ni zowąd przyszła dziś rano »nadzira-tielnica« i kazała iść z sobą do kancelarji. Tam władze

oświadczyły jej, że jest wolna i że może w tej chwili iść sobie w świat. Nie rozumiejąc, co się stało, nie dowierzając jeszcze, wróciła do celi po swoje rzeczy i tam zastała już »starszą«, która ją napędzać zaczęła, aby się co najprędzej zbierała i wynosiła. Nie ociągała się wcale, zawiniątko swe prędko sporządziła, wsadzono ją do dorozki, wożono jeszcze po różnych urzędach i kancelarjach, a wreszcie powiedziano »stupajcie«. I oto jest. Co się stało? Dlaczego? Jak? Co to wszystko znaczy? Nie wie i nie rozumie. Wie tylko, że ma przed sobą wolną przestrzeń, a nie mury i kraty, że nie widzi przed swem oknem stojącego dzień i noc szyldwacha z nabitą bronią, że jest już w domu, wśród swoich — a nie tam... nie tam.

To mówiąc, rozplakała się Bronia, pomimo, iż do roztkliwiania wcale skora nie była. I przytulona do matczyńskiej piersi płakała długo, rzewnie.

Zdało się przez chwilę Ewelinie, że dziecko to zbłąkane, wprowadzone na złą drogę, obalamuczone przez złych ludzi, może i przez złego ducha opętane chwilowo, wróciło teraz duszą i ciałem do rodzinnego gniazda — i już zeń nigdy wylecieć nie zechce. Zdało się przez chwilę, że ta płacząca dziewczyna — to ta sama dawna Bronia, ta sama córeczka droga, co żywością swą, we-selem i szczebiotem i figlami kładła taką jasną nutę w rodzinnym akordzie.

Przez chwilę tak się Ewelince zdawało.

Wszakże prędko iluzja przysła. Bronia wróciła, ale już nie ta. Po pierwszych wzruszeniach, po wylaniu pierwszych wrażeń zamknęła się ona znowu w sobie, stała się znowu zimna, nieprzystępna i tajemnicza. A że

nerwy jej, cokolwiek nadszarpnięte przez to wszystko, co przeżyła, nie umiały panować nad sobą, więc wybuchała co chwilę jakimś zażaleniem, oburzeniem, pretensjami, gniewem lub ironją i stawiała się dla wszystkich w domu, a zwłaszcza dla matki, nieznośną. Rola, którą odegrała w pewnym kółku, aureola, którą słusznie czy niesłusznie zdobyła, przewróciły jej nieco w głowie. Czula się o całe niebo wyższa od swego otoczenia i nie żenowała się wcale, aby to zaznaczyć przy każdej sposobności. Arogancja, do której zawsze była skłonna, wybujała teraz ponad wszelką miarę. Przewrotne zaś i »skrajne« jej pojęcia bynajmniej nie złagodniały w więziennej samotności, lecz owszem zaostrzyły się, spotężniały i przybrały cechy dogmatów niewzruszonych i obowiązujących dla całego świata.

W takim nastroju musiały wybuchać nieustanne zatargi z otoczeniem, a już najbardziej z matką. Kochały się, ale żyć z sobą nie mogły. Ewelinka nie mogła się zdobyć na żadną wyrozumiałość, ani wiedziała, ani wiedzieć chciała, co myśli i czuje Bronia. Spodziewała się po niej żalu, skruchy, uznania błędów swoich i obietnicy, że się z nich poprawi i że już nigdy, nigdy rodzicom troski przyczynić nie zechce. Miała natomiast przed sobą dziewczynę bardzo pewną siebie, dumną z tego, że cierpiała dla sprawy, że, choć tak młoda, stała już na jakimś świeczniku, traktującą rodziców, otoczenie ich i całe swe dawne życie, jako »burzujstwo wstrętne«, do którego stosować ani wracać nie śniło jej się nawet — dziewczynę wykołejoną, do czegoś jeszcze się rwącą, ale zmęczoną, rozdrażnioną ze wszystkiego, a nie wiedzącą, czego chce i do czego dąży.

Ewelinka tego wszystkiego nie mogła umysłem swym objąć ani wyrozumieć. Irytować się, cierpieć, napominać i modlić się o nawrócenie — to umiała jedynie.

Bronka zaś naprawdę czuła się wykołejona. Przeżyty okres gwałtownych wzruszeń, szału, nadziei, gorączkowej czynności, potem tymczasowość więzienia śledczego, igranie własnem i cudzem życiem, myśli zwrócone ku jakimś celom dalszym, oderwanie od codziennego deptaka, od tej szarej prozy, podbudzona ambicja, napięte przez dłuższy czas struny uczuć — to wszystko musiało w niej wzbudzić zamęt nie do opisanania i z utworzonych, zwykłych dróg sprowadzić. Teraz skończyło się. Sprawa jej była umorzona, towarzysze i towarzyszki rozproszeni po świecie. Paweł, główny jej przewodnik, zesłany gdzieś daleko. Ona pozostała samotna. Tamto zapadało się coraz bardziej w przeszłość, coraz podobniejsze się stawało do snu gorączkowego, pełnego zgrozy i dręczących mar, a jednak i dawne życie było na wieki pogrzebane. Wpadało do czegoś się zabrać, jakieś nowe istnienie sobie stworzyć, czemś być. A nie mogła już być dawną Bronią. Dusza jej wpatrzyła się w szersze horyzonty, wciąż do nich tęskniła. Skrzydła młode, choć przysmalone nieco w płomieniach rewolucyjnego pożaru, nie łamały się bynajmniej, rwały się i trzepotały do samodzielnego lotu. Tęsknota ogarniała ją za czemś wielkiem i pięknem. Praca, nauka, sława się majaczyły — i ciągnęło ją w świat — w dal — wzwyż.

Nadeszło lato, i wcześniej, niż zwykle, ze względu na zdrowie Muni, Ewelinka z córkami znalazła się w Zabrodziu. Tam nuda i rozpacz ogarnęły Bronkę.

Matka.

Wspomnienia przeszlorocznych wakacyj cisnęły się jej do serca. Gdzie był Julek, brat ukochany, z którym, czuła, że teraz możeby lepiej, niż wówczas, zgodziła się w poglądach. Gdzie był Paweł, ten, który pierwszy otworzył przed nią drzwi, prowadzące z domowego ogniska na nowe drogi, szerokie i słońcem wolności zalane, który myśl jej pchnął naprzód, a może, może sercem zatargał. Gdzie byli oni?...

Nawet Grażyna, entuzjastka kochana, przyjaciółka lat dziecińczych, nawet ta znikła.

Samotność duchowa, bezczynność i straszne poczucie obcości i jakby oddalenia zaczęły Bronię ogarniać. Czuła, że dzieje się z nią coś złego, że musi znaleźć jakąś deskę ratunku i za nią się uchwycić, bo inaczej zginie. Intuicją tknięta wróciła do swych ulubionych dawniej książek, a z nich powstały snute dawniej marzenia — i znów zaczęła myśleć o nauce, o zupełnie jej się oddaniu. Zapragnęła gorąco wstąpić do któregoś z zagranicznych uniwersytetów na wydział przyrodniczy.

Jak wszakże do tego dojść? Jak zamiar ten w czyn wprowadzić? W tej ciężkiej rozterce przyszła jej na myśl ciotka Ina. I pewnego wieczora, zamknąwszy na klucz drzwi swego pokoju, usiadła przy stole i jednym tchem napisała taki list:

Ciociu droga, ratuj mnie. Od kilku dni noszę się z tą myślą, co mi, jak ćwiek, w głowie utkwiała, że ty jedna, Ciociu, możesz mi dopomóc. Chodzi o to, że ja tak dłużej nie mogę siedzieć w domu. Ja nie chcę tak żyć i nie będę. Ja muszę czemś być i coś robić na świe-

cie. Po tem wszystkiem, com przeżyła (Ciocia słyszała, nie chce mi się opowiadać), czyż podobna sięść w domu grzeczniutko, brać może lekcje śpiewu lub malowania na porcelanie, no, niech tam kroju czy buchalterji, bo teraz moda na praktyczność, chodzić na msze i na rekolekcje panieńskie — wogóle tak zabijać czas, aż mąż się znajdzie? Nie, Ciociu! Tak żyć, to niemożliwe. Przyznaję teraz, że może te idee, które mnie pociągnęły, nie są bez zarzutu, i że może wszystko dla nich poświęcać to niewłaściwe, czy niepraktyczne. Może... nie wiem jeszcze... I właśnie chcę to zrozumieć, zbadać, bo przecież to dla nas kwestja być albo nie być. Może nie trafiłam od razu na najlepszą drogę? Czy ja wiem! Ale w każdym razie, Ciociu, to, do czego się zwróciłam — to warte pokłonu. Była to idea, wzlot ku górze, a nie tutejsze gnicie. I ja, Ciociu, już bez tego żyć nie mogę!

Od jesieni muszę coś dla siebie obmyśleć koniecznie. Już mnie panieńskie rozrywki zadowolić nie mogą. Gdyby jeszcze nasz dom był znośniejszy. Ale jest w nim poprostu nie do wytrzymania. Ojciec ani wie, co się w nim dzieje, tem bardziej teraz, gdy Julka niema. Mama i my dwie jesteśmy dla niego poprostu baby, i tylko wtedy sobie o nas przypomina, gdy trzeba dać pieniędzy na życie. O mnie, póki siedziałam w więzieniu, i coś mi groziło, troszczył się bardzo. Ale teraz »Chwała Bogu, skończyło się szczęśliwie«, a że tam przewrócone cokolwiek ma w głowie — to cóż robić, wiadomo: »bujność to durność«. — Wyjdzie, da Pan Bóg, zamąż — to i uspokoi się. Zresztą, niema czasu myśleć o takich drobnostkach, bo trzeba zarabiać na chleb dla tychże »bab«.

Mama? — Ciotka przecież zna Mamę i wie, jaka

ona jest. Cóż może być wspólnego między nią a mną? To, że się kochamy? Nie, to nie wystarczy. Kochanie — to nic. To może gorzej, niż nic, bo to są kajdany, kiedy przyletem niema porozumienia i myśli wspólnej. A z mamą nie łączy mnie żadna, żadna wspólna myśl. Ideały mamy dawno przestały być moimi. A mama o moich nawet wiedzieć nie chce. Potępia je zawczasu »en bloc«. I tem bardziej stara się mnie »nawrócić«. Ach, Ciociu, to nawrócenie to i przykre i nudne, drażniące i śmieszne. Co tam nawet mówić o tem.

Z tego wszystkiego wszakże wypada, że muszę wyjechać z domu. Chciałabym czegoś się uczyć, a potem zarabiać na siebie i być niezależną. Marzą mi się wciąż nauki przyrodnicze — wogóle Nauka. Ach, Ciociu, gdyby się temu oddać zupełnie... zupełnie... Inaczej czuję, że lada kto: pierwszy lepszy spotkany agitator znowu mnie pochwyci i pchnie, dokąd zechce. O ile teraz widzę, bodaj, że tak było z panem Pawłem. (Cioci jednej to mówię). Polecałam za nim, jak óma za światłem, bo w każdym razie on wniósł światło w tę straszną szarą i zmrok naszego domu. — Wniósł jakiś element siły i czynu. A do tego tęskniłam, i to mnie odurzyło. I zaprowadził mnie — może niezupełnie tam, gdziebym ja sama poszła, gdybym rozumowała spokojnie. Julka, któregość do czynu miała jakieś takie ujście w życiu koleżeńskim, Paweł nie zdołał ołśnić i pociągnąć tak, jak mnie! On mógł sądzić i rozważać. Ja — nie. Rzuciłam się w ten wir z zamkniętymi oczami. Byle tylko czuć, że żyję.

Czysty traf, że się tak skończyło. Wszakże mogłam to przypłacić całem mojem życiem.

Więc, Ciociu droga, trzeba mię ratować. Jeśli kto, to Ciocia mnie zrozumie. Ciociu droga, zrób cokolwiek dla mnie, bo mi teraz tak źle, że wytrzymać nie mogę. Całuję ręce najdroższej Cioci i czekam ratunku

Bronka.

W odpowiedzi na ten list Ina zapowiedziała przyjazd swój w końcu lata. I rzeczywiście przybyła. Sprawa »wyzwolenia« Bronki wytoczyła się przed rodzicielskie forum. Były płacze, były żale i skargi, były ciężkie westchnienia, wyrrywające się z piersi Stefana, były wygłaszane aforyzmy: »Córka powinna być pod skrzydłem matki«, i »miejszem kobiety jest dom rodzinny, a jej powołaniem zamążpójście i macierzyństwo«; były wymówki i badania nad niewdzięcznością dzieci, były zniecierpliwione uwagi Bronki, że wcale nie prosiła, aby ją na świat wydawali, i za to nie jest obowiązana do wdzięczności, były spokojne dowodzenia Iny, że świat na miejscu nie stoi i że każde pokolenie różne ma chęci i wymagania. Była wreszcie zrezygnowana, smutna zgoda rodziców, poddanie się ich bezsilne narzucającemu się im z zewnątrz nakazowi.

Bronka wyjechała zagranicę i wstąpiła do uniwersytetu na wydział przyrodniczy.

Drugie już z kolei dziecko odrywało się od macierzystego łona i leciało o własnych skrzydłach w świat. Druga rana rozbolała i krwawiąca została otwarta w tem macierzyńskim łonie.

XX.

Na świecie zaczynało się uspakajać. Wracała cisza. Była to wprawdzie ta cisza, co panuje w więzieniach, gdy na korytarzach rozlega się jedynie ciężkie stąpanie dozorców, a w samotnych celach załamują się dłonie, wydiera się wzrok za okratowane okienko, usta coś szepczą, pierś łkaniem się wznosi, czasem pięść w przestrzeń pogrozi, ale już niema krzyku. Cicho i spokojnie. Taka to cisza i spokój panować zaczynały, pomimo nowej burzy. Strumienie wylanej krwi wsiąkały w ziemię, jako nawóz pod przyszłe żniwa. Kości bojowników rozkładały się w proch w swych zapoznanych mogiłach. Pod mroźnymi zorzami północy w szpitalach i cytadelach konali powolną śmiercią rycerze przyszłości i milczeli lub między sobą żarli się o to, kto zawinił. Ale było cicho, coraz ciszej. Ci, co się ostali, skłaniali nisko tak dumne niedawno głowy. I nie słyhać było zdławionych jęków, złorzeczeń i łkania, co się rwało z piersi tych, którzy tak niedawno szli z wiarą, że oto ostatni staczają bój. Nie było widać ich załamanych dłoni, ich pięści, grożących w przestrzeń, i zrozpaczonych oczu, które wznosiły się ku górze, szukając przestrzeni i błękitów, a odbijali się z bólem o więzienny mur. Nie widać ich

było i nie słyhać. I zwolna zapadali się oni i głoszone przez nich hasła, i wywołane przez nich widma w cień zapomnienia. Co sami przytem czuli, i czy dusze ich wpadały również w sen odrętwienia, czy też targała ich rozpacz? Nie wiedział o tem nikt.

Nie wiedział też nikt o tem, co czuł i myślał Julek Gliński wśród ogólnego uspokojenia. On, co swą przyszłość złożył w ofierze... Jej, on, co wierzył mocno w rychłe, w niezawodne Jej zmartwychwstanie. Nie wiedział o tem nikt, gdyż nikt go nie widywał, a z lakonicznych listów nic nie dawało się wywnioskować. Zresztą któż tam tak bardzo o to się troszczył, co on myślał i czuł. Chodziło o to, co robił. A nie robił on właściwie nic.

Minęło lat parę, a do żadnego zakładu ani w kraju, ani zagranicą nie wstąpił, o żadnej karierze zdawał się nie myśleć, żył niewiedomo gdzie i jak, obywając się szczupłą pensyjką, wyznaczoną mu przez ojca. Wprawdzie na napomnienia rodzicielskie odpowiadał, że wkrótce weźmie się do pracy, do nauki, że wkrótce coś o sobie postanowi, ale czas schodził, a on był wciąż jakby w powietrzu zawieszony na jakiejś słabej nitce oczekiwania i tymczasowości. Rodzice zaczynali być z niego niezadowoleni, i Stefan miał zamiar pojechania osobiście dla naocznego sprawdzenia i uregulowania sytuacji, zamiarowi temu jednak stawało coś ciągle na przeszkodzie.

Aż tymczasem pewnego wieczora zupełnie niespodziewanie Julek sam się zjawił. Było późno, i już układano się do snu w domu, gdy cichy dzwonek odezwał się u drzwi wchodowych, i stanął przed rodzicami tak od dawna niewidziany syn. Przez te lat parę zmienił się

prawie do niepoznania. Przedwczesne znużenie, jakby starość na tej tak młodej głowie. Ogniste dawniej oczy tępo na świat patrzyły, a usta nosiły wyraz bolesnego rozczarowania. Nie mówiąc nic, nie tłumacząc wcale swego nagłego zjawienia się, tulił się do matki, ojca ręce całował, Munię pieścił i gładził złote jej włosy. Zdawało się, że jakaś szalona tęsknota tu go przygnała, do gniazda, że chce tu spocząć przez chwilę, o czemś zapomnieć, po czemś wytchnąć, czułością się odurzyć, pieszczotą się pokrzepić, przytulić, a może pożegnać. Na zapytanie nie odpowiadał, o sobie nie chciał mówić, tylko zmęczonemi oczami wodził po twarzach, po ścianach mieszkania, po znanych sprzętach, jakby chciał duszę napaść swojskim widokiem. Nie słuchał prawie tego, co mu opowiadano — siedział milczący, wzruszony widocznie, zamknięty w sobie i w jakiejś dziwnej tajemnicy własnej.

Ewelinka nie wytrzymała. Po jakimś czasie rozpoczęła indagację. Co on robi? Czemu się nie uczy? Dlaczego nie myśli o przyszłości? Jakże ma zamiary?

— Mówże, Julku, co ty sobie myślisz? — Mów!

Usta jego poruszyły się, zadrżały. Ale nie wyszło z nich żadne słowo. Widać było, że choć może i miał co do powiedzenia, mówić, tłumaczyć, usprawiedliwiać się nie miał siły. Skłaniał nisko, coraz niżej głowę na piersi. Aż naraz osunął się na ziemię i oparł czoło o kolana matki.

Ona wciąż nalegała: — Julku! Powiedz. Mów cokolwiek. Uspokój nas! Co tobie?

Milczał, z twarzą ukrytą w fałdach jej sukni. Stefan w to się wdał. — Zostaw go, Ewelinko — rzekł —

potem pomówimy o tem wszystkim. Zmęczony jesteś, może niezdrowsz, Julku — i położył mu rękę na ramieniu. — Idź, wyśpij się w swym dawnym pokoiku, a jutro wstaniesz rzeświejszy, to pomówimy obszerniej. Dobranoc ci, chłopcze! Idź.

Odprowadzono więc Julka do jego pokoju, ucałowano, przeżegnano na dobranoc. Stefan i Ewelina odeszli, mocno zatruwani w oczekiwaniu tego, co jutro wyjaśnić się miało.

Lecz nazajutrz, gdy do późna na śniadanie nie zjawił się Julek, otworzono drzwi — pokoił był pusty, łóżko nietknięte.

Julka nie było.

Od szwajcara na dole dowiedziano się, że panicz o bardzo wczesnej godzinie zszedł na dół, kazał sobie drzwi otworzyć, zawałał dorożkę i na kolej odjechał.

Zaniepokojeni rodzice czekali listu, wytłumaczenia, powrotu może. Nie otrzymali od niego nic.

Lecz w kilka dni padł cios.

Był dzień wiosenny, pachnący i słoneczny, pełen bzów kwitnących i ćwierkającego ptactwa, gdy w obiedniej porze dzwonek znów zadzwieczał u drzwi Glińskich. Depesza to była z Warszawy, od Iny. A zawierała tych słów kilka:

»Z Julkiem nieszczęście. Żyje jeszcze. Przyjeżdżajcie zaraz. Ina«.

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem Stefan i Ewelina w towarzystwie Iny jechali z dworca do mieszkania, gdzie konał Julek, Ina w urywanych słowach opowiadała: »Widywałam go rzadko — wpadał czasem na

chwilę. — Był coraz smutniejszy, coraz bardziej zniechęcony tem, co się dzieje. Mówił mi kilka razy, że gdy ta próba zawiodła, to już niema nadziei i niema poczyć. Ale nie przypuszczałam — nie rozumiałam... nie, nie. O wyjeździe do was nie powiedział mi nic. Aż wczoraj pod wieczór przyszedł, siadł na kanapie — i długo, długo milczał. Próbowalam coś z niego wyciągnąć — nie chciał odpowiadać. — Był jakiś dziwny.

Nagle zerwał się — i tylko powiedział: »Przebaczcie mi«, i wyszedł. Byłam bardzo niespokojna. Ciągle mi stał w oczach. Więc późnym wieczorem zdecydowałam się pójść do jego mieszkania. Już na schodach spotkałam jakiegoś młodzieńca, zbiegającego pędem. Coś mnie tknęło. Spytałam, czy tu mieszka Juljusz Gliński. A on mi tylko krzyknął: — Zastrzelił się. — I poleciał dalej. Jego zastałam — ach straszne, straszne. Leżał na podłodze — cały we krwi... Zaczęliśmy go cucić. Przyszedł lekarz. Krew zatamowano. Otworzył oczy — poznał mnie. Powiedział: — Poco mnie ratujesz? Ja nie mogę żyć... — i stracił przytomność i teraz bredzi coś znowu bezustannie — ale trudno zrozumieć.

— I niema żadnej nadziei? — spytał Stefan ponuro.

— Lekarz mówi, że żadnej.

Na wąskim łóżku żelaznem, w podrzędnym pokoiku, leżał umierający Julek. Czarna jego głowa ostro się znaczyła na bieli poduszki. Oczy błyszczące, rozżarzone wśród przymkniętych powiek wybiegały umęczonym wzrokiem przez otwarte okno i czegoś tam — tam, w górze szukały. Ze świstem, ze zgrzytem, przedzierał się oddech przez rozdarte płuca — i raz wraz z piersi

wyrywał mu się kaszel, ból je na nowo szarpał, i wąski strumień krwi z ust zaczynał broczyć.

A mówił ciągle zdyszany, belkocącym głosem, śpiesząc się, jakby się lękał, że nie skończy. Mówił, sprzeczał się z kimś, dysputował, groził i zrywał się — i naraż opadał bez sił. I tylko oczy błyszczące szukały czegoś tam w dali.

Gdy matka przypadła z płaczem do nóg jego, nie poznał jej. Ale oderwał wzrok od nieba i ciekawie na nią spoglądał.

— Aha, to ty teraz płaczesz — zaczął mówić, zadyshając się, — a kiedy ja tobie mówiłem, nie zważaj na drobiazgi, nie daj się dzielić na partje, bo wszyscy w gruncie do jednego dążą. — Więc razem — do ramienia ramie. To ty tego nie chciałeś, nie mogłeś z burżujami, nie mogłeś z endekami, nie mogłeś z socjalistami. — A teraz masz! — Wszystko w łeb wzięło! — Pamiętasz, Zaleszczyński? — Mówiłem, że tak będzie, przepowiedziałem. Tam, tam, w sali wielkiej, natłoczonej — ach jak było pięknie. Braterstwo, miłość... Zdawało się, że już, już... O, boli... boli!...

Zakrztusił się, rozkaszał. Chwycił się za pierś. Zębami zgrzytał z bólu. Z ust buchnęła krew, w oczach miał przerażenie bez granic i rwał się gdzieś bieć. Wśród dławiącego kaszlu powtarzał:

»Muszę iść — muszę przecie. — Muszę im powiedzieć. Nie zatrzymujcie mnie«.

Wyczerpany, z wielkimi kroplami potu na skroniach opadł wreszcie na poduszki i leżał długą chwilę nieruchomy.

Zdawało się, że zasnął. Cisza nastała w pokoiku,

bo wszyscy zdrętwieli w oczekiwaniu. Tylko wróble na dachu hałasowały wciąż dalej.

Ewelinka, klęcząc u stóp łóżka, czuła wyraźnie, jak ta śmierć, na syna jej tu czyhająca, i ją razem obejmuje zimnemi ramionami, z głębi łona coś szponami swojemi wyrывa, wydiera. Czuła we własnej piersi ten ból prze-strzelonych jego płuc, to rwanie się na strzępy, to ucho-dzenie razem z krwią młodego życia. I czuła rozpacz bezsilną wobec tego, co się stało i co się odstać nie może, a coby, kto wie, dało się powstrzymać może, gdyby... gdyby... Ach, myśl ta była najohydniejszą katuszą. Całą swą istotą buntowała się przeciw niej. — Nie, nie, — niech będzie dopust boży — niech będzie, co chce. — Byle nie to, byle nie to... Rwała się w niej dusza, zamie-rała krew w żyłach w oczekiwaniu tego, co przyjść miało za chwilę i czego już nic... nic... naprawić nie zdoła.

Na usta wybuchnęły jej czasem słowa modlitwy, jakaś prośba błagania, lecz gasły niedokończone, błędne.

Julek się ocknął. I znów prędkim szeptem mówić zaczął: — Powiadasz, żebym wrócił? A gdzież ja mam wrócić, gdzie? Do domu? Cha, cha, cha! Chyba ty nie wiesz, jaki u nas dom? Matka do Sasa, ojciec do lasa — a nam dzieciom, co? »Był' po siemu! Cha, cha, cha!

Śmiał się zgrzytliwie, ostro. I nagle, jakby przeniosła się błądząca myśl jego w czasy dziecinne, zaczął powtarzać: — Tatusiu, tatusiu. Proszę bajeczkę. Proszę bajeczkę o strasznym smoku, co miał siedem głów, i o Krakusie, i o Wandzie. — Proszę bajeczkę.

Łkanie wyrwało się z piersi Stefana, do krzyku podobne. I chowając w chustkę oczy i usta zatykając, wypadł za drzwi. I uciekał.

A Julek mówił dalej: — A co, tatusiu — płosie bajeczke. I Bronka chce — i Julek chce. Tylko ty, Bronka, nie mów mamie... Nie mów, że my czwartaki... Bo zaraz zabroni. Był' po siemu. Cha, cha, cha. Prawda, Bronka, ty wiesz? — Chodź cichutko, pod sekretem. Pójdziemy razem na góry — na Trzykrzyżtą... Młodości! ty nad poziomy... I czegoż ty Bronka za Pawłem się oglądasz? Zakochałaś się, czy co? On nie nasz! Ja tobie mówię, ty z nami trzymaj. Zaleszczyński, powiedz jej — niech tam nie chodzi. Bronka, słyszysz? My czwartaki — my dla kraju, nie dla obcych. Pamiętasz, przysięgliśmy?... A zresztą teraz wszystko jedno. Wszystko przepadło. — Ona znów pogrzebana... I mogiła nad nią rośnie... ro-śnie. I my sami sypimy jej mogiłę... Zdraycy, zdraycy... Ach, dlaczego tak! dlaczego tak?...

Rękami za pierś się schwycił, załamał znów dło-nie i zapatrzył się w pogodne niebo. Usta jego szeptały jeszcze coś — coraz niewyraźniej, coraz ciszej.

— Żebym ja kogo miał... choć jedną swoją du-szę... tobym może wytrzymał. Ale niema nikogo — wszyscy zdraycy. I zimno — ciemno... Trzeba iść. Ale gdzież ja pójde?... I dlaczego tak?... Dlaczego tak?...

Z tem zapytaniem na ustach i ze wzrokiem, szu-kającym wciąż czegoś w błękicie, skonał Julek w cichą, jasną, miesięcznem światłem wysrebrzoną, od lasów pa-chnącą noc wiosenną. Z rozprutej kulą piersi wyleciało ostatnie tchnienie. Na wąskim łóżku pozostały zimne zwłoki tego, który już nie chciał żyć, bo nie mógł prze-bolec straty swych marzeń, a nie miał nikogo... ani je-dnej swojej duszy... i nie znalazł odpowiedzi na pyta-nie: — dlaczego tak?

Za trumną jego poszli rodzice, Ina, przybyła na wezwanie Bronka i grono przyjaciół, stronników, wielbicieli — i przeciwników nawet, których śmierć ta, to dobrowolne ustąpienie z życiowej areny do głębi wstrząsnęło.

I niejeden z nich, idąc za trumną, rzucił również przed siebie tragiczne pytanie: — Dlaczego tak?

A Ewelinka, blada i skamieniała, szła z wolna między mężem i Bronką, jeszcze nie rozumiejąc, nie chłonąc w siebie tego, co się stało. Tylko w jej uszach dzwigały wciąż ostatnie słowa konającego Julka: »Żebyś ja kogoś miał...« i jak rozpalonem żelazem przeszywały ją wskrós.

XXI.

Minęło lat dziesięć.

W domu Glińskich napozór się nie zmieniło. Meble stały na tych samych miejscach, te same obrazy wisiały na ścianach, te same firanki, tylko przycerowane nieco, ozdabiały okna. Tylko głowa Stefana przyprószyła się siwizną, i wysoka, chuda postać pochyliła się naprzód, a dokoła jego ust osiadło zmęczenie i grymas, jakby ze stałego wewnętrznego niesmaku. Tylko Ewelinki niegdyś świeża, liljami i różami jaśniejąca cera, jej niebieskie oczy i złote włosy, zda się, wypłowiwały. Czas żywy koloryt jej zżarł i pokrył szarością rysy, a złoto włosów przemieszał gęsto pasmami srebrnymi.

Od śmierci Julka, od ciężkiej i długiej choroby, w którą wówczas sama zapadła, nie powróciła ona już wcale do dawnego wyglądu, ani do dawnego usposobienia. Jakaś sprężyna w niej widać pękła, i odtąd maszyna jej życia szła wolniej i działała opornie bez dawniejszego rozmachu i siły, kto wie, może i bez dawniejszego przekonania i pewności siebie. Wróciła do swych zajęć, do rządów nad domem, ale dawna gorliwość w wypełnianiu tego, co nazywała swym obowiązkiem — to

już nie wróciło. Wprawdzie żadna z jej »zasad« ani drgnęła w ciągu długiego życia. Stała zawsze, jak pies wierny, na straży ogniska domowego, nagromadzonych przy niem skarbów i dogmatów. Ale nie było w niej owego poczucia nieomyślności w działaniu. Nie udało się jej z dziećmi — musiała to przyznać sama. Tragiczny koniec Julka, a i Bronki, choć świetna, lecz jakże nieodpowiednia do jej marzeń, kariery naukowa — to ją złało. Zachwiały się jej teorie. I już nie mogła całkiem dowierzać sobie. I w chwilach samotności wstawiała z głębi jej sumienia wyrzuty: nie, że dzieci swych sama nigdy nie starała się poznać i zrozumieć, lecz że nie potrafiła ich jeszcze pilniej i skuteczniej ustrzec od złych wpływów.

Bo w jej pojęciu złe wpływy jedynie tu były winne.

To też obecnie, gdy pozostała jej jedna tylko Munia, na niej skupiły się wszystkie jej marzenia, uczucia, cała siła i namiętność macierzyńskiego kochania. Munia stała się dla niej punktem środkowym wszechświata, a ustrzeżenie jej od złego jedynym celem życia. Jej się poświęciła zupełnie, nad nią czuwała, od wszelkich zewnętrznych wpływów chroniąc i strzegąc z zajądlnością niemal. Wychowaniem jej zajęła się sama, hołdując zasadzie: Lepiej, aby mało umiała, niż żeby miała przewrócone w głowie. W wyborze towarzystwa stała się ostrożna i wybredna do niemożliwości. Wszelkie druki, wchodzące do domu, zostały poddane ostrej cenzurze. Munia była otoczona nieustanną strażą, wprawdzie z czułością i pieszczotą najtkliwszą. Wszak było to najmłodsze, najukochańsze i ostatnie już dziecko — ostatni pęd młody na rodzinnem drzewie.

Tak Munia doszła do dwudziestu paru lat. Wyrosła na ładną, wysmukłą pannę, której słodki uśmiech, powłóczyście spojrzenie z pod ciemnych rzęs, wiotka postać i doskonałe ułożenie wzbudziło uznanie wśród wszystkich mam i ciotek, spotykanych w towarzystwie. Bo równocześnie ze »skończeniem wychowania« Muni, Ewelinka uznała za stosowne zawiązać trochę światowych stosunków i córkę »bawić«. To się należało jej młodym latom.

Na owych wieczorkach i »fixach« Munia poznała świat i miała szanse spotkania przyszłego małżonka. Danie córce tej sposobności było obowiązkiem matki. I obowiązek ten Ewelinka spełniała sumiennie.

Munia, wdrożona do bezwzględного posłuszeństwa, a z natury bierna, nie oponowała temu bynajmniej. Owszem, z przyjemnością wzięła na siebie rolę panny na wydaniu i grała ją bez zarzutu. Ubrana gustownie, zalotna w miarę, uprzejma, z towarzyszkami przyjacielska, nie produkująca żadnych niebezpiecznych teorii, pełna cnót domowych w zarodku, ładnie śpiewająca, umiejscawiając sobie bluzkę, a biednym dzieciom sukienki, pełna uszanowania dla starszych, pełna też najświętszych zasad — była, zdawałoby się, idealnym materjałem na żonę.

A jednak, pomimo kilku już lat takiego życia, do małżeństwa jakoś dojść nie mogło. Ten i ów podsunął się, zaawansował, poflirtował, ale, po bliższem rozpatrzeniu się w sytuacji, wycofywał się dyskretnie. Słodki uśmiech i najświętsze zasady panny wzbudzały wprawdzie uznanie w poważnie myślących epuzerach, ale dla takich posag był niewyraźny, rodzina za skromna,

a przyszła teściowa nie interesująca. Ci znów, co miłości szukali w przyszłej małżonce, przechodzili jakoś obojętnie mimo tej dziewczyny ładnej, lecz bodaj że całkiem pozbawionej temperamentu. Nie zapalała ona najmniejszej isierki w ich żyłach i nie wyglądała na to, aby sama miała kiedy zapłonąć. Brzydsze od niej, znacznie gorzej ułożone znajdowały amatorów do małżeństwa. O Muni nikt jeszcze serjo nie pomyślał.

Ewelinka nie cierpiała nad tem bynajmniej. Nie smuciłaby się nawet może, gdyby Munia wcale zamaż nie poszła. Mój Boże! czy to tak wielkie szczęście w tem zamażpójściu! Więcej w niem zawodów, lez, zmartwień i krzyżów, niż radości! Mąż częściej zły, niż dobry. I Munia — ta słodka, wypieszczona, ukochana ponad wszystko, pod macierzyńskim skrzydłem wyhodowana córeczka — Munia miałaby iść w świat, na pastwę obcemu mężczyźnie! Ach, serce drżało z obawy na samą tę myśl! Jakże doskonałym, jakże wyjątkowym musiałby być ten, któremuby się powierzyło taki skarb!

Co o tem wszystkim myślała sama Munia? Tego nikt nie wiedział, i nikomu nie przychodziło na myśl, aby się o to zatroszczyć. Prawdopodobnie i sama nie wiedziała, co myśli. Ot, może czasem roilo się jej po głowie jakieś szczęście, jakaś miłość, jakieś noce księżycowe, jakieś obejmujące ją ramiona w cieniu rozkwitłych bzów, jakieś własne gniazdo i jakieś dziecinne w niem główki. — Lecz rojenia te, jeśli były, rozwiewały się szybko, nie podsycane falą krwi gorącej. Krew ta płynęła cicho, powolnie, systematycznie w jej panińskim ciele. Była także dobrze ułożona i, zdawałoby się, niezdolna do żadnych wybryków.

A jednak przyszła chwila, że się i ta panińska krew zbuntowała. I nagle wybuchnął w niej pożar.

I stała się rzecz straszna: Ewelinka, wszedłszy niespodziewanie do gabinetu męża, ujrzała córkę w objęciu obcego, nieznanego mężczyzny!

Młodzi zapomnieli widać o całym świecie i całowali się namiętnie. I lgnęli do siebie w uścisku. I chcieli, zda się, spoić się, stopić swe dwa istnienia. Nie widzieli nic. — Nie słyszeli nic. A usta ich mówiły:

— Du Liebchen... Miła ty — moja!

— Jedyny!

— Pójdiesz ze mną?

— Choć na kraj świata!... Z tobą... Z tobą... Wszystko porzucę, o wszystkim zapomnę... dla ciebie...

— Ty preleś... du meine...

I znowu usta zwierzały się z ustami. Twarze bladły. Oczy zachodziły mgłą.

Ewelinka zdrętwiała. Sparaliżowana, bez słowa w zaciśniętem gardle, bez myśli w osłupiałych oczach, stała na progu nieruchoma.

Nie rozumiała.

Aż rozplotły się ich ramiona. Wyczerpani, odsunęli się od siebie.

I wzrok ich, wracając w rzeczywisty świat, padł na przerażoną twarz matki.

Odkoczyli od siebie. Munia, kryjąc w dłoniach nagle zarumienione policzki, opadła na sofę.

I była długa chwila milczenia.

Pierwsza przyszła do siebie Munia. Z żywością, z zapalem, którego nigdy w niej nie było dotychczas,

zaczęła mówić. Tak, tak! Przyznaje. — Kocha Rudolfa, Rudolfa... nadewszystko! nad życie! I będzie jego — pomimo wszelkich przeszkód. Bez niego już żyćby nie mogła. — Bez niego... ach! umrzeć lepiej, niż go nie widzieć! I choćby rodzice się sprzeciwiali, choćby cały świat był przeciw nim, ona nie odstąpi od niego — nigdy! nigdy! To nic, że on jest innej wiary, innej mowy; przecie ojciec jego Polak... To nic. To są przesady... Bo on ma najpiękniejszą duszę — bo on jest dobry, szlachetny... I kocha ją, jak nikt inny kochać nie potrafi. I innego życia ani szczęścia, jak z nim, ona nie chce — nie chce. — Tylko z nim! Poza nim — niema już dla niej życia...

Mówiła prędko, gwałtownie, drżąc cała od powstrzymanego łkania, lecz wyprostowana dumnie, jakby wyrosła i zmężniała w obronie swego szczęścia.

Ewelinka nie poznawała swej cichej, słodkiej Muni, swej tak uległej dotychczas córeczki.

— Ale... ale... — wyjąkała wreszcie — któż on jest?... Kto jest... ten... pan...?

Ten pan, stojący dotychczas w najdalszym kącie pokoju, uznał za stosowne zbliżyć się i przemówić. Wyszła się na światło i stanęła przed matką piękną postać młodzieńca, rozrosłego wspaniale, o jasnej, klasycznej twarzy młodego boga, ozdobionej parą oczu szafirowych, ognistych a czułych. Postać tę opinał mundur jakiegoś zakładu naukowego.

Młodzieniec szurgnął nogami, pochylił się w ukłonie i zaczął mówić łamaną polszczyzną: — Nazywam się Rudolf Łenski. — Mój ojciec z Polaków. — Fabrykę ma w Władywostoku. Moja matka iz Germanji. A ja — w Moskwie żył dotąd — uczylsia. Tu ja przyjechał na

letnie roboty, na praktykę przy postrojkach. U pana Glińskiego zajmuję się — tak pan Gliński mnie zna. Ja na trzecim kursie politechniki. A co kasajetsa wiary, to ja mogę wiarę zmienić. Mnie wszystko równo. Jak panna Munia zachocze...

— Tak, tak, mamó! On dla mnie to zrobi!

— Nu, da... Ja dla panny Muni... alles... alles...

— Ach, mamó! my tak się kochamy! tak ogromnie, szalenie!

Munia porwała rękę młodzieńca i pociągnęła go bliżej ku matce.

Ewelinka ujrzała ich dwoje przed sobą — pięknych, młodych, kipiących żarem namiętym, rwących się ku sobie. I zdało się jej, że oto otwiera się pod jej stopami jakaś przepaść bez dna, i w przepaść tę rzuca się ukochane dziecko. A ona stoi na brzegu ze związanymi rękami — patrzy — patrzy — a ratować, powstrzymać — nie może.

Było tego za wiele. Zamroczyło ją. — W głowie zaszumiało. I jak wówczas, gdy zabrano jej Bronkę, tak i teraz, gdy Munię traciła, bez słowa osunęła się na ziemię.

Gdy odzyskała przytomność, pochylały się nad nią głowy męża i córki. W głębi za nimi widniała postać młodzieńca. Ewelinka odwróciła oczy ze wstrętem. Cała prawda stanęła przed nią.

— Nie pozwolę — nie pobłogosławię... nie, nie, nie! — szepnęła.

A jednak — i pozwolić musiała, i pobłogosławić, i oddać w ręce tego obcego dziecko swe najdroższe. Musiała. Munia bowiem, w obłędzie miłosnym rozszalała,

groziła skandaliczną z domu ucieczką. A z jej oczu nagle ciemniejących, z jej brwi zsuwających się w jedną linię na gładkiem dotychczas czole, z ust, zaciśniętych w gniewną, zawziętą falde, widać było, iż nie zawaha się groźby wykonać.

Rodzice zgodzić się musieli i przyjąć za zięcia Rudolfa Stanisławowicza Łęskiego vel Łęskiego. Nie wiedziano o nim nic prawie. A to, co wiedziano, wstrętem i obawą napępniało dusze. Świat, skąd pochodził wybraniec Muni, był to świat obcy. Syn fabrykanta z Władystoku i Niemki nie mógł być zrozumiany i sam nie mógł się porozumieć z rodziną Glińskich. Czem porwał serce Muni? Czem ją pociągnął? Jakim napojem miłosnym odurzył ją i sobie zniewolił?

Nie mogła tego pojąć Ewelinka. Nie mogła zrozumieć tego nagłego przeobrażenia. Nie domyślała się nawet, iż w tej dorosłej i fizycznie dojrzałej dziewczynie, tak mocno w karby zasad, przyzwoitości i posłuszeństwa ujętej, a nie otrzymującej nigdy dostatecznego pokarmu dla umysłu i dla serca, nie mającej ujścia dla żywotnych sił swoich w jakimś umiłowaniem działaniu i w jakiejś wielkiej myśli, musiały zmysły rozbujać się, pożądania i tęsknoty miłosne rozrosnąć niepomierne, i wszystkie władze duszy i ciała skupić się w jedno — w oczekiwanie mężczyzny.

Zjawił się ów mężczyzna pożądany — piękny, młody i ognisty. Dość mu było spojrzeć czulemi oczami, dość było śmiałą rękę wyciągnąć — dość było zawołać: — Pójdź! — A pękły wszystkie zapory — i dziewczyna padła mu w objęcia.

Nie rozumiała tego matka. Nie pamiętała już, czem

dla niej samej była młodość i miłość. Wiedziała tylko, że dziecko swe ostatnie traci.

I ból jej nie miał granic.

Formalności i starania rozmaite zajęły całe lato. I ku jesieni już, przed samem rozpoczęciem wykładów w politechnice w Moskwie, dokąd wraz z młodą żoną miał powrócić Rudolf Stanisławowicz, odbył się ich ślub cicho, ukradkiem prawie. Wspaniała suknia biała i welon tiulowy, o które Muni bardzo chodziło, prawie śmiesznie wyglądały wobec orszaku, składającego się z czterech osób: dwojga rodziców, Bronki i ojca pana młodego, owego Stanisława Łęskiego vel Łęskiego, fabrykanta z Dalekiego Wschodu, przybyłego na tę uroczystość.

Innych członków rodziny ani znajomych żadnych nikt nie miał ochoty zapraszać. Bronka tylko uzyskała kilkodniowy urlop, wyrwała się ze swoich laboratorjów i przybyła »biedną Munię pożegnać«.

Bo wszyscy to czuli dobrze, iż pożegnaniem był ten ślub — pożegnaniem na wieki.

Odbył się on zrana, przy cichej mszy. Dzień wlokł się nieskończenie, gdyż pociągi, unoszące w jedną stronę państwa młodych, w przeciwną zaś Bronkę, odchodziły wieczorem. W mieszkaniu wędły kwiaty, przysłane dyskretnie przez kilka dawnych towarzyszek Muni w dowód pamięci — i — myśleli sobie w duchu rodzice — w dowód współczucia. Walaty się tu i owdzie jakieś paczki, przyniesione ze sklepów. Stały kufry zamknięte, gotowe do drogi.

Zabijano czas wymyślaniem ważnych spraw do załatwienia. Ale wszystkim ciążyły te godziny wyczeki-

wania — wszyscy czuli się rozdrażnieni, zdenerwowani, bliscy płaczu. Munia zwłaszcza chodziła z kąta w kąt błędna, ocierając łzy żalu, lecz kryjąc jednocześnie uśmiechy, stęskniona do chwili, gdy sam na sam zostanie z ukochanym, z ubóstwianym, najdroższym, najmiłszym, dziś już własnym swoim na życie całe Rudolfem. On zaś, piękniejszy niż kiedy, w galowym stroju, z bukietem u klapy, wodził za nią rozmiłowanymi oczami i też niecierpliwie wzdychał do owego ach! tak gwałtownie pożądanego sam na sam.

Bronia odjechała po południu, zagniona upływającym urlopem.

Nadeszła wreszcie pora wyjazdu i dla państwa młodych. Już Agata z kuframi wyruszyła naprzód. Powóz czekał pod drzwiami.

— Zbierajcie się! Pora już — pora — naglił Stefan. Szukał kapelusza i laski, zbierał podróżne manatki, coś zamykał, coś jeszcze obwiązywał. Trochę drżącymi rękami zawijał jakieś pudełko cukierków — na drogę.

Spojrzał na żonę.

— Cóż stoisz, Ewelinko! — zawołał — ubieraj się...

— Ja nie pojadę... — odrzekła cicho.

Błada była, ziemistego prawie koloru. Obwisłe miała powieki, usta wpół otwarte — tysiące zmarszczek na twarzy — tysiące tych drobnych, niedostrzegalnych zazwyczaj ścieżek, któremi chodziło po niej Życie. Cała postać jej obsunęła się jakoś, pochyliła ku ziemi.

Dziwnie postarzałą wydała się nagle Stefanowi. Uderzyła go ta zmiana. Od tak dawna uważnie jej się nie przyglądał. Co się z nią stało?

Żał mu się jej zrobiło. Jeśli on tyle cierpiał nad małżeństwem Muni, to o ileż więcej musiała cierpieć ona — matka!

— Nie pojedziesz na kolej, Ewelinko? — spytał łagodnie.

— Nie pojadę. Nie mogę — odrzekła. — Zresztą — dodała — nikogo niema przy mieszkaniu — ktoś musi pilnować... — Jeszcze niżej opadła jej głowa, zgarbiona, stała pod ścianą.

— I w takiej chwili jeszcze myśli o złodziejach — rzekł sobie w duchu Stefan — ah, baba już z niej zupełna! — Odwrócił się i zagadał do wynoszącego walizkę stróża.

Do matki podeszła zalana łzami Munia i Rudolf. Nastąpił uścisk krótki, krzyżyk na obu głowach, nakreślony zimną, jakby już martwą ręką — kilka słów urwanych — jeszcze przypadnięcie do tej piersi matczynej — i głos młodego małżonka, mówiący:

— Pójdź już, luba, pójdź!

I oderwało się dziecko ostatnie od rodzicielskiego łona. — I przestąpiło próg rodzicielskiego domu. — I poszło.

Ewelinka zamknęła drzwi za nimi. Zasunęła zasuwkę. Założyła łańcuch. Trochę się jej ręka przytem trzęsła, tak że nie odrazu mogła trafić do przegródki.

Odwróciła się wreszcie i postąpiła parę kroków. Na progu salonu stanęła, lecz wejść nie miała odwagi.

Widziała przed sobą szereg dobrze znanych pokoi — wiedziała, że puste są teraz i zimne i nie rozbrzmiewające już, jak dawniej, śmiechem i szczebiotem. Ognisko wygasłe. — Rozrzucone sprzęty.

I w jej własnej istocie była również pustka bolesna, jakby krwawiąca rana po wydartych wnętrznościach. Zamiast serca, co biło tak równo, silnie, radośnie, kamień zimny. Zamiast krwi w żyłach — mroźny dreszcz śmierci.

Nie weszła Ewelinka do rodzinnego mieszkania. Na jego progu stanęła bez sił. — I jęk... jęk przeciągły, ostry — do wycia starej wilczycy podobny — rozdarł jej pierś.

Stojąc u progu mieszkania, wyla. Wyla z żalu za minionem szczęściem, z fizycznego niemal bólu nad swą rozdartą istotą — z tęsknoty za tą krwią własną, której już nie stało — ze strachu przed samotnością okropną — z rozpaczyny nad sobą i z roztkliwienia nad własną dolą — z obawy przed tem wszystkim, co ukochanym groziło. — Wyla u progu pustego mieszkania, które było kolebką jej dzieci — tych nowych, nieznanych jej ludzi.

Nieznanych jej — obcych zupełnie.

I dlaczego tak? Dlaczego? Czemu dziś czuła tak olbrzymią pomiędzy sobą a nimi przepaść? Czemu oni byli dla niej obcy? Czyż ich nie utworzyła z ciała i krwi własnej — nie nosiła w swem łonie, nie karmiła mlekiem swej piersi, nie huśtała w ramionach, nie tuliła miłościwie, nie hodowała, nie strzegła, nie ochraniała? Czyż nad nimi ducha nie ronila? Czyż nie była najbardziej im oddaną, najczulej kochającą matką?

Tak. Ale matką tylko.

I nagle wśród rozdzierającego bólu wróciły jej na myśl wyrzeczone niegdyś przez Inę słowa: — Nie bądź matką jedynie! Jeśli chcesz na zawsze miłość i poszanowanie mieć u dzieci — bądź sama *człowiekiem*. Matkę,

gdy samo dojrzeje i własną drogą iść zaczyna, dziecko odtrąca, jak niepotrzebną już i zwiędłą powłokę. Człowieka zaś w niej kochać i szanować, jeśli jest za co, zawsze będzie. Bądź przedewszystkiem człowiekiem!

Tak mówiła Ina. Czy miała słuszość...?

Bądź przedewszystkiem człowiekiem! Bo macierzyństwo, to bądź co bądź funkcja przemijająca — przyrodzona. Za nią nie należy się od dzieci nagroda. Tylko miłość człowieka coś warta. Tylko miłość, na zrozumieniu wzajemnem oparta.

A ona nigdy nie starała się dzieci swe zrozumieć. Nie rozumiała ich i dotychczas. Odeszły wszystkie od niej — odleciały, nie oglądając się poza siebie. — Jedno poszło w krainę śmierci — drugie w krainę wiedzy — to ostatnie rzuciło się na ślepo w miłości świat. — A ona tylko ręce łamała nad dolą nieszczęsną i pytała z jękiem i płaczem: — Dlaczego tak? Dlaczego?

Bądź przedewszystkiem człowiekiem...

Nie, nie! Ona matką była. Matką, dawniej tak szczęśliwą wśród czepiającej się jej szyi i rąk dziatwy. — Dziś samotną, opuszczoną, odrzuconą precz, wyschniętą już, niepotrzebną nikomu, skrwawionemi wnętrznościami bolejącą — matką. Nic — nic — tylko matką...

Bądź przedewszystkiem człowiekiem...

Za późno już, za późno! Człowieczeństwo swe, umysł, serce, zdolności, rozum i myśli wszystkie — rzuciła macierzyństwu na pastwę. Matką była — niczem więcej. Dzieci — to była jedyna racja jej bytu. Teraz dzieci nie stało. Sama rdzeń życia jej odjęta. Nie pozostało jej nic.

Nic — tylko ból szalony, jak przypiekanie rozpalonem żelazem ran krwawiących. — Tylko rozpacz.

Na progu pustego mieszkania rozległ się znów jęk matki. Szedł przez puste pokoje i budził śpiące tam dawne, szczęśliwe mąry. Stare kąty odezwały się współczującym echem.

Lecz nie doszło ono do uszu jej dzieci.



65/153

104215
6126 65153

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa

Warszawa — Kraków — Lublin — Łódź — Poznań — Wilno — Zakopane

Adamowicz B. Nieśmiertelne głupstwo.

Bandrowski-Kaden J. Spotkanie.

Bartkiewicz L. Historia jednego podwórza.

— Krwią i atramentem.

— Pierwszy grzech.

— Psie dusze.

Chojnowski P. Historia naiwna.

— Kuźnia.

— Pokusa.

German J. Skrzydła.

Jeleńska E. Matka.

Kiedrzyński St. Pożar.

Ligocki E. Laguna morta.

— Płonące Reims.

— Samba i Moza.

— Sen o Dwernickim.

— Thalassa.

Łada J. Białe i czarne duchy.

Perzyński Wł. Cudowne dziecko.

— Dzieje Józefa.

— Komedje Aszantka. Lekkomysłna siostra. Szczęście
Frania.

— Polityka.

— Strach na wróble.

— Tryumfator.

— Uczniaki.

— Wróg wojny.

Powalski J. Nad jeziorem.

Reymont Wł. St. Pisma. T. I—VII.

— Za frontem.

Rodziewiczówna. Byli i będą.

— Dewajtis.

— Lato leśnych ludzi.

Szpyrkówna M. H. Będziesz małeńką.

— Pierwiosnki.

Weyssenhoff J. Hetmani.

— Nowele.

— Puszcza.

— Soból i panna.

— Syn marnotrawny.

Włodkówna B. Proste dzieje.

— W obłokach.

Żeromski St. Promień.